

De. 11. 7
Tom CLXXVIII.

Zeszyt 709.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

ROK CZTERDZIESTY PIĄTY.

M A J.

1886.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera.
Elektoralna Nr. 14.

Ukończono druk dnia 5 Maja.

TREŚĆ.

stron.

I. Łukasz Górnicki. (Kilka nieznanych szczegółów z życia dzierżawcy tykocińskiego i wasilkowskiego). Przez St. Ptaszyckiego.	161
II. Szkoły ludowe w Galicyi. Przez II. d-ra Biegeleisena . . .	177
III. Pessimizm i wszechwładza państwa. Przez Eugeniusza Lipnickiego	188
IV. Z ekonomiki XI. — Oswobodzenie włościan na Litwie i Rusi. Dane statystyczne co do liczby poddanych w Cesarstwie, zebrane w 1855 r. przez Kawielina. — Liczba poddanych na Litwie i Rusi w czasie wojny krymskiej. — Komitet sekretny. — Projekty prywatne. — Udział inteligencji polskiej w sprawie reformy włościańskiej. — Adres szlachty litewskiej do panującego. — Reskrypt cesarza Aleksandra II-go w odpowiedzi na ten adres. — Niechęć dworzan i możnowładztwa. — Utworzenie na Litwie komitetów gubernialnych i komisji ogólnej w Wilnie; — Instrukcyja Łauskoja dana Nazimowowi. — Główne zasady wyzwolenia i uwłaszczenia włościan na Litwie. — Skład osobisty komisji ogólnych w Wilnie i Kijowie, oraz komitetów gubernialnych. — Cykularz ministra spraw wewnętrznych do gubernatorów. — Komitet główny do spraw włościańskich. — Początkowa bezczynność. — Wejście W. Ks. Konstantego do komitetu. — Program zajęć komitetów gubernialnych. — Komisya specjalna. — Wydział ziemiański. — Komisye redakcyjne, ich skład i program. — Komisya finansowa. — Moźnowładztwo i operacya. — Coup d'état. Ks. Paskiewicz i hr. Piotr Szuwałow. — Wytrwale postanowienie reformy ces. Aleksandra II-go. — Główni działacze: Rostowcew, Milutyn i Sołowjew. — Pierwszy okres prac komisji redakcyjnych. — Powołanie ekspertów do Petersburga. — Wydawnictwo urzędowe tej epoki	201
V. Hessa O'Grady. Powieść oryginalna, osnuta na tle stosunków obecnych w Irlandyi. Napisał Działosza. (C. d.).	225
VI. Bohdan Zaleski. (Wspomnienie pośmiertne). Przez Sewerynę Duchiąską.	240
VII. PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Ku czci ś. p. Pauliny Krakowowej. „Księżniczka,“ powieść, uwieńczona nagrodą konkursową, napisała Zofia Urbanow ka. Kraków i Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1886 r., str. 370.	257
„Solution de la question d'Orient“ par Mathias Bau. Belgrade, imprimerie d'état, 1885. Przez E. Lipnickiego.	269
Estudios literarios par Martin Garcia Merou. Madrid 1884.	



De. II. 1.

ŁUKASZ GÓRNICKI.

(Kilka nieznanych szczegółów z życia dzierżawcy tykocińskiego i wasilkowskiego).

PRZEZ

St. Ptaszyckiego.

Osobistość oraz przygody życia autora „Dworzanina“ są już od bardzo dawna przedmiotem skrzętnych poszukiwań badaczy literatury polskiej. Od chwili wystąpienia Trebickiego w „Bibliotece Warszawskiej“ r. 1843-go ze „Zbiorem wiadomości o życiu i pismach Łukasza Górnickiego,“ wzrastał coraz bardziej materyał do zyciorysu historyka wieku Zygmuntońskiego; gromadziły się nowe dane jeżeli nie systematycznie, to przynajmniej sporadycznie. Nareszcie pojawiły się w literaturze polskiej prawie równocześnie aż dwa studia, poświęcone już nie samemu surowemu materyałowi, lecz życiu pisarza. Zdawaćby się mogło, że prace tego rodzaju, dokonane według metody naukowej na podstawie autentycznego po większej części materyału źródłowego, zadowolnią badaczy na czas dłuższy. Pierwszém z powołanych wyżej studyów była praca p. Czarnika, podówczas słuchacza filozofii we Lwowie. Jako praca seminaryjna studenta jeszcze się uczącego nie mogła być wyczerpującą. P. Czarnik musiał poprzestać na materyale, jaki znalazł we Lwowie i jaki dostarczono mu z Krakowa i z Warszawy. Powstała w takich warunkach książka p. Czarnika, nie mogła zadawać pod względem dokładności materyału źródłowego. Pomijając tę stronę ujemną dzieła, przedstawia studium p. Czarnika wiele stron dodatnich, świadczących o umiejętności autora przedstawienia kwestyi i o wyborniej szkole, z jakiej wyszedł.

Autorem drugiego studyum jest p. R. Loewenfeld, który się już poprzednio był dał poznać przez swoje literackie i publicystyczne stu-

dya. P. Loewenfeld znalazł się w położeniu znacznie dogodniejszym niż p. Czarnik, miał bowiem możność poznać osobiście archiwa w Warszawie, Krakowie, Lwowie; dłuższy czas bawił nawet w Petersburgu i w Moskwie. Przy takim ułatwieniu zdawało się, że materiały znany p. Czarnikowi, p. Loewenfeld znacznie wzbogaci i da życiorys Górnickiego o wiele dokładniejszy. Ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, co słyszeli o przygotowującym się nowym dziele „O Łukaszu Górnickim“ i co byli pewni, że powinny się zbierać więcej dat nowych, p. L. we wstępie do swego dzieła otwarcie wyznaje: „W ówczas, gdy pracowaliśmy nad złączeniem tych drobnych, tu i owdzie porzrzucanych prac o Górnickim w jedną całość, uzupełnioną spożytkowanymi aktami, z których zarząd archiwów krakowskiego i warszawskiego oraz Biblioteka Zamoyskiego korzystać nam pozwoliła, wówczas właśnie ukazała się praca p. Czarnika. Naturalnie czerpaliliśmy wiadomości z tych samych dokumentów, któremi się posługiwał p. Czarnik, ponieważ i on zwrócił się do wymienionych archiwów, i obydwa w równej mierze doświadczyliśmy uprzejmości panów dyrektorów.“ P. Loewenfeld powiększył liczbę dokumentów, znanych p. Czarnikowi tylko przez listy, ogłoszone w Ateneum (1883, lipiec), jakby one ostatecznie zamykać miały skarbnięc źródeł do życiorysu Górnickiego. Pomimo to ośmielamy się wystąpić z nowym, jakkolwiek skromnym, materiałem źródłowym, który pozwala przypuszczać, że jeszcze wiele wiadomości do życia Ł. Górnickiego kryje się po archiwach i to nie pośledniej wagi. Dochodzą nas wieści, że w Krakowie można odnaleźć ważne dokumenta, zresztą że tak być musi, dowodzą dokumenta wydane przez p. Windakiewicza ¹⁾; sami posiadamy dokumenta nieznanne dotąd, które chociaż są okruciami tylko, to zawsze bardzo pożądanymi. W Wilnie zapewne nie mało by się znalazło, lecz księgi tameczne nie mają żadnych rejestrow, dla tego poszukiwania są znacznie utrudnione. Temu należałoby poświęcić się specjalnie. Z akt drohiczyńskich mamy jeden dokument, dotyczący się córki Górnickiego, Zofii Mężyńskiej. Dyrektor archiwum wileńskiego p. Sprogie na prośbę naszą, robił tam poszukiwania z lat 1571 i 1572-go, dla określenia daty postąpienia G. na starostwo tykocińskie, lecz oświadczył, że Górnickiego nie znalazł. Nareszcie w Petersburgu, gdzie p. Loewenfeld przebywał czas dłuższy, metryka litewska przedstawia nie mało ciekawych dat, które stanowczo prostują przypuszczenie p. Loewenfelda. Otóż zdaniem naszym, jeżeli p. L. chciał rzeczwiście dać możliwie zaokrąglony obraz żywota Górnickiego, należało mu staranniej przewertować archiwa, a potem przystąpić do ułożenia całości. Myśmy nigdy nie pracowali wyłącznie nad Górnickim, i w bliższej przyszłości nie mamy zamiaru jemu się poświęcać. Los jednak zrządził, że pracując w innym zakre-

¹⁾ „Prace filologiczne“ t. I, zes. 1. Warszawa, 1885, str. 224 i nast.

sie mogliśmy i dla Górnickiego wyczerpać materyał, znajdujący się w Metryce litewskiej w Petersburgu. Daty te chociaż urywkowo, ponieważ zmieniają obecne twierdzenia i przypuszczenia. Odnoszą się one wyłącznie do Tykocina i Wasilkowa i do stosunku Górnickiego do nich. Pierwotnie nie spieszyliśmy z ogłoszeniem téj nie wielkiej wiązanki. Ustępując namowom naszych literackich przyjaciół, wyjmujemy je nareszcie z ukrycia. Może kto z nich zrobi większy użytek, a może kogo zachęca do przejrzenia na nowo archiwów, a szczególnie wileńskiego.

Nie podajemy naszych dokumentów in extenso, lecz skracamy je lub streszczamy ze względu, że forma ich nie przedstawia nic nowego, pisane są według ogólnych formularzy, których powtarzanie byłoby rzeczą zbyteczną. Mogłoby to być uskutecznione w kodeksie specjalnym, a zbyteczne w luźnej notatce.

Dokumenta nasze pochodzą przeważnie z archiwum Metryki litewskiej, znajdującej się w Petersburgu ¹⁾. Przy każdym dokumencie wskazujemy w jakiej księdze odnośny akt zapisany, przy czém trzymamy się obecnego podziału, zaprowadzonego już w Petersburgu. Dla zwięzłości przyjęliśmy następujące skrócenia: Z.—Księgi Zapisowe; S.—Sądowe; P.—Publicznych Spraw. Liczba pierwsza oznacza tom, druga kartę lub stronę. Nakoniec podajemy w streszczeniu łaskawie nam udzielone dokumenty z archiwum głównego w Warszawie z ksiąg wyroków lubelskich. Jeden dokument będący wierzytelną kopią, sporządzoną w wieku XVII-ym, z ksiąg drohiczyńskich mamy z rąk prywatnych. Po tych kilku przedwstępnych uwagach, jakie uważaliśmy za potrzebne zrobić, wstępujemy in medias res, przypuszczając, że rzecz nasza może zainteresować tylko ludzi specjalnie z kwestyą obeznanych.

Z dziejów Tykocina posiadamy tylko dorywcze wiadomości. Z początkiem wieku XV-go należał on do książąt mazowieckich, i jeszcze w roku 1424 „post dominicam laetare“ (2 kwietnia) Janusz, książę mazowiecki, nadaje urząd wójtowski w Tykocinie Piotrowi de Gumow ²⁾. W roku 1426 dnia 31 grudnia, Witold przywilejem danym z Trok temuż „Petro de Gumow advocatiam in Tykocino oppido quinque mansos continentem iure perpetuo donat ³⁾. Po śmierci Witolda Zygmunt Wielki, ks. litewski, darował na wieczność miasteczko Tykocin ze wsiami Łopuchow i Złotoryą Janowi Gasztoldowi i jego po-

¹⁾ O tém archiwum krótkie wiadomości daje nasza notatka w „Gwieździe Petersburskiej“ za rok 1884 p. t. „Biblioteki i archiwa petersburskie.“

²⁾ Inventarium omnium privilegiorum an. 1682. Wydał Rykaczewski w Paryżu 1862. Wydania tego nie mamy pod ręką, korzystamy z ks. Metryki, f. 281.

³⁾ Oryginał znajduje się w Warszawie w arch. gł. pomiędzy pargaminami pod nr. 622, facsimile u Strączyńskiego nr. 59.

tomkom, z przyczyny zasług jego dla wiary i służby, którą czynił za-
cnemu księciu Witoldowi, przodkowi i bratu jego miłemu. Przywilej
datowany na zamku trockim w piątek przed świętem ś. Walentego
(13 lutego) 1433 roku (Z. 1, 15). Gasztold, po objęciu Tykocina 4 lu-
tego 1436 r., potwierdził Piotrowi, wójtowi tykocińskiemu, przywileje
dane mu przez Witolda i Janusza Mazowieckiego ¹⁾. W XVI-ym wie-
ku (1514 roku w lutym) przeprowadzoną została granica pomiędzy
majątnością Gasztolda Tykocinem, a Goniądzem, należącym do Miko-
łaja Radziwiłła ²⁾. We władaniu Gasztoldów Tykocin pozostawał
jeszcze w r. 1540 dnia 20 kwietnia, kiedy Stanisław Olbrachtowicz
Gasztold dał żydowi tykocińskiemu, Abramowi Mosiejewiczowi, trzy
włóki we wsi Sannikach, należące do Tykocina. W roku 1569 8 gru-
dnia nabył te włóki u żyda rotmistrz zamku tykocińskiego, Klimunt
Biliński, a Zygmunt August kupno to zatwierdził (Z. 53, 24). W tym-
że czasie Tykocin przechodzi do rąk królewskich ³⁾; gdyż 14 lipca

¹⁾ Sieries archivorum regni an. 1730, ks. Metryki lit. f. 321 v. nr. 9.

²⁾ Inventarium roku 1682, f. 283 v.

³⁾ P. Czarnik powtarza za Niesieckim, że około roku 1540 dzierżaw-
cą tykocińskim był Grzegorz Aleksander (Aleksandrowicz, nie zaś Aleksan-
der) Chodkiewicz. Starostą tykocińskim nazywa Nies. Grzegorza pod Wisznio-
wieckimi, kiedy mówi, że „córka Iwana W. Katarzyna, wydana około r. 1540
za Grzegorza Aleksandrowicza Chodkiewicza na ten czas starostę ty-
kocińskiego in Monum. Coll. Ostrog. (IX, 357). Mówiąc zaś o Chod-
kiewiczach N. zaznacza, że pod rokiem 1540 Grzegorz nazwany starostic
berestejski (I, 306). Podanie to nie da się niczem udowodnić. Dokumen-
ty, jakieśmy mieli w ręku, pozwalają stanowczo twierdzić, że Grzegorz
Ch. starostą tykocińskim nie był. 17 stycznia 1541 roku występuje tylko
jako „starostic borestejskij“ (s. 12, 29), pod dniem 14 maja 1546 ro-
ku wspomniany, jako podkomorzy litewski, starosta kowieński, dzierżawca
wilkijski (S. 18, 30), a 14 lipca 1547 starostą tykocińskim już był Jan Ra-
dziwiłł. Na godnościach Grzegorz postępował w sposób następujący: 1554
wojewoda wileński, 1555 wojewoda kijowski, 1559 kasztelan trocki, 1561
hetman nadworny, 1561 hetman wielki, 1572 umiera (Wolff. Senatorowie i dy-
gnitarze vide sub v. Chodkiewicz). Prawdopodobnie pomyłka zaszła tu z tego
powodu, że ojciec Grzegorza, Aleksander, był starostą knyszyńskim; z tym ty-
tułem spotykaliśmy go już pod rokiem 1535: starosta brzeski, marszałek,
dzierżawca wilkiejski, ostoyński, knyszyński (Z. 19, 44). Na dniu 14
maja 1546 roku spotykamy razem ojca z synem: Sudili na sprawach sudo-
wych pan Jan jeho miłost' Jurjowicza Hlebowicza wojewoda wileńskij, a pan
Aleksander Iwanowicz Chotkiewicza starosta berestejskij, dzier-
żawca knyszyńskij i ostrzyński, a pri ich miłosti na tot czas byli pan
Hrihorej Aleksandrowicz Chotkiewicza podkomorij hospo-
darskij starosta kowieńskij, dzierżawca wilkijskij... (S.
18, 30). W aktach nieraz stawiano Tykocin zamiast Knyszyna przez pomyłkę,
co zobaczymy jeszcze raz niżej.

1547 roku spotykamy z tytułem starosty tykocińskiego Jana Janowicza Radziwiłła, krajczego litewskiego (Z. 31, 113). Radziwiłł pozostawał starostą aż do śmierci, t. j. do 27 września 1551 roku (Wolff, Senatorowie, 226). Według rejestru poborowego z dnia 27 listopada 1551 roku, Tykocin miał zapłacić 30 kop „krom ludy wołosnych i żydów.“ W spisie zachowany porządek następujący: z Wilna 500 kop, Kowna 100, Grodna 51, Trok 20, Bielska 100, Narwy 15, Suraza 30, Kleszczel 20, Mielnika 30, Wysokiego 20, Milejczyc 20, Tykocina 30 i t. d. (Z. 28, 113). 2 września 1567 r. król nałożył podatek na miasta na potrzeby wojenne, jako pożyczkę, która później miała być ze skarbu zwróconą, w następujących rozmiarach: z Kowna 1,000 kop, z Trok 100, Grodna 120, Tykocina 60, Drohiczyzna 60, Brześcia 200, Kijowa 200 i t. d. (p. g. 1).

Spisy te pokazują, jakie miejsce zajmował Tykocin pod względem siły podatkowej.

Nie mamy dokładniejszych wskazówek dla określenia, kto objął bezpośrednio starostwo po Radziwiłle. Na początku roku 1554 na tym urzędzie spotykamy Stanisława Mikołajewicza Geżgajłę ¹⁾, podczaszego i starostę mohylowskiego. 18 stycznia tego roku w Knyszynie sporządził Geżgajło testament, wyjeżdżając „na lekarstwo“ do Krakowa, który nazajutrz 19 stycznia, król podczas pobytu swego w Knyszynie potwierdził (Z. 35, 159). 19-go lutego tego roku występuje przed sądem urzędnik St. Geżgajły, nie wspominając o jego śmierci (S. 36, 6). Pod datą 2 sierpnia 1554 r. z tytułem starosty tykocińskiego występuje Jan Szymkowicz, pozwany przez niejakiego Iwana Iwanowicza Ladzkiego (S. 33, 14). W tymże miesiącu rozpoczynają dochodzenie kredytorowie Geżgajły, jako nieboszczyka (S. 34, 14). Szymkowicz pozostawał starostą tykocińskim do swjej śmierci, do roku 1569.

Lecz nie zaraz po nim objął starostwo Górnicki, jak chce Loeuwenfeld.

W chwili śmierci Szymkowicza Górnicki nie był w Tykocinie, może przebywał razem z królem w Lublinie, z kąd Zygmunt August 16 kwietnia (dzień nie zupełnie pewny) opatruje go listem, w którym powiada: rozkazujemy wam, abyście tam do Tikocina krom żadnego zamieszkania zjachali, dostatecznie spisali i inwentarz sprawiwszy tamto starostwo Tikockie, w sprawę władność podstarościemu do innszej nauki naszej zlecili. Abyście jeden inwentarz przy niem zostawili, a drugi do nas bez omieszkania posłali (Z. 52, 1). Podstarościemu, Floryanowi Łobeskiemu, król pisze: iż marszałek nasz starosta Thikoczinski, Jan Szymkowicz, tych niedawnych zeszytych czasów z tego świata zszedł... posyłamy tam do Tikoczina jurgieltnika naszego

¹⁾ W sierpniu 1551 roku S. Geżgajło występuje jako stolnik, starosta mohylowski, dzierzawca raduński, kowieński i dubiński (S. 24, 27) bez tytułu tykocińskiego. Nazwisko Geżgajło piszemy w ten sposób, gdyż w ruskich dokumentach zjawia się ono w formie Крескляйль, t. j. Gezgajł, a nie Kiczgajł.

Łukasza Górnickiego, któremu rozkazujemy, aby folwarki, gumna, obory, bydło, i poddane, i wszystkie pożytki spisał i tamto starostwo w sprawę i władność W. T. do inszej nauki naszej zlecił (76). Równocześnie o tem zostali zawiadomieni i mieszkańcy tykocińscy: „Wszem wobec i każdemu zosobna — woju i wszystkiemu urzędowi miasta naszego Thikoczińskiego, także bojarom putnym, ławnikom i wszystkim poddanym naszym wołosti Tikockiej... pod łaską naszą rozkazujemy, iżbyście wszelakie posłuszeństwo ku podstarościemu działali (76). W ten więc sposób po śmierci Szymkowicza nie otrzymał Górnicki zaraz starostwa, które wakowało przez czas niejaki i podstarości Floryan Łobeski rządził niem, porozumiewając się z Górnickim, o czém król wspomina, mianując Łobeskiego 24 maja 1569 r. leśniczym tykocińskim; „a iżby tym sposobniej pożytki z puszczy tak i siana porządnie sprzętane być mogli, tedy ku temuż leśnictwu folwark nasz Tikociński pod puszczą i pod bielami leżący, Trzcianą, i ku niemu wsi pewne, t. j. wieś Trzcianą i Chobotni, k'temu solenniki i ogrodniki ku temuż folwarku należące, i wole, które w puszczy Tikocińskiej na brezinach zasiadają i co jeszcze potym na wołach zasadzono, być może w osobliwą dzierżawę od starostwa Tikoczińskiego V. T. jako leśniczemu tamtejszemu poruczamy... A inszą wszystkie dzierżawę Tikoczińską, cośmy już V. T. osobliwie zlečili, przedsię w sprawie i zawiadowaniu swoim miejcie i wszelakich pożytków naszych, (porozumiewając się z sekretarzem naszym Łukaszem Górnickim, który inwentarz pożytków onej dzierżawie sprawował), doglądajcie do tego czasu aż ten urząd Tykociński komu w dzierżawę zleciemy (Z. 52, 18).“ Jednocześnie poddani zamku Tykocińskiego w Trzcianach i Chobotkach mieszkający, a także solennicy i ogrodnicy otrzymali rozkaz być posłusznymi osobliwemu leśniczemu i sienniczemu Floryanowi Łobeskiemu. Do Górnickiego posłany został list zaszyty o poddanie tego leśnictwa podstarościemu (Tamże). List ten, jako zaszyty nie został zaniesiony do ksiąg Metryki. W owym czasie G. spełnia i inne polecenia królewskie. Tak 15 maja 1569 r. król poleca urodzonym Andrzejowi Dybowskiemu, dzierżawcy Knyszyńskiemu i Zabielskiemu ¹⁾, i sekretarzowi swemu Łukaszowi Górnickiemu, aby na Lipskiem i na poddanych augustowskich szkody paniej Włoszkowej otprawili (Z. 52, 7).

Fakt ten może świadczyć, że polecenia dawane Górnickiemu względem Tykocina, nie były usposobianiem jego do objęcia urzędu starościńskiego. Król nie śpieszył z zamianowaniem Górnickiego sta-

¹⁾ A. Dybowskiego spotykamy jako dzierżawcę Knyszyńskiego, Zabielskiego i Augustowskiego jeszcze 2 paździer. 1569 r. (Z. 52, 54). Od 8 grudnia tego roku z tymiż tytułami zjawia się Stefan Bielawski. W kilku dokumentach przez pomyłkę w tytułach nazwany dzierżawcą tykocińskim, kiody w środku jak się naloży (Z. 52, 76). Taka sama pomyłka musiała zajść w dokumencie przytoczonym przez Przedzieckiego, o czém wspomina p. Czarnik (38).

rosta i, co najważniejsza, wakujące starostwo, około którego już się G. krzątał, gdzie stale przebywał, oddaje komu innemu. Pod dniem 14 czerwca 1570 r. jako dzierżawca tykociński występuje Jop Prajtfosz, horodniczy wileński, dzierżawca Wolkienicki i Wasilkowski, z władzą sądową: „Powiedział nam marszałek nasz, podkomorzy oszmiański, dzierżawca niemonojecki, Jan Paluski, iż żyd miasta grodzieńskiego, imieniem Ahron, wziął od niego na pewną i doskonałą zapłatę 600 beczek żyta naszego własnego z gumna niemonojeckiego. Zapłaty nieudzielawszy z miasta grodzieńskiego uciekszy, snać w mieście naszym Tikoczińskim przemieszkał... rozkazujemy, jeśliby żyd pomieniony Ahron w mieście naszym T. przemieszkiwał, a Jan Paluski sprawiedliwości o to żyto nasze z nim urzędu Wier. T. potrzebował, iżbyś temu żydowi przed sobą stać i wedle zapisu zapłatę, jako za własne zboże nasze rozkazał“ (Z. 52, 114). Ten Prajtfosz występuje kilkakrotnie z tytułem dzierżawcy tykocińskiego¹⁾. Ostatnią wzmiankę o nim spotkaliśmy pod dniem 8 września 1571 roku, w sprawie żyda Abrahama Izanowicza, któremu zabrano młyn i sianożęć na potrzeby zamku Tykocińskiego dla zbudowania cegielnicy i wapiennicy. Za co król na przedstawienie księdza Pilchowskiego, który rewidował Tykocin, zwalnia żyda od płacenia czynszu z dwu włók, jakie on przy Tykocinie trzymał, i przywodzi o tém ku wiadomości Prajtfosza, dzierżawcę dóbr Tykocińskich i namiestników jego na potom będących (Z. 53, 57). Późniejszych wzmianek o Prajtfoszu nie spotkaliśmy. Wystąpienie opiekunów nieboszczyka Jopa Pretwusa, horodniczego wileńskiego, starosty wolkinickiego i tykocińskiego, 21 marca 1586 r. (S. 65, 189) nie ma dla nas żadnego znaczenia, gdyż wiemy z pewnością, że 8 maja 1572 r. Górnicki już był starostą²⁾. Daty któreśmy tu zestawili, dowodzą wymownie, że w roku 1570 Górnicki nie był jeszcze starostą³⁾, że nie otrzymał dzierżawy w rok po śmierci Szymkowicza i że nie mógł otrzymać tego urzędu wcześniej; jak po usunięciu się Prajtfosza, który jeszcze 8 września 1571 r. spełniał swoje obowiązki. Zdaje się, że nie zbyt będziemy dalecy od prawdy, kiedy czas nominacyi Górnickiego odsuniemy aż na rok 1572 i to na zasadzie na-

¹⁾ 19 lipca 1570 r. na zażalenie plebana Wysowieckiego, ks. Mar. Groliańskiego, poleca król Prajtfoszowi wypłacić dziesięcinę zaległą za rok 62 i 69 ze wsi Broku i Zielonej Dąbrowy, na folwarku Mazurowskim, dzierżawy Tykocińskiej (Z. 52, 134). 7 sierpnia 1571 król mianuje wójtem tykocińskim Frąca Wolskiego, zaleconego przez dzierżawcę tyk. Prajtfosza, któremu rozkazuje podać Wolskiemu wójtostwo i za wójta opowiedzieć (Z. 53, 54).

²⁾ Testament Nideckiego pod dniem 8 maja 1572 r. Morawski: Andrzej Patrycy Nidecki. Kraków, 1884, str. 182.

³⁾ Rok 1570, jako data postąpienia G. na Tykocin, opierano na liście G. z d. 28 marca 1602 r., gdzie on wspomina: „jakom starostą jest będzie rychło 32 lecie.“ (Gloger Bibl. Warsz., 1875, III, 141). W obec naszych dat świadectwo Górnickiego upaść musi.

stępującej. Po śmierci Szymkowicza król poleca Górnickiemu sprawić inwentarz starostwa i jeden egzemplarz każe zostawić przy podstarościm, a drugi odesłać do króla. Cóż w r. 1765 w archiwum krakowskiem znajdował się pod nr. 197—Registr czyli Inwentarz dochodów wszelakich tak z miasta, jak i z wsiów do starostwa tykocińskiego należących, sporządzonych w roku 1572 ¹⁾. Niezawodnie inwentarz ten sporządzony został przy obejmowaniu dzierżawy przez Górnickiego. Spotykamy wprawdzie i późniejsze inwentarze, jak zatrącony z roku 1574, sporządzony przez G. ²⁾, jak ogłoszony przez p. Wejnerta z r. 1576, ale to były spisy, które się ogólnie nazywały *Ratio de proventis et distributis*.

Bądź co bądź na podstawie nawet samych dat niewątpliwych możemy śmiało twierdzić, że starostwo tykocińskie objął Górnicki nie wcześniej jak w roku 1572. W tym wypadku te trzy lata zwłoki (od śmierci Szymkowicza) naprowadzają na myśl, że Zygmunt August nie tak był skorym w promowaniu swego „ulubieńca.“ Na ten fakt biografowie Górnickiego powinni by zwrócić szczególną uwagę przy charakterystyce jego stosunku do króla.

* * *

Za pobytu Górnickiego w Tykocinie uskuteczniła się budowa zamku tykocińskiego. Nie mamy najmniejszego śladu, któryby nam wskazywał jakikolwiekbyż udział w tém Górnickiego. Robotą tą ukończoną zresztą być mogła jeszcze przed objęciem przez niego starostwa, kiedy Górnickiego powoływano do doglądania spraw starościńskich. Do dziejów budowy zamku posiadamy kilka ciekawych dokumentów, na które tu wskazujemy, chociaż one nie przyczyniają wiadomości dla biografy Górnickiego. W roku 1558 „dano kwit do skarbu panu Janowi Szymkowiczowi, iż wskazano jemu pieniądze wszystkie dochodowe za owies, siano, kury, gęsi, woły, cokolwiek ich do skarbu przychodzić miało w roku terażniejszym 58 ze starostwa tykocińskiego, zostawić dla budowania zamku tykocińskiego“ (Z. 37, 213).

31 sierpnia 1566 roku poleca król staroście mscibogowskiemu rozkazać mieszkańcom Wasilkowa spuścić do rzeki drzewo potrzebne dla budowy zamku: „rozkazali jeszcze zamek w Tykotinie budowati i robiti, ino iż do toje roboty derewa nie mało pilnoja potrzeba jest tohdy prikazujem tobie, szto by jesi wsim poddanym naszym miasta wołosti Wasilkowskoje imieniem naszym hospodarskim rozkazał iżby oni każde wołoki miestskeje i wołostnoje, szto kolwiek ich na onych wolach osiefych jest, derewa po osmi bierwien z wołoki odnoje w puszczi tamoszniej wypustiwsi, wodojo do zamku tikotinskoho

¹⁾ Index munimentorum et librorum ex archivo Cracov. an. 1765 Varsoviam transportatorum. Ex quibus nonnulla ad Archiwum thesauri regni tradita nonnulla quoque circa acta Metricos regni relieta sunt. Ms. Metr. lit. f. 11,

²⁾ Tamże f. 12.

otprawdili i spustili nikotoroho spłoszeństwa w tom nieczynieczy, bo hdyby na tych czasiech toje derewo w Tykotinie byli nie mieli, tohdyby welikoje omieszkanie w robotie dietisie musiało, w czom by było nie małaja szkoda nasza hospodarskaja. Pro to konieczno mieti chozczem, aby toje derewo pokul zima nie zajdietyje poddanyje naszich wol wasilkowskich spustili. A hdyby oni toho derewa spustiti nie hoteli, wymowlajuczisia iż jeszcze woli nie wysiedieli, ino to im poddanym naszym tiazko nie jest, wolnostej i pożytkow na hruntiech naszych uziwajuczi, w toj potrzebie naszoj bez wymowy dosyt cziniti; dla czoho by sia i sam ku tomu s pilnostju przyczinił i nam oznajmił jak mnoho toho derewa, spuszczejuczi z odnoje wołoki po osmi berwien, ot tych wolan wosilkowskich budiet“ (Z. 47, 88).

Dokument ten ciekawy i pod tym względem, że od czasu jak Grzegorz Wołowicz osądził w puszczy grodzieńskiej Wasilków, nie był skuteczniony pomiar, kancelarya królewska nie wiedziała wiele włók gruntu posiada cała osada.

Tegoż dnia rozesłano listy do „sprawiec“ dworów grodzieńskich o wyprawienie poddanych do puszczy Wasilkowskiej dla spuszczenia drzewa na budawanie zamku tykocińskiego. Mamy tylko jeden list, ciekawy pod tym względem, że określa długość i jakość berwion: rozkazujem, „aby wyprawili derewa berwenja kruhłogo po peti sażon—30, a berwenja mocnoho i towstoho sosnowoho, szto by sia ku zakładieniu budowania hodiło po peti i szesti sażon kop 20, a derewa welikoho na balki hodnoho wdowż po 26 łokot kop 2, spuszczi tamosznieje wyrobiti i wodoju do zamku tykotinskoho spustiti“ (Z. 47, 88).

Do roboty zamku sprowadzani byli ludzie ze wszystkich dzierżaw królewskich. Listami królewskimi zwoływani byli robotnicy na pewien termin, o czém zawczasu każdy dzierżawca zostawał powiadomiony. Oto ogólny schemat: Dzierżawcy perstunskomu: „W roku tepereszniem 1568 ot 23 maja do dnia 8 junia czełowiekow 25 na dwie niedieli posłał; ot 25 jula do dnia 8 awhusta czeresz niedziel 2 tujuże liczbu; ot 19 sentiebra do oktjabra czeresz niedziel 2; ot 14 nojabra do 28 tohoż mca tujuż liczbu; ot 16 henwaria do 28 tohoż mca i ot 14 marta do 28, tujuż liczbu. Itoje wsieje liczby zawždy na každy czerczu dwie czasti ludiej s konmi i wozy, a tretja czast pieszych. Iżby jeti wojtom samym pri nich byti kazał... a za tuju robotu tykotinskiju iżby jesi wsim poddanym naszym, tym kotoryje około zamku naszoho tykotinskoho robiti budet', na každy tydeń každy, chtoż wozom robiti budet' po dwa hroszi i po 4 penezi, a peszomu po 16 penezej s czinszow naszych otpuszczat“ (p. 9, 68). Takie listy rozsyłano po całej Litwie. Byłyby one wielce cennym materiałem, gdyby się wszystkie dochowały, na nieszczęście w księgach metrycznych dochowały się tylko spisy: kiedy, do kogo i z kim posłano podobne listy z krótką wzmianką—, takowy listy pisany S. N.“ Ostatni list z taką treścią znamy z dnia 24 marca 1569 roku. Potém nastąpiła chwilowa zmiana w sposobie dostawiania robotnika, poczem znouwu powróco-

no do pierwotnego sposobu, jak to widzieć możemy z listu królewskiego do kasztelana wileńskiego Grzegorza Chodkiewicza, posłanego z Knyszyna 8 września 1569 roku... Jakośmy tych niedawnych teraz czasów pilne byli WW. rozkazali, iżbyście już poddanych naszych wedle pierwszego rozkazania i listów naszych na robotę tykocińską nie posyłali, ale abyście pieniądźmi za te roboty z każdój włoki po gr. 8 wybierali, za te pieniądze, folgując poddanym, ludzie ku robotom zamku mieli być najmowani... Jakobyśmy dla uciążenia poddanych naszych, radniejszy to, aby roboty tykocińskie ludźmi najemnymi odprawowane byli widzieli, ale iż ludzie najemni za pieniądze ku tym robotom żadną miarą pod tym czasem sposobieni być nie mogą, a około zamku naszego tykocińskiego roboty są bardzo pilne, tedy chcemy mieć, iżbyście tych pieniędzy nie wybierali, ale wedle pierwszego rozkazowania naszego, poddanych naszych ludzi osadnych posyłali“ (Z. 52, 36). Takie same listy zostały wysłane i do innych starostw i dzierżaw.

Z dziejów budowy zamku w Tykocinie mamy list królewski z Lublina pisany pod dniem 13 czerwca 1569 roku: „Wszem i każdemu z osobaa... a zwłaszcza mytnikom naszym... ich pisarzom i strażnikom... Posyła do Tykocina urodzony Michajło Jało Maliński, marszałek nasz, sto wołów za rozkazaniem naszym i za pieniądze nasze skupione dla roboty do zamku Tykockiego. A tak rozkazujemy wam abyście ten poczet wołów wolno przez wszelakiego hamowania i myta wyciągania wszędzie przepuścili i przepuścić rozkazali. Dan w Lublinie na sejmie walnym koronnym“ (Z. 52, 23).

W ten więc sposób powstawał zamek tykociński.

* * *

Oprócz starostwa Tykocińskiego posiadał Górnicki starostwo wasilkowskie. Kiedy i od kogo je otrzymał rzecz o tyle sporna, że dwaj najnowsi biografowie, piszący prawie razem, różnią się co do daty o całe lat 14. P. Czarnik stara się dowieść, że Górnicki otrzymał Wasilków od Batorego w ostatnich czterech miesiącach jego życia (od początku sierpnia do 12 grudnia 1586 r.), P. Loewenfeld zaś przypuszcza, iż „otrzymał je dodatkowo od tak łaskawego nań monarchy. Zygmunt August ukończył (?) budowę miasteczka Wasilkowa w r. 1568. Oddzielnego starostwa utworzyć zeń nie mógł, ponieważ całe jego dochody nie przenosiły półtory beczki, dołączył je więc dla ulubieńca swego do większego Tykocina.“ Twierdzenia obydwóch autorów są mylne. Posiadamy pewną datę mianowania Górnickiego starostą wasilkowskim.

Pierwój jednak kilka słów o Wasilkowie. Nie rozumiemy z kąd p. L. wie, że Zygmunt August w r. 1568 ukończył budowę Wasilkowa i w jaki to sposób można ukończyć budowę miasta? Kiedy Wasilków został założonym, nie wiemy. Nazwę Wasilkowa spotykamy 6 sierpnia 1528 r. w przywileju Zygmunta I, który „concedit oppido Tykociniensi et villis Złotoria liberum ingressum in nemora Grodnensia et Wasilkoviensia inter fluvios Suprad et Sokołka“ (Inventarium an. 1682 f. 285). Miasto to egzystowało

już w 1564, jak można wnosić z wyroku zapadłego 11 sierpnia 1565 r. „między mieszczaninami Wasilkowskimi, a żydem arendarzem bielskim o zebranie przeszłej zimy 120 kwart horełki“ (Sąd. 49, 28). Widzieliśmy wyżej wzmiankę o nim na dniu 31 sierpnia 1566 roku. 15 grudnia tegoż roku król podczas pobytu swego w Grodnie nadał miastu temu prawo magdeburskie. Z przywileju dowiadujemy się, że Wasilków założonym został z rozkazania królewskiego przez Grzegorza Wołowicza, kiedy on osadzał wolne miejsca w puszczy grodzieńskiej. Zygmunt August, na prośbę mieszczan wasilkowskich, 15 grudnia 1566 nadał im prawo magdeburskie, utwierdził pieczęć:—głowa łosia. Dla opatrzenia ich potrzeb nadał im prawo „sołodowni i browary s kotłami mieti, waznien, pomiernoje i jatki miesnyje, także i mostowoho, na rece Suprosle ot woza kupeckoho po dwa penezi, tyje wsi pożytki majut' oni do skrynki miestkoje wybirati i tym ratusz i inyje potreby onoho miasta otprawowati... wolno też budet' dla potrzeb swoich żorny w domiech swoich mieti, i gdyby w mliniech naszych, abo dla wielikosti abo dla niedostatku wod mliwo byti nie mohło, w nich zbożje i krupy dla potrzeb swoich mołoti... K'tomu jak pierwěj pan Grigoriej Wołowicz lesow, boru, i senużatěj gruntu naszoho włostnoho hospodarskaho ku rozroblenju tym mieszczanom zawieł, zograniczył, i pered nami o tych hranicach dostatočno sprawki dał, tohdy my tyje grunty... nadajem i sim listom utwierdzajem“ (Z. 48, 43 i 50, 40). Dalej następuje szczególowa granica gruntów miasteczka, która w chwili obecnej nas mniej może obchodzić.

Po tém objaśnieniu przechodzimy do Górnickiego.

Wasilków Górnicki otrzymał od Stefana Batorego 21 lipca 1576 roku podczas jego pobytu w Tykocinie. Był to dzień ważny dla Górnickiego. Po koronacyi zjechał Batory do Tykocina, gdzie bawił od 16—23 lipca 1576 roku. Po przybyciu króla mieszkańcy wsi Mazurawa, należącej do Tykocina, zanieśli skargę na Górnickiego. Król wyznaczył dla rozpatrzenia tej sprawy lustratorów, którzy zdali sprawę, nie wspominając w relacyi o Górnickim. Późniejsi biografowie, biorąc z tego pochop, twierdzą, że położenie jego było nie do zazdrości, że nagły przyjazd Batorego do Tykocina zadrażnił go, zmieszkał i zadziwił, że wreszcie król dotknął go boleśnie, postępując przeciw niemu z całą surowością. Zdanie to starał się zbić p. Gloger. Najlepszym jednak dowodem, że król nie dotknął Górnickiego boleśnie jest przywilej na Wasilkowo, gdzie czytamy: „iż my gospodar majuczi wiadomost' ot ich miłosti panow rad naszych koronnych i W. Kn. Litowskoho o hodnych i pilnych zastuhach sekretaria naszoho starosty Tykotinskoho Łukasza Górnickoho, kotorymi on ot czasow dawnych korolu JM sławnoje pamietii Zigimontu Awhustu, prodku naszomu, i roci pospolitotoje panstw naszych wo wsiakich sprawach na nieho JK. Msti prodka naszoho perekładanych wiernie i cnotliwie, pilnie i nakładnie z nielitowaniem znacznych utrat na majetnosti swojej służył i teper zasluhowati nie perestawajet'; jakoż na tot czas buduczi pri nas hospodari ich msti panowie rady naszi, a mianowitie—pan wilen-

skij, pan Jan Jaronimowicz Chodkiewicz, pan trockij podkanclerij WKL. pan Ostafiej Wołowicz i podkanclerij korony polskoje pan Jan Zamojskij służby wpered rzeczonoho Ł. G. nam zalecali i w prćzinie za nim nas żedali pro to my jak zasuhi Ł. G. nam ot J. M. ponow rad naszych zaleconyje mejuczi i sami dielnost' i hodnost' jeho do służob wszelakich ku nam gospodaru i reczi pospolitotoje obaczajuczi... dali jeszcze do jeho żywota folwarok wasilkowskij... niczoho na nas gospodaru i do skarbu naszoho zo wsich pożytkow folwarku mlinow i wołosti wasilkowskoje prichodiaczych nie wyjmujuczi. A k' tomu zostawujem pri pomienienom Łukaszu G. miasto Wasilkowskoje, kotoroje do sieho czasu on że sam dierżit ziwłodnostju wrada wojtowskoho, do jeho ziwota takim sposobom, iż on miasto Wasilkowo w dierżaniu swoim majuczi wszelakie požitki, kotoryje z onoho miasta do skarbu naszoho prichodiaty, do skarbu naszoho otdawati i liczba tych požitków w skarbie naszym cziađty budet' powinien..." (Z. 58, 14 i 63, 9). Przywilej ten w każdym razie świadczy oczywicie, że Górnicki wcale nie był dotknięty boleśnie przez nowego króla, sama taka odezwa pochlebna mogła wynagrodzić szczupłość materyalnego daru. Wasilków rzeczywiście dawał bardzo niewiele. Razem z przywilejem wpisany został do ksiąg wyciąg z inwentarza Wasilkowa, który podajemy.

„Wasilkow miasto, y Folwark, y Wołość.

Według pomiaru rewizorskiego na pasznię dworną obrócono włók 8, ale nie są wyrobione, tylko tak wiele wyrobiono, że się żyta posiało anno 70 beczek 28, z tego się było nażęło kop 85, namłoczyło się tylko b. 25.

Miasto Wasilkow.

Rynkowych prętów	164 $\frac{1}{2}$	po den.	7 $\frac{1}{2}$	czyni kop.	2, 3, 2.
Ulicznych	„ 2583	„	5	„	21, 31, 5.
Ogrodowych	„ 1106	„	2 $\frac{1}{2}$	„	4, 36, 5.
Morgów polnych	243 $\frac{1}{2}$	„	2 $\frac{1}{2}$	„	10, 8, 5.

Z sianożętnych prętów tylko gr. 10; włók miejskich 119 $\frac{1}{2}$ po gr. 42 czyni k. 83,39.

Suma z miasta, według ustawy rewizorskiej, czynićby miała kop 122, 18, 7; ale tego miasta dobrze większa połowica spozarzało, nie tylko prze głód, powietrze, ogień, ale więćej przez złe grunty piaskowate, na których nie jest nadzieja, aby się ludzie osadzać mieli, bo i domy ich opadły.

Do tego miasta dwie wsi są, to jest:

Sioło Studziańka włók 100, z których z dawna pustych włók 45 $\frac{1}{6}$. Na wójta wolnych włók 2, a osadnych wkók 52 $\frac{3}{6}$, s każdej po gr. 50 czynićby miało kop 44.

Sioło Dąbrówka włók 15. Z tych pusta z dawna włóka 1, a z włók 14 płacą po gr. 50 czyni kop 11, 40.

Z tych dwóch wsi czyni kop 55, 40. Z tóm ze wszystkich młynów arendę dają kop 24.

Suma summarum: według opisanja rewizorskiego miałyby czynić ze wszytkiej dzierżawy wasilkowskiej (gdyby wszytko osiadło, co być nie może), kop 201, 58, 7.

Ale teraz wszytkiego, i potym i połowice nie uczyni; kopszczyzny w inwentarzu nie opisano, podobno się to w wolności miejskiej zamyka“. (Z. 63, 20).

Ze Wasilków nie dawał wiele, to kwestyi nie ulega. Wątpić bardzo jednak należy w dosłowność cyfr podanych w inwentarzu. Toć to była wieś, do której trzeba było dokładać: 28 beczek posiano, a 25 zebrano! Cóż się tedy mogło dostać Górnickiemu. Dochód z miasta i wszelkie z niego pożytki dzierżawca, według przywileju, musiał wybierać i oddawać do skarbu. Jemu się dostawały tylko pożytki z folwarków, z których liczby nie miał czynić do skarbu do żywota swego. Tych folwarków było trzy—Wasilków, Studzienica i Dąbrowka. Do Wasilkowa należało dołożyć, nie wystarczyło na zasiew, a inne wsie dają 55 kop 40 złotych. Jeżeli sądzić z tego inwentarza, to nie wiele potrzebował Batory zrobić, aby mieć Górnickiego „jeszcze ochotniejszego i sposobniejszego do służeb.“

Widzieliśmy z przywileju na Wasilków, że w owym czasie Górnicki pełnił obowiązki wójta, co mu nadal pozostawił Batory. Do urzędu tego należały 3 włoiki wójtowskie dwie w Studzienicy i jedna w Dąbrowce. Musiał z nich Górnicki korzystać do chwili przyjazdu króla. Urząd jednak wójtowski, nadany przez Zygmunta Augusta Zdzitowskiemu i jego potomkom. Po śmierci Zdzitowskiego pozostała wdowa, która po roku 1576 pospieszyła się wyjść za mąż powtórnie, i nieletnie dzieci. Otóż po wyjeździe króla z Tykocina dnia 25 lipca 1576 r. w Knyszynie owa wdowa, Hanna Żembocianka, wespołem z mężem swym Piotrem Maciejewskim była czołem królowi i pokładała list króla JEM. „sławnoje pamiati Zigimonta Awhusta, kotorym korol JM. mużu jeje pierszomu Wasilju Zditowskiemu i potomkom jeha, kotoryje by na to hadnymi buduczi z woli JKM. podany byli, dati raczył wojtowstwo w miestie naszom Wasilkowskom, na katoroje wojtowstwo w tomże miestie Wasilkowskom tri wołoki zemli, od wsich płatow wolno, pridanyje jest. A iż tot wójt miesto Wasilkowskoho z toho swieta zszoł a dieti jeha let nie dorosłyje zostali, za czim toje wojtowstwo do ruk i szafunku naszoho hospodarskoho prziszło, tohdy my uważajuczi pro nie dosłyje leta swoje dieti Wasila Zditowskoho onym wrodom wojtowstwa Wasilkowskoho sprawowati nie mogli, wierchu mianowanoe wojtowstwo, to jest władza sudu majdeburskoho do let dietinnych tobie Górnickij zlecili pod takim sposobom: iż ty na onoe wojtowstwo lentwojtom na miescu swoim słułh swoich ani żadnoje moje osoby obczoje stawiti nie mojeż, tolko z tamtych że poddanych naszich wasilkowskich, tam w miestie Wasilkowie dobrze osiętych. A wiedze wzgladom toho prawa, katoroje korol JM. Zigimont Awhust nieboszcziku wójtu Wasilkowskomu i potomkom jeha dati raczył, pozwolili jesmo, i sim listom naszym pozwolajem wpieried rieczenoj Hannie Żembocauce i mużu jeje Pietru Matiejewskomu,

jako tomu, kotoryj dieti pierszoho wojta w opiece swojej majet', tych troh wołok, szto na wojtostwo Wasilkowskoje ot JKM. nadany, okrom władzy spraw sudowych prawa majdeborskocho, także i domu włostnoho, kotoryj ona ot pierszoho muža swojego zapisanyj majet', wolna... dierzati i uzywati: ...A iż tiepier tych troch wołok wojtowskiich ty użiwajesz pro to ot sieho czasu, abyś wśo Pietru Matiejewskomu i żonie jegho Hannie Żemboczance w użiwanje postupił.“ (Z. 63, 18). W ten więc sposób urząd pozostał przy Górnickim, a włoki przy kim innym...

W późniejszych czasach z dochodów starostwa Wasilkowskiego Górnicki wypłacał katedrze wileńskiej 31 kop groszy litewskich. Z tego powodu Zygmunt III, dnia 30 maja 1596 roku, „mając wzgląd na postugi jego, odpuścił mu podwodne pieniądze, które przezeń skarbowi po ten wszystek czas używania dzierżawy wasilkowskiej aż dotąd zatrzymane są. A chcąc mu jeszcze większą łaskę pokazać, daruje te wszystkie podwodne pieniądze, któreby do skarbu z dzierżawy wasilkowskiej przychodziły i przychodzą aż do jego śmierci, gdyż on inszą powinność, według przywileju na dzierżawę wasilkowską sobie danego, pełniąc, kapitule wileńskiej kop litewskich trzydzieści i jedną na rok każdy płaci“ (Z. 83, 100). W teje kwestyi dany był list podskarbiemu Demetremu Chaleckiemu, treści następującej: Zygmunt III etc. Mamy tę wiadomość, iż Uprz. W. starostę naszego tykocińskiego i wasilkowskiego ur. Łukasza Górnickiego o niewydanie podwodnych pieniędzy z dzierżawy wasilkowskiej na sąd nasz pociągać chcesz, których pomieniony Łukasz Górnicki, rozumiejąc mieć prawo na to, iż mu ze wszystkim te dzierżawę wasilkowską dano, za tym też iż się i w te podwodne pieniądze includowały rozumiał, do skarbu naszego nie oddawał, upatrując tedy, iż nie złym umysłem to czynił; więc mając wzgląd na postugi jego, które przodkom naszym i nam samym wyrządzał, odpuściliśmy i tym listem odpuszczamy...“ Dalej następuje powtórzenie tego co powiedziano w liście do Górnickiego (II. 100 v.).

Odpuszczenie zatem podwodnego z Wasilkowa wyprzedziło niemal o rok cały (27 lutego 1597 r.) nadanie Górnickiemu wszystkich dochodów z starostwa tykocińskiego przez Zygmunta III. (Czarnik, 55).

* * *

Niżej podajemy kilka szczegółów dorywczych z życia Górnickiego, które w ogólnej masie mogą przedstawić pewien interes, i choć są okruciami, niech nie giną w zapomnieniu. Piętnaście pierwszych notatek pochodzi z ksiąg Wyroków lubelskich, znajdujących się w Warszawie w arch. gł.

Księga 36: 1. 1589, VII. 12. W sprawie poddanych St. Fogelwедера przeciwko Ł. Górnickiemu, tenutaryuszowi dóbr królewskich Tykocina, a dziedzicowi na Tokowisku, o zabranie siana trybunał nakazuje przysięgę powodom w sądzie bielskim w Surażu (f. 52 v.).

2. 1589, 18, VII. W sprawie Jerzego Brzoski, pisarza ziemi bielskiej przeciwko Ł. G., iż tenże w zmwowie z żydami tykocińskimi—Jaczko, Juda Sulkowicz—zamknął powoda w wieży i więził, sąd potwierdza wyrok ziemski i nakazuje Górnickiemu złożyć oczyszczającą przysięgę w sądzie surańskim, quod actorem non captivavit nec incarceravit (f. 336).

3. Tenże Brzoska przeciwko Ł. G. za niedopełnienie wymiaru sprawiedliwości przeciwko żydom, którzy temuż Brzosce jakoby rany zadali, co na 600 grzywien sobie ocenili. Sąd tryb. żądanie powoda uchyla (344).

4. Tenże pozywa Ł. G. o wycięcie 3,000 drzew w lesie dóbr Szafranki, należących do powoda, sąd tryb. odsyła sprawę do sądu ziemskiego, i poleca Górnickiemu wykonać wraz z 2-ma szlachty przysięgę oczyszczającą, quia 3 milia arborum non excidit. (371).

5. Seweryn Jankowski, dziedzic dóbr Sikory Tomkowskie, przeciwko Ł. G. o niesłuszne jakoby zaaresztowanie powodowi różnych rzeczy ruchomych, skrzyń żelazem okutych wraz z różnemi rzeczami, odzieżą, futrami i t. p. Trybunał uwalnia pozwanego G. od wszelkiej odpowiedzialności (477).

6. Tenże S. Jankowski zaocznie odsądzony od pretensyi, jakie zakładał sobie przeciwko Górnickiemu, za zabranie jakoby 75 złotych z dziesięciny wsi Złotoryi, przez Jankowskiego dzierżawioną (540).

7. Tenże Jankowski zaocznie odsądzony od pretensyi, jakie zakładał przeciwko G. o to, iż go niesłusznie uwięził „vocatam (t. j. Jankowskiego) ad mutua colloquia ad bona Lipniki residentiam tuam protunc tenute tuo a S. R. Mstate“ (554) ¹⁾.

8. 1590, V, 22. Jan Wielicki, dziekan i oficyał Sandomirski, pozwał Ł. G. o dziesięciny w snopach, należące do dekanatu sandomierskiego, zabrane we wsi Zaduszniki w latach 1568, 1586 i 1587, ceniąc je na 30 grzywien i tyleż szkód. Sprawa ze sądu sandomierskiego przeszła drogą apelacyi do trybunału, który postanowił po ostateczną decyzją odesłać strony do sejmu, który miał się zebrać w celu uporządkowania spraw o dziesięciny między stanem świeckim a duchownym (41, 152).

Księga 57: 9. 1594 po 17 kwietnia (post conductus Pasche). Poddany z Wólki Zielonej, której tenutaryuszem Łukasz G., starosta tykociński, pozywa szl. Rafała Kalinowskiego o zabranie dwóch owiec (124).

10. Paweł, syn Andrzeja de Grzymały z powiatu Zambrowskiego, pozwał Ł. G. o niewykonanie sprawiedliwości przeciwko poddanym wsi Sanniki i Pajewo, i uzyskał na nim karę dwakroć sześciu grzywien (binas poenas VI marcarum), którą Ł. G. przez swego famulusa nobilem Nicolaum Głodowski zapłacił w obec sądu (414—418).

11. Tenże pozywa Ł. G. o niespełnianie sprawiedliwości względem swego podstarościego, Stanisława Komorowskiego, za gwałty,

¹⁾ Wszystkie dokumenta od 3—7 pod jedną datą.

których się względem powoda dopuścił. Trybunał odsyła sprawę do sądu ziemskiego tykocińskiego (498).

12. Łukasza G. pozywają Stanisław, Feliks, synowie Alberta Herman, Jan Srednicki, Czochańscy i w. i. heredes in Hermany et comparticipes o zepsucie granicy ich, o poranie ściany dawniej, która dzieliła grunt pozwanych od gruntu królewskiego, (Hermany nadane zostały powodom przez Zygmunta Augusta), dzierżawy tykocińskiej, o uczynienie nowej ściany i t. d. Trybunał nakazuje przysięgę pozwanemu, oczyszczającą ze dwoma ze szlachty (1329).

13. Ł. G., jako powód pozywa Józefa Ożarowskiego de Ożarów, iż tenże sprzedawszy Górnickiemu przed aktami sandomierskimi wieś Leszczkow, nie dostatecznie zabezpieczył tytuł własności od nagabania krewnych i współuczestników. Powód nie staje przed sądem, strona pozwana od pretensyi się uwalnia (60, 370) ¹⁾.

14. 1596. Ł. Górnicki uzyskuje wyrok banicyi przeciwko Czochańskim, Hermanom i in. o niesłuszne pretensye (vide nr. 12), (68, 383).

15. 1598. Pozwany przez Stanisława z Kruszewa Kruszewskiego, Ł. G. o odmówienie sprawiedliwości nad poddanymi wsi Mazury, uwolniony od odpowiedzialności (ks. 76).

16. 1604, III, 29. Jakób Mężeński zeznał na dniu 10-go maja 1604 roku przed aktami ziemskimi drohiczyńskimi obligacją, uczynioną przed sądem ziemskim bielskim, odprawionym w Brańsku 29 marca 1604 r., w której Mikołaj Kiszka, starosta drohiczyński, potwierdził, że dobra swe Ostrożany i Jaszczołty zastawił w 3,500 zł. córce nieboszczyka Łukasza Górnickiego, Zofii, wdowie po nieboszczyku Maksimilianie Mężeńskim (kopia wierzytelna z archiwum prywatnego).

Więc Zofia nie długo po śmierci ojca owdowiała.

Podane wyżej szczegóły usprawiedliwiają następujące sprostowanie w datach, podawanych przez biografów Górnickiego:

1. Górnicki nie otrzymał dzierżawy tykocińskiej bezpośrednio po śmierci Jana Szymkowicza (1569).

2. Daty postąpienia Górnickiego na starostwo tykocińskie należy szukać pomiędzy 8 września 1571 r. a 8 maja 1572 roku. Najprawdopodobniej nominacya zapadła w roku 1572.

3. Wasilków dostał Górnicki od Stefana Batorego w dniu 21 lipca 1576 roku.

4. Jednocześnie Stefan polecił mu pełnienie urzędu wójtowskiego w Wasilkowie, do pełnych lat dzieci pierwszego wójta, Zdzitowskiego.

Petersburg, we wrześniu 1885 roku.

¹⁾ Od 9—13 jedna data.

SZKOŁY LUDOWE W GALICYI.

PRZEZ

H. d-ra Biegeleisena.

1. Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wydane przez krajowe biuro statystyczne pod redakcją prof. dr. Tadeusza Piłata, tom IX, zeszyt I. Lwów, drukarnia związkowa, 1886, str. 72 in folio.

2. Sprawozdanie c. k. Rady szkolnej krajowej o stanie wychowania publicznego w roku szkolnym 1883/4. Szkoły ludowe i seminaria nauczycielskie. We Lwowie, 1886, nakładem c. k. Rady szkolnej krajowej, str. 52, in folio.

Sprawa reformy szkoły ludowej w Galicyi, będąca przedmiotem obrad na każdej niemal sesji sejmowej, nie doczekała się dotąd, mimo różnych przemian, stanowczego załatwienia. Szkoły ludowe domagają się obecnie w dwóch głównie kierunkach reformy: w kierunku dydaktycznym żądamy, aby naukę udzielaną w szkołach ludowych, przystosowano bardziej do stosunków i potrzeb praktycznych tej najliczniejszej części ludności, która poprzestaje na elementarném wykształceniu; w kierunku administracyjnym żądamy, aby zarząd funduszami szkolnymi, należycie uporządkowano i przeniesiono w ręce, zdolne odpowiednio go sprawować, a następnie, aby administracya szkolna, zwróciła starania swoje i zasoby, któremi rozporządza, głównie ku zakładaniu szkół ludowych w gminach, które ich dotąd nie mają, zamiast pomnażać liczbę klas w szkołach już istniejących. Prócz tych żądań, które dotąd były głównym przedmiotem dyskusyi również w sejmie jak i w jego komisjach, i na zgromadzeniach publicznych, podnoszono w prasie jeszcze inne żądania, jak sprawę szerszego zastosowania nauki półdziennej, co pozwoliło-

by poprzestać na mniejszej liczbie sił nauczycielskich, dalej sprawę odmiennego rozkładu ciężarów szkolnych i t. p. kwestye mniejszej doniosłości. Żądaniom tym, odnoszącym się do strony administracyjnej, stało się w małej tylko części zadość przez rozporządzenie Rady szkolnej i przez ustawy krajowe z lat ostatnich. Wszczęły się więc z tego powodu spory między Radą szkolną krajową a wydziałem sejmiku krajowego, które dotychczas nie zostały rozstrzygnięte. Jak się to często zdarza w sprawach publicznych, tak i tu krytykę istniejących urzędzeń tudzież żądanych zmian utrudniają wielce liczne uprzedzenia i nieporozumienia, po większej części ztąd wynikające, że spierający się oceniają stan rzeczy w całym kraju, według własnych spostrzeżeń z najbliższego otoczenia zaczerpniętych, a zbyt pośpiesznie zgeneralizowanych i że w ogólności pauzuje wiele niejasności co do istotnego stanu rzeczy. W obec tego koniecznym zadaniem, jakie spełnić należy dla uchylenia owych nieporozumień i uprzedzeń, dla ograniczenia zakresu dyskusyi i stworzenia dla niej wspólnej przedmiotowej podstawy, jest niewątpliwie dokładnie przedstawienie faktycznego stanu rzeczy. Zadanie to, wchodzące całkowicie w zakres pracy statystycznej, spełniają sumiennie wiadomości statystyczne, wydawane przez prof. T. Pilata (Lwów, 1886), zestawiające najważniejsze i najświeższe daty, odnoszące się do strony administracyjnej i finansowej urzędzeń szkolnych.

Zanim podamy wyniki badań prof. Pilata, przedstawimy w kilku słowach obecny stan szkół ludowych w Galicyi.

Ustawy galicyjskie rozróżniają dwie kategorie szkół ludowych, stosownie do tego, czym kosztem szkoły się utrzymują. Szkoły ludowe utrzymywane w całości lub w części z funduszków państwa, kraju, powiatu lub gminy, są szkołami publicznymi, wszystkie inne są szkołami prywatnymi.

Publiczne szkoły ludowe zostają pod nadzorem rad szkolnych miejscowych, a w dalszym rzędzie rad szkolnych okręgowych i rady szkolnej krajowej. Szkoły prywatne nie podlegają nadzorowi rad szkolnych miejscowych, lecz tylko zwierzchniemu nadzorowi wyższych władz szkolnych, chętnie udzielających pozwolenia na otwarcie takiego zakładu. Nauczycieli uczących w tych szkołach dobiera sobie właściciel zakładu, muszą oni jednak posiadać odpowiednie uzdolnienie. Plan nauki musi odpowiadać co do celu wymaganiom, postanowionym dla szkoły publicznej tego samego stopnia, lecz może obejmować jeszcze dalsze kierunki. Co do urzędzeń szkolnych istnieje ten tylko warunek, aby nie budziły obawy o zdrowie dzieci. Minister wyznań i oświaty może przyznać szkołom prywatnym prawo wydawania świadectw, mających to samo znaczenie prawne, co świadectwa udzielane przez szkoły publiczne. Ponieważ organizacya publicznych szkół ludowych nie jest dotychczas przeprowadzoną w całym kraju, dla tego istnieją jeszcze publiczne szkoły ludowe, urządzone na podstawie dawniejszych przepisów szkolnych, które odróżniamy od szkół

zreorganizowanych, t. j. urządzonych na podstawie ustaw szkolnych z r. 1873. Szkoły ludowe publiczne zorganizowane dzielą się podług zakresu nauki na szkoły wydziałowe i pospolite. Pospolite szkoły ludowe mogą być albo etatowe albo filialne. W tych ostatnich udzielają nauki nauczyciele szkoły sąsiedniej, bądź stale utrzymywani, bądź dochodzący, lub też nauczyciele nadetatowi. Publiczne szkoły ludowe służą równocześnie dla nauki chłopców i dziewcząt. Wszakże gdzie tylko wystarczają miejscowe fundusze, albo gdzie jest wielki napływ uczniów, mają dziewczęta pobierać naukę oddzielnie, lub mają być urządzone oddzielne szkoły żeńskie. Podług ilości klas, dzielą się szkoły ludowe na jedno- dwu- lub więcej klasowe, stosownie do tego, czy w nich uczy jeden tylko nauczyciel, czy też dwóch lub więcej. Podział szkół zatem według ilości klas jest podziałem według ilości sił nauczycielskich. Przy szkołach prywatnych zaś podział na klasy nie stoi w związku z ilością nauczycieli, lecz oznacza tak samo, jak w szkołach średnich, ilość stopni nauki.

Według I-jej tablicy statystycznej prof. Pilata, było w całym kraju w ostatnim roku szkolnym tylko 14 szkół wydziałowych (8 męskich a 6 żeńskich). Wszystkie miały po ośm klas, a zatem obejmowały także niższe stopnie nauki, wchodzące w zakres szkół ludowych pospolitych. Razem mamy szkół ludowych publicznych, urządzonych na podstawie obowiązujących ustaw szkolnych, 2,721, takich zaś, których organizacja polega na dawniejszych przepisach, jest w bieżącym roku szkolnym jeszcze 348. Szkół prywatnych, których liczba daleko częściej się zmienia niż liczba szkół publicznych, było z początkiem bieżącego roku szkolnego ogółem 318, nie licząc ochronek, ani też chajderów żydowskich, których część ma także charakter ochronek, lecz liczby ich dokładnie dotychczas nie znamy. Z ogólnej liczby (318) szkół prywatnych utrzymują: gminy wyznaniowe (wyłącznie prawie ewangelickie) szkół 73, zgromadzenia zakonne — 32, inne stowarzyszenia — 10, osoby prywatne aż — 194; z tej ostatniej liczby mamy szkół ludowych, utrzymywanych przez obszary dworskie w całym kraju tylko 9, licząc w to szkołę w Zakopanem, do której utrzymania przyczyniają się robotnicy przy hamerni. Kiedy tymczasem resztę, około sto kilkadziesiąt szkół, utrzymują włościanie, którzy składają się na wspólnego nauczyciela dla dzieci swoich. Nauka ta odbywa się przeważnie tylko w zimowych miesiącach, zazwyczaj po chatach, ograniczając się do nauki czytania, pisania i rachunków, a udzielaną jest przez ugodzonego nauczyciela, którego kwalifikacja bywa bardzo rozmaita. Jeżeli zwłaszcza z tego ostatniego względu, jakoś nauki udzielanej w takich szkołach nieraz może wiele pozostawiać do życzenia, to z drugiej strony szkoły takie są w każdym razie chlubnym dowodem samoistnego poczucia potrzeby oświaty u ludności wiejskiej. Między szkołami prywatnymi znajduje się szkoła w Lipniku pod Białą, utrzymywana przez stowarzyszenie szkolne niemieckie (deutscher Schulverein). Jest to jedyna szkoła w Galicyi, subwen-

cyonowana przez rzeczony stowarzyszenie, którego celem jest popieranie germanizacji w krajach z ludnością mieszaną. Aby ocenić, o ile kraj nasz zaopatrzone jest w szkoły ludowe, dość powiedzieć, iż mamy jeszcze 2,376 gmin wcale nie zaopatrzonych w szkoły ludowe, a gminy te obejmują 1,350,000 ludności, czyli czwartą prawie część ludności całego kraju. Ztąd, że procent ludności nie zaopatrzonej w publiczne szkoły ludowe jest blisko dwa razy mniejszy, niż procent gmin, w których ta ludność mieszka, wynika, iż między niezaopatrzonymi dotąd w publiczne szkoły ludowe, znajdują się przeważnie gminy małe, liczące nie wiele mieszkańców, a skutkiem tego rozporządzające daleko skromniejszymi środkami materyalnemi. Tablice statystyczne prof. Pilata świadczą, że do powiatów najgorzej zaopatrzonych w szkoły ludowe, należą powiaty zachodnie i niektóre środkowej części kraju. Do powiatów zaś najlepiej zaopatrzonych, należą powiaty wschodnie i niektóre na południu środkowej części kraju położone. Szkoły prywatne nie mają obowiązku przyjmowania zgłaszających się uczniów, trudno zatem obliczyć, w jakim stopniu istnienie tych szkół czyni zbędnem, lub przynajmniej mniej pilnem zakładanie szkół publicznych w tych samych gminach. Ze stanowiska oświaty musimy jednak uwzględnić, że jakkolwiek nauka w szkole publicznej jest zazwyczaj więcej uregulowaną i obejmuje zwykle większą ilość młodzieży, to przecie szkoły prywatne mogą spełniać zadanie edukacji równie dobrze, a czasem w miarę lepszych sił nauczycielskich nawet lepiej, niż sąsiednie szkoły publiczne. W tej też myśli stanowi ostatnia nowela szkolna, że, „gdzie prywatna szkoła ludowa czyni zadość potrzebie, tam nie zachodzi konieczność założenia publicznej szkoły ludowej.“ W skutek uchwał sejmowych, wzywających rząd do zwrócenia szczególniejszej uwagi na zakładanie szkół w okolicach dotąd w szkoły niezaopatrzonych, zaczęła wzrastać w ostatnich latach ilość szkół nowozałożonych. W ostatnim preliminarzu z r. 1885 wykazano szkół nowozałożonych 131. Przypuściwszy, iż w latach następnych zakładanoby po 131 szkół corocznie, upłynęłoby jeszcze więcej niż 12 lat, zanimby wszystkie gminy w kraju zaopatrzone zostały w szkoły ludowe. Stosunek gmin, utrzymujących szkoły u siebie do gmin, przydzielonych do gmin sąsiednich przedstawia się tak, że obecnie z ogółu gmin, zaopatrzonych już w szkoły, trzy czwarte mają je u siebie, a jedna czwarta przydzieloną jest do szkół w gminach sąsiednich. W ostatecznym rezultacie wypadnie założyć w całym kraju jeszcze 1,796 szkół ludowych publicznych. Rozwój szkoły ludowej odpowiadającej intencjom ustawodawstwa, tudzież łożonym na nie znacznym ofiarom z funduszków publicznych, zależy niewątpliwie od ciągłego nadzoru nad zachowaniem się nauczycieli, od czuwania ciągłego nad tem, aby według właściwej metody udzielali nauki i należycie postępowali z dziećmi. Tymczasem już pogląd na obszar i załadnienie okręgów szkolnych wskazuje, że część ich jest za rozległą, aby inspektorowie mogli ów nadzór należycie spełnić. Jeden inspektor okrę-

gowej może należycie dozorować najwięcej 120 szkół. Tymczasem z okręgów szkolnych, w których liczba szkół publicznych, nie licząc wcale szkół prywatnych, choć te także nadzorowi podlegają, przekracza tę miarę, ma okrąg np. Złoczowski do 200 szkół. Reforma więc nadzoru szkolnego jest konieczną. Może ona polegać albo na pomnożeniu liczby rad szkolnych okręgowych, przez co zmiejszyłyby się obszar okręgów szkolnych, albo też na pomnożeniu liczby inspektorów szkolnych okręgowych przez przydanie drugiego inspektora okręgowego, w których liczba szkół jest zbyt znaczną. Pierwszy środek, za którym przemawia żywszy udział powiatów w zarządzie szkolnym, jeśli tenże ma swoje siedzibę w obrębie powiatu, wymagałby ustawy krajowej; drugi środek t. j. samo pomnożenie liczby inspektorów okręgowych przewidziany jest w ustawie z d. 25 czerwca 1873 i mógłby być zastosowanym w drodze rozporządzenia, skoroby ze skarbu państwa, który opłaca inspektorów okręgowych, wyznaczony został potrzebny w tym celu kredyt. Ustawa krajowa z d. 2 lutego 1885 wkłada obowiązek zakładania i utrzymywania publicznych szkół ludowych, w pierwszym rzędzie na gminy, wcielone do zakresu szkolnego, zobowiązując zarazem obszary dworskie, należące do tej samej gminy podatkowej do przyczyniania się na te cele. Obowiązkowe te „prestacje“ pieniężne gmin i obszarów dworskich na rzecz szkoły, wpływają wraz z karami ściąganiem od rodziców za opieszałość w posyłaniu dzieci do szkoły, oraz z innymi dochodami do funduszu szkolnego. Fundusze te szkolne, czyli co na jedno wychodzi, ciężary, połączone z urządzeniem i utrzymaniem publicznych szkół ludowych oparte są w kraju naszym przeważnie na podstawie podatkowej. W obec tego, chcąc rozpatrzeć stronę finansową zarządu szkół ludowych, wypada przedewszystkiem zyskać pogląd na ową podstawę podatkową. Jest nią z jednej strony gmina, z drugiej obszar dworski. Ogólna kwota rządowych podatków bezpośrednich opłacanych w Galicyi, wynosi przeszło jedenaście i ćwierć miliona zł. rocznie. Owa kwota podatków, służących za podstawę do wymiaru dodatków na pokrycie wszelkich potrzeb samorządu krajowego, rozkłada się w ten sposób, że na obszary dworskie przypada 31% ogólnej kwoty podatkowej, na gminy wiejskie i miasteczka aż 57%, na resztę miast tylko 12%. Udział właścicieli większych posiadłości jest najmniejszy tam, gdzie większa własność składa się prawie wyłącznie z lasów, jak to ma miejsce przedewszystkiem w górach, za to zaś stosunkowo najznaczniejszym jest na Podolu, gdzie grunta większej własności należą przeważnie do kategorii ról, tudzież w okolicach, w których więksi właściciele posiadają znaczniejsze przedsiębiorstwa przemysłowe. Kwota roczna t. zw. rzeczowych wydatków szkolnych t. j. wydatków na wystawienie lub najem i utrzymanie budynków szkolnych i mieszkań dla nauczycieli, tudzież na ich opał i oświetlenie, nie da się obliczyć ściśle. Dla najogólniejszego jednak zorientowania się, gdybyśmy przyjęli, zgodnie z Radą szkolną krajową kwotę 284 zł., ja-

ko przeciętną roczną wysokość wydatków rzeczowych, to w obec tego, że ilość szkół ludowych publicznych dojdzie prawdopodobnie, po dokonaniu organizacyi w całym kraju, do cyfry 5,000, wydatki rzeczowe funduszków szkolnych miejscowych, wynosiłyby wtenczas w całym kraju z wyłączeniem Lwowa i Krakowa rocznie 1,373,708 zł. Rozłożywszy tę sumę w myśl ustawy na opodatkowanych wypadnie: na właścicieli większych posiadłości około 15,000 zł.; kiedy na gminy wiejskie i miasteczka wypadnie do 1 miliona.

Co do innych wydatków na publiczne szkoły ludowe, do których należą przedewszystkiem płace nauczycieli, ustawa przepisuje granicę obciążania „dodatki do podatków“ tak na rzecz funduszków szkolnych miejscowych, jak i okręgowych. Najwyższy zasób „prestacyj“ podatkowych na rzecz funduszków szkolnych miejscowych wynosi 9% od podatków w gminach, a tylko 3% od podatków na obszarach dworskich. Przychody funduszków szkolnych miejscowych, przeznaczone na opłacanie nauczycieli, w myśl ustawy szkolnej przelewane bywają do funduszu szkolnego okręgowego, a ten do krajowego, powiększają się zaś głównie przychodami „z dodatków do podatków,“ uchwalonych przez rady powiatowe. Otóż w zarządzie tymi funduszami, okazały się wielkie „mankamenta,“ które były przedmiotem gorących walk władz szkolnych ze sejmowemi. Wiadomości statystyczne, jako oficjalny organ wydziału krajowego podają następujące „przyczyny znacznych wadliwości“ w zarządzie funduszu szkolnego krajowego. W pierwszym rzędzie leżała wadliwość w tém, że rady szkolne okręgowe, którym władze polityczne mają dostarczać potrzebnych sił pomocniczych, nie rozporządzając w dostatecznej mierze takimi siłami, nie prowadziły należycie ksiąg kontowych funduszków szkolnych okręgowych a nie mając wskutek tego ewidencji stanu rzeczonych funduszków nie mogły przedstawiać Radzie szkolnej zamknięć rachunkowych i należycie ułożonych preliminarzy. Dalsza przyczyna leżała w tém, że rady szkolne okręgowe nie pilnowały wczesnego ściągania przychodów swoich, a mianowicie przeznaczonych na opłacanie nauczycieli, a wydatki szkolne, które powinny i mogły być pokryte temi przychodami, pokrywały zasiłkami z funduszu szkolnego krajowego. Trzecia przyczyna wadliwości leżała w tém, że ustawa szkolna poruciła ściąganie „prestacyi,“ przeznaczonych na płace nauczycielskie, a wpływających następnie do funduszu szkolnego okręgowego, w pierwszym rzędzie radzie szkolnej miejscowej. Rada szkolna miejscowa zaś i wybrany z pośród nię przewodniczący nie mogą podołać temu obowiązkowi, ponieważ nie służy im prawo egzekucyi. Prócz tego brak im zbyt często i chęci do gorliwego pilnowania, aby przychody funduszu szkolnego miejscowego regularnie wpływały; z drugiej zaś strony ani rady szkolne okręgowe, ani rada szkolna krajowa, nie mają sposobu zmusić je do pełnienia obowiązków, gdyż ustawa o nadzorach szkolnych nie obmyśliła w tej mierze żadnych środków. Według ustawy tej, rady szkolne miejscowe i ich przewodniczący nie po-

dlegają władzy dyscyplinarnej wyższych władz szkolnych, a jedyną skuteczną atrybucją, jaka służy w obec nich radzie szkolnej okręgowej, jest prawo odjęcia zarządu funduszem szkolnym miejscowym i poruczenia go innej radzie szkolnej miejscowej, lub objęcie go we własne ręce. Pierwsza ewentualność nie może przynieść pożytku w praktyce, druga obarcza radę szkolną okręgową, nie mogącą najczęściej podolać własnym obowiązkom, znacznym nowym ciężarem. Wreszcie czwartą przyczyną jest ta okoliczność, że ustawa o kosztach utrzymania szkół, tworząc trzy stopnie funduszków szkolnych, wprowadziła je w taką od siebie zależność, iż regularny zarząd funduszu szkolnego krajowego, zawisł od regularnego zarządu funduszami szkolnymi okręgowymi, a ten znowu od należytego zarządu funduszami szkolnymi miejscowymi. Każde więc zaniedbanie w zarządzie tych ostatnich funduszków, musi koniecznie odbijać się na funduszu szkolnym krajowym. Niedostatki te w urzędzeniu i zarządzie funduszków szkolnych wykazywano kilkakrotnie w sejmie krajowym, lecz nigdy nie przyszło do zmian w przepisach ustawy. Natomiast władze szkolne poczyniły w drodze administracyjnej doniosłe zmiany w tej mierze. Obok tych zmian zarządziła rada szkolna krajowa przedtém jeszcze likwidacją funduszków szkolnych okręgowych za ostatnich lat 10.

W ciągu lata roku 1885 uskuteczono wreszcie zamknięcie rachunków funduszu szkolnego za rok 1884. Równie owe rachunki funduszków szkolnych okręgowych z ostatniego dziesięciolecia, wykazujące po raz pierwszy, jakie przychody i jakie wydatki miały powyższe fundusze od czasu założenia swego, jak i wspomniane zamknięcie rachunków funduszu szkolnego krajowego z r. 1884, ułożone po raz pierwszy na podstawie rachunku funduszków szkolnych okręgowych z tegoż roku,—okazały się bardzo niedokładne, co dało nowy powód do skarg i sporów dotąd niezafatwionych. Całą tę zawiłą sprawę wyjaśniają tablice statystyczne prof. T. Pilata.

Równocześnie z „Wiadomościami statystycznymi“ wyszło uzupełniające je sprawozdanie Rady szkolnej krajowej (we Lwowie 1886), którego wyniki podaję tu w streszczeniu.

Najprzód co się tyczy szkół wydziałowych, to zestawienie cyfr szkół tej kategorii świadczy, że frekwencya klas niższych, połączonych ze szkołami wydziałowemi, jest bardzo silna, zarówno w szkołach męskich jak i żeńskich. Natomiast co do frekwencyi trzech klas najwyższych wydziałowych, to ludność korzysta z nich chętnie tylko dla nauki dziewcząt, udział zaś chłopców jest bardzo nieznaczny. Jeśli się zjawiśko to zestawie z przeludnieniem, panującym w niższych klasach gimnazjów, i z niską frekwencyą szkół realnych, natenczas można dojść do wniosku, że jedna z głównych przyczyn tego stanu leży w panującym wśród całego społeczeństwa prądzie, któryni powodowani rodzice odsuwają jak najdalej decyzją względem przyszłego zawodu dzieci, dążąc przedewszystkiém do utorowania im wstępu do wyższych stanowisk

w życiu społeczném. Szkoły wydziałowe nie mogły rozwinąć się w tych miejscowościach, w których istnieją szkoły średnie. Ani bowiem miasto stołeczne (Lwów i Kraków), ani miasta takie jak Stanisławów, Tarnopol, Rzeszów, nie wytworzyły warunków dla założenia szkół wydziałowych męzkich. Cyfra dzieci, uczęszczających do nich w stosunkach normalnych, bywa zawsze cokolwiek niższą od cyfry dzieci zapisanych. Zwykle bowiem ostrość pory roku, choroby, i tym podobne powody sprawiają niejakię przerzedzenie szeregów dziatwy szkolnej, zapisanej z początkiem roku szkolnego. W szkołach wiejskich sprawa znaczne ubytki pora, w której rodzice używają dzieci do pomocy przy robotach gospodarskich. W szkołach galicyjskich jednakże występują znaczne różnice między cyfrą zapisanych, a uczęszczających do szkoły z winy rodziców, którzy, mimo wywieranego przez władze nacisku, zaniedbują obowiązku posyłania dzieci do szkoły. Bywają gminy, w których pod parciem napomnień i kar, wymierzanych przez Rady szkolne miejscowe lub okręgowe, zapisy wykazują wysokie bardzo cyfry dzieci, z tych jednakże później bardzo znaczna ilość w ciągu roku ubywa. Ogólna suma dzieci, pobierających naukę w zakresie szkół ludowych, wynosiła w roku szkolnym 1883/4 w całości... tylko 413,483. Cyfrę dzieci, będących w wieku szkolnym, a pobierających naukę w zakładach wyższych (gimnazyach, szkołach realnych, w szkołach przemysłowych i tym podobnych zakładach specjalnych, tudzież otrzymujących przepisaną naukę w domu), można oznaczyć w przybliżeniu na 10,308.

W szkołach ludowych przeważa pod względem wyznań chrześcijańskich liczba chłopców znacznie liczbę dziewcząt, najsilniej w obrządku grecko-katolickim. Natomiast co do dzieci wyznania mojżeszowego przeważają w szkołach publicznych znacznie dziewczęta, ponieważ mniej oświecone klasy ludności izraelskiej u młodzieży płci męskiej kładą większą wagę na nauki talmudyczne i posyłają dla tego chłopców w znacznie większej ilości do hajderów. W ogóle walczą wyznawcy religii mojżeszowej z mniejszemi uprzedzeniami co do nauki dziewcząt niż co do nauki chłopców. W szkołach prywatnych zaś przeważa ilość dziewcząt znacznie nad ilością chłopców, z wyjątkiem dzieci wyznania ewangelickiego. Tłómaczy się to tém, że między prywatnymi zakładami zajmują liczebnie niepoślednie miejsce szkoły klasztorne i pensyonaty, specjalnie dla płci żeńskiej przeznaczone. Zliczywszy dzieci każdego wyznania, uczęszczające do szkół publicznych i prywatnych, i porównawszy je z wykazaną liczbą obowiązanych dzieci tego samego wyznania, dochodzi się do następujących rezultatów:

Wyznania:	Wykazano dzieci		Różnica
	obowiązanych	uczęszczających	
Rzymsko-katolickie	285,763	177,459	108,304
Grecko-katolickie	247,041	128,589	118,452
Ewangelickie	6,182	5,302	880
Mojżeszowe	83,202	39,705	43,497
Razem	622,188	351,055	271,133

Z powyższego wynika, że stosunek dzieci uczęszczających do obowiązanych przedstawia się najkorzystniej u dzieci ewangelickich, a najmniej u dzieci wyznania mojżeszowego, których cyfra uczęszczających do szkoły nie dochodzi nawet do połowy. Wysoka cyfra dzieci 288,381 nie pobierających żadnej nauki w gminach posiadających szkoły, dowodzi, że środki przymusowe przeciwko rodzicom i opiekunom niedopełniającym obowiązku posyłania dzieci do szkoły, nie odniosły pożądanego skutku. Za nieposyłanie dzieci do szkół pospolitych wydano w Galicji orzeczeń, skazujących na karę aresztu (1 dzień i wyżej) osób 3,904. Wykonano orzeczeń, skazujących na karę aresztu, w ogólności osób 2,819. Wydano orzeczeń skazujących na grzywny pieniężne 28,983. Suma ściągniętych grzywien pieniężnych wynosiła w całym kraju 10,245 zł.

Między poszczególnymi okręgami szkolnymi panowały co do zastosowywania tych środków przymusowych wielkie różnice. Niektóre Rady szkolne okręgowe oświadczają się słusznie zasadniczo przeciwko zastosowywaniu kar aresztu za winy tego rodzaju, a to z tego powodu, że kara aresztu powstrzymuje winnych od pracy, do której ich przynaglają kary pieniężne. Nadto wskazują niektóre Rady okręgowe trudności, jakie napotyka tego rodzaju ekzekucya, nie nakładając ich przeto wcale, ażeby przez niewykonanie nałożonych nie osłabiać powagi prawa. Kar pieniężnych nie ekzekwowano w niektórych okolicach z powodu klęsk elementarnych, które je nawiedziły (np. powódzie), co Rady szkolne okręgowe wyraźnie zaznaczają.

Warunki, pod któremi czasowo nieobecność dziecka w szkole może być usprawiedliwioną, określa regulamin szkolny w tych słowach: „nieobecność dziecka w szkole usprawiedliwia się 1) słabością jego udowodnioną; 2) słabością rodziców lub krewnych, wymagającą pozostawienia dziecka w domu 3) niepogodą, któraby zdrowie jego naraziła na niebezpieczeństwo, 4) złą drogą do tego stopnia, że niepodobna mu było dostać się do szkoły.“ Ze sprawozdań wynika jednakże, że rady szkolne miejscowe, powołane do czuwania nad wykonaniem tych przepisów, zbyt często przy zwalnianiu dzieci wychodzą

poza zakres, dopuszczony regulaminem szkolnym. Dowodzi tego wysoka cyfra 120,238 dzieci uwolnionych formalnie przez Rady szkolne miejscowe od uczęszczania do szkoły.

Między motywami, uzasadniającymi uwalnianie od uczęszczania do szkoły, podają Rady szkolne miejscowe, prócz wymienionych w regulaminie, jeszcze następujące przyczyny: wielkie ubóstwo wielu rodziców, którzy wskutek tego nie mogą dzieciom swoim dać nie tylko potrzebnych przyborów, ale nawet niekiedy zaopatrzyć je w niezbędne ze względu na porę roku odzienie i obuwie. Wczesne używanie dzieci do posług w gospodarstwie, a mianowicie do pasania bydła. W wielu okolicach zaś znaczna odległość mieszkań od szkoły. Stosuje się to mianowicie do miejscowości położonych w górach. Przepelnienie klas, bądź to z powodu szczupłości budynków szkolnych, bądź też z powodu trudności w uzyskaniu środków na otwarcie klas nowych. Wszystkie te powody mają tylko czasowe znaczenie. Nie oparte na ustawie, nie mogą one uzasadnić stałego uwolnienia od uczęszczania do szkoły i wkładają na władze szkolne obowiązek zaradzenia potrzebie, przez usuwanie przeszkód, utrudniających tym dzieciom korzystanie z dobrodziejstwa nauki szkolnej, o ile to jest w ich mocy, o ile to należy do zakresu ich działalności. Aby nauka szkolna wydała należyte owoce, niezbędną jest rzeczą, ażeby dzieci uczęszczały do szkoły przez całe prawem przepisane sześcielecie. Wymaga tego przedewszystkiem rozkład nauk. Dopiero na wyższych stopniach nauki, mianowicie w 4, 5, i 6 roku, gdy trudności początkowe są zupełnie pokonane, można z korzyścią podawać dzieciom obfitsze wiadomości, mogące się im przydać później w życiu praktycznym. Dzieci opuszczające szkołę przed ukończeniem przepisanej ustawy sześcielecia, będą miały nawet w zakresie najpotrzebniejszych wiadomości wiedzę bardzo niedokładną. Dla utrwalenia podawanych wiadomości choćby w najskromniejszym zakresie, potrzeba więc zapobiegać zbyt wczesnemu przerywaniu nauki szkolnej. Konieczności tej dowodzi psychologiczna obserwacja natury dziecka. U dzieci zaciera się szybko i łatwo wrażenia odebrane, jakkolwiek zrazu silne i wyraźne. W miejscowościach, w których katalogi pierwszego roku nauki są przepelnione, a frekwencya na wyższych stopniach znacznie i nagle maleje, nie może szkoła wydać należytych i pokaźnych owoców. Stosunek liczby frekwencyi klas wyższych do niższych dowodzi, że jeszcze przeważną część dzieci szkolnych w kraju naszym poprzestaje na najniższych stopniach nauki. Uderza też w cyfrze dzieci, uczęszczających do szkół publicznych, nagłe spadania ogólnej cyfry od klasy do klasy. Wiele też dzieci przerywa już w pierwszych latach uczęszczanie do szkoły, do której je rodzice tylko pod groźbę przymusowych środków zapisali. W szkołach prywatnych przedstawiają się te stosunki korzystniej. Różnica między szkołami publicznymi a prywatnymi tłumaczy się tem, że dzieci, uczęszczające do szkół prywatnych, pensyonatów w miastach

większych, pochodzą z klas zamożniejszych i wyżej wykształconych, których rodzice bez użycia środków przymusowych, sami dbają o to, ażeby dzieci odebrały wykształcenie. Oprócz tego znaczna część frekwency szkół prywatnych przypada na dzieci, uczęszczające do wyznaniowych szkół ewangelickich i izraelskich. Ludność zaś gmin ewangelickich, przeważnie niemieckiego pochodzenia, dąży jak świadczą liczne objawy, z pełną świadomością do dania dzieciom zupełnego wykształcenia szkolnego. Uboższe i mniej wykształcone warstwy ludności wyznania izraelskiego w wielu okolicach jeszcze stronią od szkół publicznych a nawet od szkół wyznaniowych. Jeżeli jednakże przełamają panujące w tej mierze uprzedzenia, natenczas garną się do szkół z zapałem i odznaczają się wytrwałością w dochodzeniu do kresu, przepisanego planem szkoły. Spostrzeżenie to uczyniono nie tylko na prowincyi, ale nawet i w stolicy kraju, gdzie w niektórych szkołach (o znacznie mieszanój frekwencji) dzieci wyznania mojżeszowego w najwyższych klasach stanowią daleko wyższy procent, aniżeli w niższych klasach tej samej szkoły.

Najnowsza ustawa krajowa wprowadziła obowiązek posyłania dzieci, po ukończeniu nauk w szkole ludowej na tak zwaną naukę niedzielną, na którą przeznaczyla trzy lata, po 4—6 godzin tygodniowo. Celem nauki niedzielnej jest z jednej strony powtórzenie tego z dziećmi, czego się uczyły przez lat sześć w szkole, a z drugiej uzupełnienie ich wiedzy przez naukę takich przedmiotów, które im w życiu praktycznym są niezbędnie potrzebne. W szkołach zatem wiejskich powinien nauczyciel przeważnie uczyć w szkole niedzielnej gospodarstwa wiejskiego, ogrodnictwa i pszczolnictwa, gospodarstwa domowego kobiecego, rachunków gospodarskich i stylistyki praktycznej. W szkołach zaś miejskich winna nauka ta uwzględnić przeważnie rzemiosła, przemysł miejscowy i handel. W szkołach żeńskich należy przedewszystkiem uczyć głównie tego, co w domowym gospodarstwie i zarządzie domu jest niezbędnem. Nauka niedzielna, czyli dopełniająca nie wydała jednak spodziewanych owoców, ponieważ nauczyciele sami mają zbyt mało wiadomości praktycznych w gospodarstwie i przemyśle, a powtóre dla tego, że brak u nas dotychczas podręczników w tym kierunku

PESSYMIZM

I

WSZECHWŁADZA PAŃSTWA.

PRZEZ

Eugeniusza Lipnickiego *).

3. Teorya a praktyka.

Jak Aleksander W. Homera, tak Gustaw Adolf król szwedzki na swych wyprawach wojennych woził ze sobą dzieło Grotiusza, które po katastrofie w bitwie pod Lützen znaleziono w namiocie królewskim. Czytając to dzieło, król zwykł był raz po raz wołać: „jeden tylko jest Grotius;“ atoli niekiedy zauważał, że łatwo mógłby mu dowieść, iż wielka zachodzi różnica pomiędzy teoryą a praktyką, a łatwiej coś napisać, aniżeli wykonać i zastosować do danych okoliczności. Innego zdania był Jean Jacques Rousseau, który w wstępie do „Contrat social“ oświadcza: „On me demandera, si je suis prince ou legislateur pour écrire sur la politique? Je reponds que non et que c'est pour cela que j'écris sur la politique. Si j'étais prince ou legislateur, je ne perdrais pas mon temps à dire ce qu'il faut faire, je le ferais ou je me tairais.“ Myśliciel francuzki więc nie rozróżniał, jak król szwedzki, pomiędzy teoryą a praktyką, lecz był mocno przekonany nie tylko o konieczności, lecz nawet o możliwości naprawienia stosunków publicznych odpowiednio do swój teoryi. Istotnie najprzód pod koniec zeszłego stulecia we Francyi, a potem niemal we wszystkich innych państwach europejskich, zwyciężyła główna zasada teoryi Rus-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za m. kwiecień r. b.

sa, t. j. zasada woli ludu przeciwstawiona zasadzie nieograniczonej władzy ¹⁾). Żadne inne dzieło nie wywarło tak bezpośredniego i potężnego wpływu, jak *Le contrat social*. Świadczy o tém w równej mierze historia parlamentaryzmu i nowoczesnego piśmiennictwa politycznego. I rzecz to całkiem naturalna, bo świat, choć zwolna, postępuje wciąż naprzód, to téż optymizm czyli wiara w postęp, ostatecznie powszechniejszego w ogóle dostępuje uznania, aniżeli brutalny germański pesymizm, oparty na pogardzie natury ludzkiej.

Mniej doniosłym w skutkach było dzieła Grotiusa. Wprawdzie autor został mianowany posem szwedzkim u dworu francuzkiego, a przy najznakomitszych wszechnicach powstały specjalne katedry dla wykładow jego wickopomnego dzieła, jak w Włoszech istniały katedry Daniego. Jednak nie udało mu się przekonać świata o konieczności uszanowania pewnych moralnych praw w stosunkach międzynarodowych, bo i dziś góruje w nich „prawo nad siłą.“ Ale jeżeli i teraz jeszcze przeważa przypisane przez Plutarcha Brennusowi „najstarsze z wszystkich praw, które sięga od Boga aż do zwierząt, a silniejszemu daje władzę nad mieniem słabszych,“ jeżeli wojny nie stały się rzadszemi ani łagodniejszymi, lecz przeciwnie namiętniejszemi i podobniejszymi do łupieżstwa, to znowu głównie do tego przyczynił się pesymizm germański, od którego pokonania zależy dalszy postęp.

Co do Hobbesa, nie doczekał on się rozgłosu takiego, jak Hugo Grotius, lub J. J. Rousseau. Każdy polityk zna ich dzieła; mało który czytał dzieło „*De cive*.“ A jednak w chwili śmierci autora teorya jego w głównej części zapanowała niemal w całej Europie. Hobbes nie poruszył i nie ożywił prądu absolutystycznego, lecz teoretycznie go uzasadnił i sformułował. Choćby atoli tak samo, jak dzisiaj inny pesymista germański, Hartmann, nie był twórcą pewnego systemu polityczno-filozoficznego, lecz tylko komentatorem i woźnym, to jednak dzieło jego w nader donośny sposób służy do zupełnego wyjaśnienia jednego z najohydniejszych okresów dziejów ludzkości, który trwał mniej więcej od r. 1650 do 1789.

Na filozofie angielskim sprawdziły się słowa Pisma ś-tego, że nikt nie jest w ojczyźnie swojej prorokiem; bo właśnie jego ojczyzna, z której zatargów domowych wziął pochop do ułożenia swój teoryi i dla której zbawienia ją wygłosił—właśnie Anglia jedna poszła drogą odmienną! Jeszcze za życia Hobbesa r. 1666 parlament w umyślnej uchwale potępił „*Leviathana*,“ a po jego śmierci wszechnica oksfordzka 21 lipca 1683 r. i „*Leviathana*“ i „*De cive*,“ uznała jako dzieła niemoralne i nakazała ich spalenie. Przywrócenie dynastyi Stuartów zdawało się zapowiadać teoryom Hobbesa zwycięztwo

¹⁾ Konwenoya francuzka była tylko epizodem i chwilową dyktaturą, i wcale nie wynikała z teoryi państwowych J. J. Rousseau, ani się zgadzała z jego humanitarnemi dążnościami.

Dnia 25 maja r. 1660, w 30-tą rocznicę swych urodzin, Karol II-gi, uczeń Hobbesa, wśród powszechnego zapału znużonej gwałtownymi przewrotami ludności, odprawił wjazd tryumfalny do Londynu. Domy były przystrojone kobiercami i chorągwiami, ulice wysypane kwiatami, a gdy burmistrz i marszałkowie obu Izb parlamentu przywitani króla przemowami, pełnemi wiernopoddańczej lojalności, Karol odparł nie bez przymieszki ironii: „Widocznie to tylko moja wina, że nie stanąłem tu wcześniej; dłużej przynajmniej nie spotkałem nikogo, któryby nie był zaręczal, że zawsze pragnął przywrócenia prawowitego tronu.“ Niebawem rozpoczęła się gwałtowna reakcja przeciwko uczestnikom rewolucji. Z sędziów Karola I-go, adwokat generalny Coke, Harrison i 5 ławników położyło głowy pod topór; tenże los spotkał pułkowników Axtela i Hackera, którzy byli strzegli króla w więzieniu, a nawet kapelana Hugh Petersa. Wszyscy z odwagą męczenników wstępowali na rusztowanie, wołając, że nie minie zemsta za krew niewinnie przelaną i że wkrótce sprawa króla upadnie. Nawet nad umarłymi pastwiła się reakcja. Karol V-ty przed grobowcem Lutra, gdy mu radzono wyrzucić zwłoki arcykacerza, odpowiedział: „Toczę wojnę z żyjącymi, nie z umarłymi.“ Karol II kazał wydobyć z grobów zwłoki Cromwella, Bradshawa i Iretona, powiesić je na szubienicy, potem pod nią zasypać. Szkocki ksiądz Guthrie, który zwołał zgromadzenie ludowe, aby królowi przypomnieć jego obowiązki, został ścięty, a parlament w uniesieniu słuźalczém w osobnym prawie każdemu, któryby śmiał mówić o uwięzieniu lub oskarżeniu króla, zagroził karami, nałożonemi na zdradę stanu.

Ministryum „Cabal“ (Clifford, Ashley, Buckingham, Arlington i Lauderdale), rozpoczęło systematyczną pracę nad przywróceniem nieograniczonej władzy królewskiej, ale przez to wywołało tylko stanowczy opór narodu. Karol II-gi, jak zauważa Macaulay, stwierdził tylko na nowo prawdę, że dzieje są najlepszą, ale najmniej słuchaną mistrzynią w sprawach politycznych. Popępiał te same błędy, które ojca jego pozbawiły korony i życia. Tylko nagła śmierć króla, 12-go lutego 1685 r., zapobiegła powtórzeniu się podobnych katastrof. 25-cio letnie rządy Karola II-go, wykazały atoli niemożliwość pogodzenia dynastji Stuartów z aspiracyami narodowemi. Znienawidzony brat i następca jego Jakób II, już w trzecim roku panowania musiał ustąpić tronu zięciowi swemu, księciu Wilhelmowi Oranii. Nowy król jako warunek panowania swego, dnia 18-go lutego 1689 r., potwierdził słynny bill of rights. Była to także poniekąd „umowa,“ tylko wielce odmienna od aktu poddania się, w myśl Hobbesa. Według tej umowy bowiem nie wolno królowi zawieszać wykonania praw, ani ustanawiać specjalnych trybunałów dla spraw kościelnych, nakładać bez przyzwolenia parlamentu podatków, ani utrzymywać wojska w czasie pokoju; wybory do parlamentu miały być wolne, o mowach postów nie miał sędzić żaden trybunał, lecz tylko sam parlament! Kiedy Karolowi I-u 17-go czerwca r. 1642 parlament przedłożył słynne 19 artykułów,

powtórzone potem w bill of rights, król odparł: „Gdybym te uchwały potwierdził i nadal zdejmowanoby przedemną kapelusz, całowanoby mi ręce, odzywanooby się do mnie: Wasza Królewska Mość, a rozkazy wasze ukrywałyby się poza formułką: wola królewska, objawiona przez obie Izby! Noszonoby przedemną miecz i laski, i mógłbym się radować widokiem korony i berła, ale co do rzeczywistej potęgi byłbym malowanym obrazem, cieniem króla.“ Wilhelmowi III-mu i jego następcom, pomimo tak stanowczego ograniczenia władzy królewskiej, pozostało dosyć blasku i potęgi. „Bill of rights“ tudzież uchwalony 22 czerwca 1701 r. celem zapewnienia następstwa dynastji hanowerskiej „act of settlement“, stały się podstawą nowoczesnego konstytucyjnego ustroju Anglii, a zapewniwszy jej nie tylko potęgę, lecz także pokój wewnętrzny, najdobitniej zaprzeczyły teoryi Hobbesa, jakoby go zabezpieczyć mogła jedynie nieograniczona i niepodzielona władza.

Tylko w Irlandyji przez cały wiek XVIII, od haniebnego złamania traktatu limerickiego aż do zniesienia parlamentu irlandzkiego w r. 1801, z brutalnością, cechującą szczerp germański, zastosowywano do praktyki teorią o prawie mocniejszego i o wszechwładzy państwa nad mieniem i sumieniem poddanych. Dziś i tam system ten okazał się niezdolnym do zabezpieczenia pokoju publicznego i utrzymania się wbrew woli ludności. Liczące 280 milionów obywateli lub podanych królestwo W. Brytanii a cesarstwo Indyi, widzi się zmuszonem pomyśleć o ugodzie z 5-cio milionową Irlandyją! ¹⁾

Najświetniejszym reprezentantem systemu Hobbesa, który swym przykładem głównie się przyczynił do rozpowszechnienia go w Europie, był niezawodnie Ludwik XIV-ty. Dzieła „De cive“ zapewne nie czytał, bo czytać nie lubił, a raczej przez intuicyą i wrodzony zmysł autokratyczny praktykował, co wyrozumował pesymista angielski. Wprawdzie już w r. 1564 we Francyi sformułowano nieograniczoną władzę królewską w tych słowach: „Król może prowadzić wojnę, zawierać rozejm i pokój, kiedy mu się podoba, może nakładać podatki, wygłaszać prawa, statuty i ordonanse, tworzyć urzędy, według swego upodobania; wszystko, co mówi, ma wartość prawa i uważa się na równi z wyrocznią Apolina“ ²⁾. Była to jednak teoria, której na każdym kroku przeczyła odmienna rzeczywistość, dopóki król dzielił się najwyższą władzą z sejmami (états généraux), parlamentem, kościołem, niemal niezależnymi gubernatorami prowincyi i wielkimi dostojnikami, jak w. hetman koronny (connetable), w. admirał i t. d., i dopóki istniała można i do oporu pochopna szlachta, tudzież samodzielna korporacya wyznaniowa (bugenoci). W czasie małoletności króla (1643—1661), za rządów kardynała Ma-

1) Piszemy to w chwili, gdy w Londynie ministeryum przedstawia bill o przywróceniu parlamentu w Irlandyji.

2) Vincent de la Loupe: „Livre des dignitez, magistrats et offices“ i t. d. Paryż, 1564.

zariniego, zamieszki domowe (fronde 1648) wykazały dobitnie, że nawet kardynał Richelieu nie zdołał przełamać wszystkich żywiołów samodzielnych, że nie zdołał trwale zabezpieczyć nieograniczonej władzy królewskiej. Odkąd atoli w marcu roku 1661, król Ludwik XIV-ty liczący wówczas lat 23, objął rządy z oświadczeniem, że sam będzie swym pierwszym ministrem ¹⁾ i pod hasłem, całkiem zgodnym z teorią Hobbesa: „l'état c'est moi;“—wykonywał przez 54 lat tę najwyższą i nieograniczoną władzę, nie napotykał ani razu na poważniejszy opór.

Wykonywał ją zaś z wszelką świadomością swych praw domniemanych. „Francya—powiada w swych przestrogach dla następcy tronu—jest monarchią w najszerszém znaczeniu wyrazu; wszelka władza spoczywa w ręku króla i nie może być w kraju inna, tylko ustanowiona przez króla. Ta forma państwowa uajlepiej odpowiada charakterowi narodu i jego położeniu. Wszystko, cokolwiek się w państwie naszym znajduje, czémkolwiekby było, należy do nas z tego samego tytułu prawnego. Pieniędzmi, znajdującemi się w naszej szkatule i w ręku skarbników, jako téż temi, które pozostawiamy w obrocie publicznym, możemy rozporządzać dowolnie.“ Pod koniec życia, dotknięty skrupułem co do téj teoryi, wynurzył się przed spowiednikiem O. Tellierem. Ten prosił o kilka dni namysłu, wreszcie powrócił z oświadczeniem uajbiegłejzych doktorów Sorbonny, wykazującym niezbitemi dowodami (tak upadła brak wolności!), że wszelkie mienie poddanych jest własnością króla, który zabierając je, odbiera tylko swą własność. Odtąd król już nie wątpił, „que tous les biens de ses sujets ne fussent siens et que ce qu'il n'en prenaît pas et qu'il leur laissait, était pure grâce“ ²⁾.

Dopóki kosztowne wojny i zbytki dworu nie wypróźniły zupełnie kas poddanych, z których król czerpał, jakoby z swych własnych; dopóki znajdował zdolnych ministrów, jak Colbert i Louvois, wodzów jak Turenne, dopóty dopisywało mu szczęście i olśniewało świat cały. W końcu jednak wystąpiły na jaw ujemne strony nieograniczonej, niekontrolowanej przez nikogo, ale téż nie wspieranej znikąd szczerą radą i przestrogą władzy. „Król francuzki—szydził później Montesquieu pod maską persa, podróżującego po Francyi ³⁾—jest najpotężniejszym monarchą na ziemi. Nie posiada wprawdzie kopalni złota, jak jego sąsiad król hiszpański, ale jest bogatszym od niego, bo ciągnie swe dochody z niewyczerpanej próżności swych poddanych. Jest on téż wielkim czarownikiem, bo panuje nad rozumem swych pod-

¹⁾ W przemowie króla do kanclerza: „Je vous ai fait assembler avec mes ministres et mes secrétaires d'Etat pour vous dire que jusqu'à présent j'ai bien voulu laisser gouverner mes affaires par feu M. le cardinal (Mazarin): je serai à l'avenir mon premier ministre. Vous m'aidez de vos conseils quand je vous les demanderai.

²⁾ Mémoires du duc de Saint-Simon, IX, str. 9.

³⁾ „Lettres persanes,“ list z r. 1712.

danych i zmusza ich myśleć, jak mu się podoba. Mając w skarbie tylko milion, a potrzebując dwóch, oświadcza swym poddanym, że talar wart dwa i wierzą mu. Wmówił w nich nawet, że dotknięciem swjej ręki może ich wyleczyć z wszelkich chorób ¹⁾. Zastanawiając się nad jego charakterem, odkryłem w nim trudne do rozwiązania sprzeczności. I tak np. ma ministra, który liczy dopiero 18 lat, a metresę, liczącą 80; przywiązany do swjej religii, nie lubi tych, co twierdzą, że trzeba spełniać jej przepisy; lubuje się w zwycięztwach i trofeach, ale mieć na czele swych wojsk zdolnego wodza, jest dla niego równie przykrém, jak gdyby go widział na czele nieprzyjacielskiego; w rozdawaniu zaszczytów i nagród postępuje sobie samowolnie, nie pytając, czy obdarzony jest mężem zasłużonym, mniema, że wybór jego czyni go takim; tak generałowi, który się cofnął 2 mile nadał skromną pensyą, drugiemu, który uciekł 4 mile, intratną posadę gubernatora ²⁾.

Zarówno jak względem własności, tak też i w sprawach kościelnych Ludwik XIV powodował się teoryami Hobbesa ³⁾ o wyższości państwa nad kościołem. Z tych teorii przedewszystkiém wynika potrzeba kościołów narodowych. To też Ludwik XIV-ty na téj drodze uczynił ważny krok, skłaniając biskupów francuzkich do uchwalenia znanej „*déclaration du clergé de France*,” 19 marca 1682, która się miała stać podstawą kościoła „galikańskiego.” W swych stosunkach z stolicą apostolską Ludwik XIV też częściej okazywał się jako wszechmocny król Francji, aniżeli jako „najstarszy syn kościoła,” i nie szczędził ani groźb, ani otwartej wojny, gdy mu chodziło o utrzymanie swych prerogatyw królewskich, mianowicie w znanym zatargu o prawo przytułku ambasadorów, uwierzytelnionych u dworu papieżkiego. Z drugiej strony z owjej teorii nieograniczonej władzy wynika także zasada „*cujus regio, illius religio*.” Ludwik XIV zastosował ją w sposób brutalny do hugenotów. Kardynał Richelieu był im odebrał tak zwane „miasta bezpieczeństwa,” aby nie tworzyli nadal państwa w państwie; ale nie targnął się na zabezpieczone im w edyktie nantejskim przez Henryka IV-go swobody religijne. Ludwik XIV okazał się gorliwszym od kardynała. Najwięcej przemówiły do jego przekonania podszepty, że nie jest właściwie nieograniczonym władcą, dopóki 2 miliony francuzów wyznają odmienną od niego wiarę, i że

1) „*Le roi te touche, Dieu te guerisse.*”

2) Takie pomyłki łatwo się tłómaczą, skoro osoba, choćby najgenialniejsza, sama załatwia wszystko w państwie. Filip II hiszpański, który tak samo jak Ludwik XIV-ty, był na prawdę swym pierwszym ministrem, w jednym z swych listów do córki, z powodu popełnionej pomyłki, pisze: „*Verois que lo deve andar la cabeça con tantas cosas como la corgan.*” — Wiesz co się dzieć musi w mojej głowie, obarczonej tak różnorodnemi sprawami.” Jest to właśnie dobitny dowód przeciwko pożyteczności bezwzględnie nieograniczonej władzy.

3) Porównać str. 16.

mądry Henryk IV-ty z pewnością nie byłby wydał edyktu nantejskiego, gdyby wtedy władza królewska była stała na wyższym stopniu. Rozpoczęły się więc misye przy asystencyi wojskowej, ohydne dragonady, konfiskaty dóbr, aż wreszcie 18 października 1685 r. wyszło rozporządzenie królewskie, znoszące edykt nantejski pod pretekstem, że wskutek nawrócenia się największej części hugenotów stało się owo prawo zbyt cieżnym ¹⁾.

W ten sposób we Francyi Leviathan-państwo stało się rzeczywistością, a Ludwik XIV mógł się także uważać za „śmiertelnego Boga.“ Jakoż w swych pismach oświadcza: „Ten, co ludziom dał króli, chce ich widzieć szanowanych jako swych zastępców i sam sobie zastrzegł prawo roztrząsania ich czynów. Kto urodził się jako poddany, zobowiązany jest wyłącznie do posłuszeństwa. Główne zadanie królów polega na tém, aby działali według swego geniuszu. Bóg, który ich stworzył królami, oczywiście udziela im też potrzebnego światła i niezawodnie w wielu rzeczach, w których niejako zastępujemy Boga, posiadamy część jego władzy i rozumu, jako przy sądzeniu ludzi, rozdawaniu urzędów i łask” i t. d. W „réflexions sur le métier de roi“ dodaje: „Błędy, które popełniłem i które mi sprawiają zgrzyotę, wynikły z uprzejmości, z jaką słucałem niekiedy zdania drugich!“

Mało który monarcha tak był niepospolitemi przymiotami umysłu i charakteru uzdolniony do urzeczywistnienia teoryi o nieograniczonej władzy, jak Ludwik XIV, zasługujący ze wszech miar na przydomek wielkiego. Niezłomność jego charakteru jaśniała w pełni, zwłaszcza w zmiennych kolejach losu podczas sukcesyjnej wojny hiszpańskiej. W czynach, ruchach i słowach odznaczający się majestatyczną powagą, nie był to koronowany komedyant, jak królowie hiszpańscy, lecz samowładca w każddej chwili życia pałający rzeczywistą ambicyą monarszą. To też w szczęściu nie pastwił się nad zwyciężonymi, lecz często składał dowody wspaniałomyślności, nie żądając haraczu lecz przeproszenia, w niepowodzeniu zaś narażał się raczej na najgroźniejsze niebezpieczeństwo, aniżeli by się był upokorzył. Z dumą osobistą łączył gorącą miłość wielkości i honoru Francyi. Uważając się za uosobnienie państwa, czuł się też odpowiedzialnym za jego pomyślność. Bez wszelkiej przesady raz się odezwał do Villarsa: „Jestem więcéj francuzem niż królem.“ Nie poprzestając na wawrzynach wojny i zręcznej dyplomacyi, na polu nauk ścisłych, poezyi ²⁾, budownictwa, zwyczajów towarzyskich i ogłady, swym przy-

¹⁾ W Berlinio przed kilku miesiącami obchodzono nader uroczysto 200-ną rocznicę tego wypadku oraz gościnnego przyjęcia hugenotów w Prusach, jak gdyby brutalne wydalenie 40,000 spokojnych pracowitych ludzi z Prus pod koniec XIX-go stulecia nie było czynem haniobniejszym, niż zniesienie edyktu nantejskiego.

²⁾ „Tous ces grands hommes furent connus et protégés de Louis XIV, excepté La Fontaine“ Voltair: Siécle de Louis XIV.“

kładem i swą mądrą opieką wywołał rozkwit tak świetny, że Francya stała się ogniskiem, Paryż stolicą Europy.

A jednak monarcha tak niepospolitych zdolności nie zdołał utrwalić ani dowieść bezwzględnej użyteczności systemu, którego był reprezentantem. W ostatnich czasach jego panowania potrzeba zmiany stawała się coraz widoczniejsza. Nawet Fénelon wypowiedział wtedy niepatryotyczne zdanie: „Cóż nas ocali, jeżeli z tej wojny wrócimy bez dotkliwej porażki?“ Zaledwo wszechmocny król skonał w Wersalu, gdy parlament paryzki zniweczył jego testament, a dwóch niedołączonych następców przywiodło dynastya burbońską do upadku.

Równocześnie z wstąpieniem Karola II-go na tron angielski i objęciem rządów Francyi przez Ludwika XIV, prąd absolutystyczny w sposób dramatyczny zwyciężył w Danii. Tam od r. 1648 panował Fryderyk III. Wojna z Szwecyą naraziła Danią na dotkliwe straty, zatwierdzone traktatami w Roeskilde (1658) i Kopenhadze (1660). Król umiał zręcznie zwalić całą winę na panujący stan szlachecki, wielce skompromitowany zdradą wielkiego hofmistrza, hr. Korfitza Ulfelda, który zrażony intrygami królewskimi udał się do Szwecyi, gdzie podobnie jak nasz podkanclerzy Radziejowski, podżegał króla szwedzkiego do wojny z Danią.

Król postanowił skorzystać z wrogiego szlachcie usposobienia stanu mieszczańskiego celem uwolnienia się od krępujących władzę monarszą ustaw państwowych. Jakoż bez przyzwolenia rady państwa, nie było mu wolno rozpoczynać wojny, zawierać pokoju lub przymierzy, wydalać się z kraju, ani rozdawać urzędów inaczey jak na propozycyą rady państwa; gdyby król naruszył tę ustawę państwową, radzie państwa przysługiwało prawo, działać według ustaw krajowych. Łatwo sobie wyobrazić do jakiego stopnia ciążyły dworowi te przepisy, odnawiane przy wstąpieniu każdego nowego króla w tak zwanych „kapitulacyach elekcyjnych“ (pacta conventa) a tak sprzeczne z samowładczym prądem czasu! Otwarty dnia 8 września r. 1660 sejm, miał posłużyć do przeprowadzenia królewskiego zamachu stanu. Pomiędzy dworem a stanem mieszczańskim, na którego czele stał 62-letni burmistrz Kopenhagi, Hans Nansen, który się był odznaczył mężstwem w czasie oblężenia stolicy przez szwedów, a stanem duchownym, kierowanym przez zdolnego mówcę i zdolnego intryganta superintendenta Hansa Suanego, pośredniczył sekretarz królewski Krysztof Gabel. Ta trójca występowała pod hasłem: „Dania królestwo dziedziczne.“

Dnia 7 paźdź. dwa stany mieszczański i duchowny zaproponowały posłom szlachty przyznanie królowi w nagrodę za okazaną w czasie wojny szwedzkiej wytrwałość i waleczność korony dziedzicznej, wskutek czego upadłyby kapitulacye. Szlachta w dwa dni potem odpowiedziała odmownie. Wtedy dwa niższe stany w uroczystym pochodzie udały się do zamku królewskiego i wręczyły monarsze swe uchwały, przyjęte łaskawie. Tymczasem feldmarszałek Hans Schack trzymał w pogotowiu wojsko, studenci uzbroili się, bramy miasta zamknięto

aby zapobiedz oddaleniu się szlachty i zerwaniu sejmu, zbrojne tłumy zebrały się przed gmachem obrad i zmusiły szlachtę przystać na wnioski dwóch innych stanów. Dnia 14 paździer. sejm uznał dziedziczność tronu i zniósł kapitulacye. Dnia 18 paźdz. wśród wielkich uroczystości składano królowi przysięgę, a w styczniu następnego roku stany podpisały deklaracyą, uznając nieograniczoną władzę królewską.

Jak każda rewolucya, tak i ta, znacznie przekroczyła pierwotne cele. Zamierzano osłabić wpływ szlachty, skończyło się na wskrzeszeniu absolutyzmu. Sejm bowiem r. 1665, dnia 14 listopada, w tak zwanym „prawie królewskim“ orzekł wyraźnie, że król jest nieograniczonym naczelnikiem we wszystkich świeckich i kościelnych sprawach, że posiada wyłączne prawo ustanawiania i znoszenia ustaw, nakładania podatków, rozpoczynania wojny, zawarcia pokoju i t. d., ze słowem: tylko Bogu odpowiedzialnym za swe czyny, pod warunkiem jednak utrzymania wyznania augsburskiego, jako relegii państwowej.

W tragiczniejszych warunkach, choć mniej skutecznie prąd samowładczy oddziaływał w Węgrzech. Tam od czasu złotój buli króla Andrzeja II władza królewska była ściśle określona, sejm uchwalał ustawy i podatki a musiał prawnie być zwoływany co trzy lata. Nadto szlachta posiadała legalne prawo insurrekcyi, gdyby król naruszył konstytucyą; w czasie nieobecności króla rządził palatyn, obcokrajowcy byli wykluczeni od urzędów, obce wojska nie miały mieć wstępu do kraju.

Królowie z rodu habsburskiego od czasu wybrania Ferdynanda I-go królem węgierskim (1526) systematycznie dążyli do rozszerzenia swój władzy. Ztąd wywiązywały się nieustanne zatargi pomiędzy narodem a królem ¹⁾, zaostrzone kwestyą religijną, gdyż znaczna część Węgrów przeszła na protestantyzm. Niekorzystny pokój, zawarty przez cesarza Leopolda I-go z Turcyą w Wasvarze (w sierpniu r. 1664), wywołał powszechne oburzenie i skłonił katolików i protestantów do spólnej akcji przeciwko dworowi wiedeńskiemu. Najwyższy sędzia (judex curiae), hrabia Nadazdy i ban Chorwacyi, hrabia Piotr Zrinyi, brat sławnego obrońcy Szigeta, w porozumieniu z młodym Franciszkiem Rakoczym, synem ostatniego wojewody siedmiogrodzkiego, stanęli na czele ruchu, wspierani przez posła francuzkiego w Wiedniu p. de Gremonville ²⁾. Ale cesarz energicznemi środkami wyprzedził spiskowców. Rakoczy został pobity na głowę, Nadazdy i Zrinyi zdradzieckim sposobem uwięzieni, odwiezieni do Wiednia i ścięci zarówno

¹⁾ Węgrzy mówili: „Król ma być naszym opiekunom, nie panem, a wolność nasza nie zgadza się z poddaństwem.“ Pesel wencyański Molin.

²⁾ Ludwik XIV w swych radach dla następcy tronu pod r. 1666 zauważa: „Utrzymywałem także tajno stosunki z hrabią Zrinyim, aby wywołać powstanie w Węgrzech na przypadek, gdybym był wciągnięty w wojnę z cesarzem.“

z hrabiami Frangipani i Tattenbach w kwietniu r. 1671. Hr. Tattenbach właściwie nic nie zawinił. Z dziwną, snać nieświadomą wcale doniosłości swych wyznań szczerością, pisał wówczas ces. Leopold do swego posła w Madrycie hr. Pöttinga: „Niechętnie przystałem na egzekucyą Tattenbacha, ale musiałem przyzwolić, aby w Węgrzech nie sądzono, że karzę tylko Madziarów!“ Widocznie jednak Leopold I, choć monarcha o najciaśniejszych wyobrażeniach, zrozumiał, że sam ten akt okrutnej sprawiedliwości w niesprawiedliwości—nie zjedna mu Węgrów. Dla tego wysłał tam generała Gaspara Ampringena, zaoptowanego w władzę dyktatorską, z której korzystał tak samo, jak w r. 1849 Haynau. Biograf zaś i panegirysta Leopolda O. Wagner w swém dziele terroryzm usprawiedliwia twierdzeniem: „Gens dura et perruca non nisi atrocibus suppliciis, et quae alibi sacra videntur, coerceretur.“

W Wiedniu wtedy za inicjatywą ministra Lobkowicza, który później z powodu przyjmowania podarunków od Ludwika XIV, został oddalony od dworu, zabrano się do zupełnego zniesienia konstytucyjnych swobód Węgier. Nasamprzód ogłoszono zabrane u spiskowców papiery, a ponieważ z nich wynikało, że niemal cała szlachta węgierska była w ich plan wtajemniczona lub o nim wiedziała, wnioskowano ztąd, że cały naród węgierski, jako spółwinny insurrekcyi, stał się niegodnym swych przywilejów. Celem przeprowadzenia zamierzonych „reform“ na drodze nibyto legalnej, cesarz zwołał sejm węgierski; gdy nikt na nim nie stanął, dnia 21 marca r. 1671, wydano rozporządzenie, obowiązujące Węgry do utrzymywania 30-tysięcznego wojska niemieckiego. Nowe rozporządzenie z 6 czerwca znosiło wszelkie swobody Węgrów i wprowadzało nieograniczoną władzę cesarską, to wszystko w imię prawa „jake korona otrzymała od Boga.“ Znienawidzony Ampringen, wielki mistrz niemieckiego zakonu rycerskiego, został potwierdzony na posadzie generał-gubernatora.

Atoli ten austriako-węgierski zamach stanu pozostał bez trwałego skutku. Już w r. 1674 młody magnat Emerich Tekely, zięć świętego hr. Zrinyiego, wszczął powstanie „pro libertate et justitia,” które trwało lat 10. Po oswoobodzeniu Wiednia przez Jana III i wyparciu Osmanów z Węgier, dwór wiedeński, pomimo napomnień sprzymierzeńca i zbawcy swego, rozpoczął w Węgrzech na wielką skalę wytępienie szlachty. Miało się tu powtórzyć to, co w Czechach działo się po bitwie pod Białą górą. Generał Caraffa w Eperies osiadł z trybunałem wojennym, w którym sam spełniał obowiązki oskarżyciela i sędziego. Wieszano, ścinano i ćwiertowano. Gdy cesarz sądził, że opór złamany, zwołał sejm do Preszburga. Ale licznie zgromadzona szlachta wprawdzie uznała tron jako dziedziczny i zniosła prawo insurrekcyi, stanowczo jednak oparła się absolutystycznemu zachciankom dworu (31 paźdz. 1687). Król musiał i nadal składać przysięgę na konstytucyą kraju. Jakoż sejmy węgierskie zwyciężko przetrwały okres wszechwładzy państwa okres, któryby można nazwać okresem Hobbesa.

Popęd do samowładztwa tak był wówczas silny, że ulegały mu nawet społeczeństwa republikańskie. W Prowincjach-Zjednoczonych, taki był urzędowy tytuł dzisiejszej Holandyi, od dawna stronnictwo republikańskie walczyło o przewagę z dążącym do samowładzy rodem książąt Oranii. Sprawami rzeczypospolitej kierował wtedy zrzęcznie i ogłędnie wielki pensyonaryusz Jan de Witt. W wojnie z Karolem II angielskim, który pragnął zapewnić przewagę swemu siostrzeńcowi, 10-letniemu ks. Wilhelmowi Oranii (1665—1667), flota holenderska pod wodzą Ruytera okryła się nieśmiertelną sławą. Wkrótce potem zatrważające postępy Ludwika XIV-go wywołały sojusz Anglii, Holandyi i Szwecyi celem poparcia Austrii. W skutek tego, za pośrednictwem Papieża, Ludwik XIV zawarł 1 maja 1668 r. pokój z Austryą w Akwisgranie. Olśnieni takim powodzeniem holendrzy kazali wybić medal z popiersiem swego posta u dworu francuzkiego, pana Jozuy, z napisem: „In conspectu meo stetit sol,” jak gdyby poseł holenderski był unieruchomił króla Francyi, zwanego przez swych pochlebców „słońcem.“ Nadto de Witt przeparał w radzie związkowej uchwałę, tak zwany „akt harmonii,” według której nadal urząd wielkiego kapitana i admirała nigdy nie miał być powierzany stathouderowi, którym był ks. Oranii.

W téj chwili więc stanowcza przewaga znajdowała się po stronie obozu republikańskiego. Ale niebawem miał nastąpić całkowity przewrót. Ludwik XIV nie zapomniał obrazy. W roku 1672 zażądał od Hollandyi przyznania katolikom swobód religijnych. Gdy Hollandya odmówiła, rozpoczęła się wojna (6 kwietnia). Już w czerwcu wojska francuzkie, zdobywszy kilkanaście miast, stanęły w samej Hollandyi (prowincyi). Opór zdawał się niemożliwym i Jan de Witt, za pośrednictwem Piotra de Groot, syna sławnego Hugona Grotiusa, rozpoczął z rządem francuzkim układy o pokój. Tymczasem stronnictwo ks. Oranii umiało zrzęcznie rozpowszechnić pomiędzy pospółstwem potwarz, że de Witt został przekupiony przez Ludwika XIV-go, że powiedział, iż woli się stać poddanym króla Francyi, niż księciem Oranii, i t. d. Dnia 22 czerwca w nocy, wracając z posiedzenia rady związkowej de Witt został napadnięty przez 4 opryszków; broniąc się jednak mężnie, zdołał ocalić swe życie. Był to wszelako tylko wstęp do zamierzonego zamachu stanu. Dnia 2 lipca pospółstwo wymusiło na radzie związkowej zniesienie „aktu harmonii,” poczem Wilhelm został obwołany dziedzicznym stathouderem, kapitanem i admirałem. De Witt 4 sierpnia złożył urząd. Ale i to nie uśmierzyło mściwój nienawiści przeciwnój strony.

Zjawia się znany łotr Tichelaer z oskarżeniem, że przez znanego powszechnie z zachości i uczciwości admirała Corneliusza de Witt był namawiany do zabicia ks. Wilhelma. Uwięziono więc Corneliusza i poddano torturze. Zaledwo przeżył straszne męczarnie, gdy, współ z zwabionym pod fałszywym pretekstem Janem, przez motłoch został wydobyty z więzienia i rozszarpany. Działo się to w Hadze 20 sier-

pnia. Książę Wilhelm, postępując sobie w obec pokonanych przeciwników politycznych równie podstępnie, jak później w obec swego teścia, króla Jakóba II, nie tylko nie ukarał zbrodniarzy, lecz wymienionemu Tichelaerowi nadał pensyą. Usuwając zaś wszystkich urzędników, podejrzanych o sympatyę dla strony de Witt, zabezpieczył zamachowi stanu praktyczny skutek.

Najpóźniej prąd absolutystyczny przemógł w Szwecyi. W czasie małoletności króla, Karola XI-go, który przy śmierci ojca r. 1660 liczył dopiero 5 lat, sejm był sobie przywłaszczył niemal wszystkie atrybucye korony. Karol XI-ty od r. 1674 rozpoczął systematyczną pracę nad podkopaniem powagi sejmu, a mianowicie szlachty. Posługując się zreżnieniem zazdrością i antagonizmem stanu mieszczańskiego i włościańskiego przeciwko szlachcie, na sejmie r. 1680 przeprowadził uchwałę, aby rachunki regencyi były przejrane i sprawdzone. Wyznaczona w tym celu komisya odkryła liczne nadużycia i przeniewierstwa, poczem winnych—przywódców szlachty szwedzkiej—skazano na kilka milionów talarów grzywien. Osłabiwszy w ten sposób moralnie szlachtę, król zmusił ją potem do zwrotu wszystkich od r. 1604 nabytych dóbr koronnych. Nagle więc bogata szlachta stała się ubogą; uboga zaś korona bogatą. Prąd monarchiczny nie poprzestał na tém. Stany wystąpiły z oświadczeniem, że władza królewska jest nieograniczoną. W r. 1682 korzystając z nowych nieporozumień pomiędzy szlachtą a iunemi stanami, dwór wymusił na sejmie formalną uchwałę, że król może bez przyzwolenia sejmu ustanawiać prawa i nie ma nikomu być odpowiedzialnym za swe czyny.

W ciągu 20 lat prąd, dążący do urzeczywistnienia tego, co Hobbes nazwał „imperium“, odniósł stanowcze zwycięstwo w tych państwach, które wtedy stały na czele polityki europejskiej lub główny brały w nią udział. Nigdzie teorya nie została co do joty przeprowadzona w praktykę, ale podstawowe jej zasady, dzięki koalicji królów z niższemi warstwami przeciwko wyższym, pod koniec wieku XVII-go przeważały tak w państwach powyżej wymienionych, jako też w innych, w których albo nie było potrzeba przemocą usuwać zapór nieograniczonej władzy, ponieważ tam nigdy nie istniały, jak np. w margrabstwie brandenburskiem, albo też jak np. w Austrii, prąd ów rozwijał się nieznacznie, a w cichości i bez tak głośnych przewrotów, jak w Danii lub Szwecyi ¹⁾.

Patrząc dziś po 200-tu latach na ów przewrót, dokonany nie pod imieniem Hobbesa, ale w myśl jego teoryi o państwie, trzeba go uważać tylko za jeden z przechodnich epizodów w dziejach ludzkości. Hiszpania, która najprzód, bo już w XVI-ém stuleciu urzeczywistniła u siebie ideał wszechwładnego państwa, pierwsza ze

¹⁾ W Polsce dynastyczne projekty Maryi Ludwiki, wprowadzono do propozycyi korony przez Jana Kazimierza w r. 1661-ym. *Red.*

stanowiska wielkiego mocarstwa zesła na poziom drugorzędnego; we Francyi potęga i sława nie długo przeżyła Ludwika XIV-go, natomiast Anglia, która przy upadku Jakóba II-go stanowczo wyłamała się z pod teoryi nieograniczonej władzy, stanęła najwyżej—co świadczy, że wszechwładza nie jest koniecznym warunkiem potęgi i szczęścia państw. Wreszcie fakt, że owo „imperium“ już po 100 latach przeżyło się, a przejście do formy państwowej z władzą ograniczoną i podzieloną, dokonało się równie szybko, jak w XVII-ém stuleciu przewrót w odmiennym kierunku,—fakt ten dowodzi, że nie mogą być bezwzględnie słusznemi pojęcia filozoficzne o naturze ludzkiej, z których pesymista angielski wysnuł swą teorią. Nie, człowiek nie jest z przyrodzenia złym, przewrotnym i chciwym i dla tego też nie potrzeba koniecznie Państwa Leviathana, aby zabezpieczyć pokój pomiędzy ludźmi!

Jeżeli dziś są tacy, co bez zastrzeżenia pojęcie nowożytnego państwa stawiają na równi z wszechwładnem, i jeżeli tę praktykę popiera filozofia niemiecka, wychodząca z tych samych założeń, co Hobbes, nowy ten epizod, choć się cieszy tak potężnym reprezentantem, jak ks. Bismarck, nie będzie także trwały.

Z EKONOMIKI.

XI.

Oswobodzenie włościan na Litwie i Rusi.

Dane statystyczne co do liczby poddanych w Cesarstwie, zebrane w 1855 r. przez Kawielina.—Liczba poddanych na Litwie i Rusi w czasie wojny krymskiej.—Komitet sekretny.—Projekty prywatne.—Udział inteligencji polskiej w sprawie reformy włościańskiej.—Adres szlachty litewskiej do panującego.—Reskrypt cesarza Aleksandra II-go w odpowiedzi na ten adres.—Niechęć dworzan i możnowładztwa.—Utworzenie na Litwie komitetów gubernialnych i komisji ogólniej w Wilnie.—Instrukcja Łąskoja dana Nazimowowi.—Główne zasady wyzwolenia i uwłaszczenia włościan na Litwie.—Skład osobisty komisji ogólnych w Wilnie i Kijowie, oraz komitetów gubernialnych.—Cyrkularz ministra spraw wewnętrznych do gubernatorów.—Komitet główny do spraw włościańskich.—Początkowa bezczynność.—Wéjście W. Ks. Konstantego do komitetu.—Program zajęć komitetów gubernialnych.—Komisya specjalna.—Wydział ziemiański.—Komisye redakcyjne, ich skład i program.—Komisya finansowa.—Możnowładztwo i operacya.—Coup d'état. Ks. Paskiewicz i hr. Piotr Szuwałow.—Wytrwałe postanowienie reformy ces. Aleksandra II-go.—Główni działacze: Rostowcew, Milutyn i Solowjew.—Pierwszy okres prac komisji redakcyjnych.—Powołanie ekspertów do Petersburga.—Wydawnictwo urzędowe tej epoki.—Bibliografia.

Konstanty Kawielin w marcu 1855 r. przedstawił rządowi memoriał w sprawie włościańskiej w Rosyi, którego jedna część pojawiła się w druku i spowodowała wielkie oburzenie w sferach dworząńskich. W memoriale tym, dopiero niedawno w całości wydrukowanym, znajdujemy ciekawe cyfry poddanych w Rosyi, które dla lepszej ilustracyi przedmiotu, o jakim mówić zamierzamy, będzie pożyteczną rzeczą poznać w celu porównania stosunków społecznych w różnych czę-

ściach ogromnego imperyum. Podług tych wiadomości, opierających się na tak zwanym 9-ym spisie ludności, nie rękując naturalnie za akuratność wszystkich cyfr przy braku dokładnej statystyki, było w owym czasie:

	mężczyzn	kobiet
włościan pod zarządem dep. udziałów, gabinetu i dworu	852,144	916,564
„ zaliczonych do państwowych stadnin	91,290	86,766
„ różnych instytutów	12,342	17,379
„ zarządów miejskich i magistrackich	15,304	16,595
„ archierejskich i monastyrskich	5,091	—
„ fabrycznych i górniczych	209,222	225,829
„ majstrów dworskich	748	932
„ majstrów górniczych, fabrycznych i solnych	137,408	106,980
„ puszkarzy tulskich	9,061	9,682
„ osiedleńców floty czarnomorskiej	8,507	8,563
„ locmanów	1,557	—
„ straży leśnej	920	649
„ łaższanów	115,981	—
„ jamszczyków	26,320	31,933
„ regularnych osiedleńców wojennych	320,941	308,261
„ przewoźników soli przy jeziorze Eltońskim	426	258
razem poddanych skarbowych było wtedy	<u>2,004,772</u>	<u>2,049,925</u>
	4,054,697	

W tymże czasie było poddanych włościan, należących do obywateli ziemskich: w cesarstwie	10,080,407	10,508,771
służby dworskiej	521,939	513,985
	<u>11,602,346</u>	<u>11,022,756</u>
	21,625,102	

Ogółem było poddanych 25,679,799 ludzi w obec ogólnej liczby mieszkańców 56,313,323 osób. Na Litwę i na Ruś przypada zaś stracić z owęj cyfry poddanych:

w gubernii wileńskiej	197,897	dusz mężczyzn
„ kowieńskiej	175,208	„
„ grodzieńskiej	197,182	„
„ mińskiej	288,336	„
„ mohylewskiej	287,889	„
„ witebskiej	218,707	„
„ wołyńskiej	440,554	„
„ podolskiej	485,960	„
„ kijowskiej	521,245	„
razem na Litwie i Rusi było poddanych	<u>2,812,978</u>	dusz mężczyzn

Kawielin, mając na uwadze stosunki Cesarstwa, proponował w pomienionym memoriale: 1) sprzedać lub wydzierżawić wszelkie fabryki rządowe, a włościanom, do nich zaliczonym dozwolić swobodnego obrania sobie zajęcia; 2) wszystkich włościan państwowych, przydzielonych do jakichkolwiek zarządów, oddać w zawiadywanie jednego zarządu, zrównać z włościanami wolnymi, oswobodziwszy ich od specjalnych pieniężnych i naturalnych powinności; 3) znieść kantonistów, pozwalając im zapisać się do tego stanu, do którego należał ich ojciec przed branką; 4) postanowić, aby rekruci byli używani wyłącznie do służby wojskowej; 5) oznaczyć termin służby wojskowej na lat siedm, uczyniwszy ją obowiązkową dla wszystkich stanów, począwszy od lat 18 i t. d.

Projekt ten w danej chwili pozostał w sferze marzeń. Opozycja dworzan była silną i jednolitą, wrogo usposobioną dla zmian jakichkolwiek. Twierdzono, że oswobodzenie włościan spowoduje wybuch socyalny, że wyleją się potoki krwi szlacheckiej, nie mówiąc już o stratach materyalnych.

Po ogłoszeniu manifestu z d. 31 marca 1856 r. o zawarciu pokoju, zamykającego wojnę krymską, cesarz Aleksander II-gi pojechał do Moskwy i wezwawszy przewodników dworzan gub. moskiewskiej, przemówił do nich temi słowy: „dowiedziałem się, panowie, że między wami rozeszły się wieści o moim zamiarze zniesienia poddaństwa. Prostując te nieuzasadnione wieści w kwestyi tak ważnej, uważam za potrzebne objawić wam, że ja nie mam zamiaru zrobić tego w tej chwili; lecz zapewne sami pojmujecie, że istniejący porządek władania duszami, nie może pozostać bez zmiany. Lepiej znieść poddaństwo z góry, niż czekać na tę chwilę, gdy ono znacznie porusza się z dołu. Proszę was, abyście pomyśleli o tém, jakimby sposobem to wykonać i abyście zakomunikowali te moje myśli dworzaństwu.“ Słowa powyższe otwierały nowy okres przygotowawczy w tej sprawie, wkrótce bowiem utworzono Komitet sekretny, który poraz pierwszy zebrał się w d. 15 stycznia 1857 r. pod prezydencją cesarza. W skład jego wchodził: ks. Orłow, Łanskoj, minister spraw wewnętrznych, hr. Błudow, minister finansów Brock, hr. W. Adlerberg, ks. W. Dołgorukow, szef żandarmeryi, M. Murawjew, minister dóbr państwa, Czewkin, ks. P. Gagarin, M. Korf i J. Rostowcew. Na pierwszym posiedzeniu komitet skonstatował ogólny niepokój włościan i powszechne oczekiwanie czegoś niezwykłego, czego sami dokładnie określić nie mogli, spodziewając się tylko, że to coś zmieni dotychczasową ich niedolę. Większość komitetu w zasadzie wrogo była usposobioną względem idei oswobodzenia włościan, zalecając stopniowe tylko polepszenie bytu włościan, gdy mniejszość, złożona z Łanskoja, Błudowa, Rostowcewa i sekretarza komitetu, Butkowa, domagała się oswobodzenia włościan. Cesarz zapytał członków komitetu, czy uważają chwilę obecną za odpowiednią do zajęcia się sprawą włościańską. Wszyscy, z wyjątkiem ks. Gagarina, odpowiedzieli twierdząco, poczem odczytano me-

moryał Lewszyna, mający służyć za podstawę obrad. Okazało się jednak, że ogół członków komitetu nie był przygotowanym do tak ważnej pracy i nie wiedział jakim sposobem zabrać się do dzieła. Schodził więc czas na sporach i na pogadankach, co budziło w cesarzu Aleksandrze II-im wielkie nieukontentowanie.

Tymczasem nadchodziło mnóstwo memoryatów i projektów, dotyczących sprawy włościańskiej. Komitet postanowił zatem przedewszystkiem z nimi się obznajmiać. Wszelkiego rodzaju projektów i listów okazało się 390, pomiędzy którymi były:

- a) List Ludwika Tegoborskiego do prezesa rady państwa o oswo-bodzeniu włościan (z decyzją cesarską);
- b) Memoryał Strechorowicza w języku francuzkim p. t. „uwa-gi nad projektami oswożenia włościan;
- c) Rakowicza myśli o przemianie włościan obywatelskich na państwowych;
- d) List obywatela Steckiego do W. Ks. Konstantego z memo-ryałem o potrzebie utworzenia w Petersburgu komitetów szlacheckich dla rozstrzygnięcia kwestyi włościańskiej;
- e) Memoryał w języku francuzkim ks. Wilhelma Radziwiłła o systemie, jaki należy przyjąć przy uwłaszczeniu włościan (z decyzją cesarską);
- f) Projekt kupca Więckowskiego o utworzeniu towarzystw kre-dytowych ziemskich, lub banków w miastach gubernialnych;
- g) List hr. Zygmunta Krasickiego do cesarza, o oswobodzeniu włościan z nadaniem im na własność ziemi za wynagrodzeniem;
- h) List Cypryana Lachnickiego do cesarza, o najodpowiedniej-szym sposobie rozstrzygnięcia kwestyi włościańskiej (z uwagą ce-sarską).
- i) List ks. Władysława Sanguszki do prezydującego w głów-nym komitecie w kwestyi oswożenia włościan;
- k) Broszura w języku niemieckim Rodowicza-Oświecimskiego o niewoli i poddaństwie;
- l) Uwagi r. r. s. Józefowicza w kwestyi włościańskiej;
- m) Uwagi marszałka szlachty gub. kijowskiej Jaroszyńskiego, o sprzedaży włościanom osad i obdarowaniu ich ziemią;
- n) List szlachcica Rudnickiego do cesarza wraz z projektem polepszenia bytu włościan.
- o) Myśli Korybut-Daszkiwicza do ustawy polepszenia bytu włościan;
- p) Traktat w języku polskim Butrymowicza pod tyt. „Dwór i wieś;“
- q) Obywatela Grabianki: 1) wzorowa tablica i skrócony wyciąg z projektu o obdarowaniu włościan ziemią, 2) list w przedmiocie wy-kupu ziem włościańskich, 3) list z finansowemi projektami;

- r) Projekt kupca Więckowskiego o utworzeniu kolonii w Rosyi zachodniej;
- s) List Barszczewskiego, obywatela witebskiego, z uwagami nad pracami komisji;
- t) Projekt Małyszewicza o urządzeniu bytu włościan w guberniach zachodnich;
- u) Listy Włodzimierza Siwickiego, właściciela Kamienno-Brodu w gub. kijowskićj;
- w) List w języku francuzkim Emila Oskierki, o sposobie oznaczenia powinności;
- z) Projekt Marciukiewicza, marszałka szlachty powiatu proskurowskiego;
- ż) List Brzezińskięo do cesarza wraz z memoryałem.

Ze wszystkich jednak projektów najważniejsze były: Koszelewa, Samarina i Kawielina. Bliższe rozpatrzenie tych wszystkich projektów komitet poruczył Rostowcewowi, bar. Korfowi i ks. Gagarinowi; lecz ci nie bardzo śpieszyli, tak, że do wiosny 1857 r. prawie nic nie zdziałano. W tym czasie cesarz wyjechał zagranicę, poleciwszy nadać sobie memoryały trzech wyżęj wymienionych członków, które różniły się najwybitniej pomiędzy sobą. W lecie tegoż roku powrócił cesarz na krótki czas do Petersburga i mocno się rozgniewał na bezczynność komitetu. Dla dania bodźca mianował w połowie sierpnia W. Ks. Konstantęo członkiem komitetu. Bawiąc w 1857 r. zagranicą, cesarz Aleksander II-gi szczególnięj zajmował się kwestyą włościańską, zarówno z wewnętrznego przekonania jako tęż skutkiem wpływu króla pruskiego, W. Ks. Heleny Pawłówny i niemieckiego publicysty barona Hacksthausena, osobistości w sprawie oswożenia włościan wybitne zajmującej miejsce. (Zob. „Die ländliche Verfassung Russlands, ihre Entwicklung und ihre Feststellung in der Gesetzgebung von 1861. Leipzig, 1866 u Brockhausa).

Z wejściem do komitetu W. Ks. Konstantęo działalność odrazu się ożywiła, zgodzono się na 10-cio letni termin przechodni, po którego upływie włościanie mieli być w zupełności oswoobodzeni. W tym peryodzie miano włościanom nadać na własność: osadę z ogrodem, konopnikiem i wygonem za pewnym wynagrodzeniem. Prócz tego pozostawić włościanom część ziemi na zasadach czynszu lub pańszczyzny. Nakoniec, po kilku nader burzliwych posiedzeniach komitetu, ułożono szereg pytań, które uprzednio należało rozstrzygnąć, mianowicie: 1) czy można dozwolić poddanym wstępować w związki małżeńskie bez zezwolenia obywatela, 2) czy można włościanom nadać prawo kupna ziemi bez zezwolenia dziedzica; 3) czy można ograniczyć prawo dziedzica rozstrzygania sporów pomiędzy włościanami; 4) w jakim stopniu można ograniczyć obywateli w prawie karania włościan; 5) czy można pozbawić dziedzica prawa zsyłki włościan na Syberyę; 6) czy należy ograniczyć prawo obywateli oddawania włościan w rekruty; 7) czy można ograniczyć prawo dziedziców interwencyi przy

spełnianiu przez włościan powinności ¹⁾; 8) jakie należy przedsięwziąć środki w celu ściślejszego oznaczenia powinności, spełnianych przez włościan na korzyść obywateli; 9) czy można dopuścić skargi włościan na obywateli; 10) czy można obdarzyć włościan prawem wykupu ziemi za umówioną cenę; 11) jakie należy przedsięwziąć środki celem zmniejszenia służby dworskiej; 12) jakie należy przedsięwziąć środki dla przyśpieszenia umów włościan z obywatelami; 13) czy nie należy już obecnie przedsięwziąć jakichkolwiek środków dla polepszenia doli włościan, i 14) jakim sposobem należy przystąpić do wykonania tych środków, które komitet uchwali, a cesarz potwierdzi? Mimo to wszystko sprawa nader słabo posuwała się naprzód, czuć było jakieś tajne prądy, które niweczyły najlepsze zamiary i chęci niektórych członków komitetu.

W tym stanie kwestyi niebawem zaszedł fakt wielkiej doniosłości, który reformę włościańską pchnął na nowe tory i powszechną zwrócił uwagę na szlachtę litewską. Podczas gdy dworzanie Cesarstwa jednomyślnie niemal przeciwni byli reformom w d. 30 sierpnia 1857 r., nadszedł adres szlachty litewskiej trzech gubernii: wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej, proszący o oswożenie włościan, z zachowaniem prawa właścicieli do ziemi. Adres ten przedstawiony przez wileńskiego generał-gubernatora Nazimowa, w sferach dworskich wywołał nadzwyczajne wrażenie i radość. Równocześnie spowodował reskrypt cesarza Aleksandra II-go z d. 2 grudnia 1857 r., który jako pierwszy i niezmierniej wagi dokument w dosłownym tłumaczeniu podajemy:

„W guberniach kowieńskiej, grodzieńskiej i wileńskiej były utworzone osobne komitety z marszałków szlachty i innych obywateli, dla rozpatrzenia obowiązujących tamże przepisów inwentarnych.

Obecnie minister spraw wewnętrznych doniósł mi o błogich zamiarach, objawionych przez komitety względem włościan dworskich rzeczonych gubernii.

Uznając zamiary tych przedstawicieli szlachty gubernii kowieńskiej, wileńskiej i grodzieńskiej, za odpowiadające w zupełności moim widokom i chęciom, dozwalam stanowi szlacheckiemu tych gubernii zająć się ułożeniem projektów, na zasadzie których zamiary komitetów mogłyby być wykonane w rzeczywistości, lecz nie inaczej jak tylko stopniowo, aby nie naruszyć istniejącego porządku gospodarczego w majątkach obywatelskich.

W tym celu rozkazuję:

1) Utworzyć obecnie w gubernii kowieńskiej, wileńskiej i grodzieńskiej Komitety przygotowawcze, po jednym w każdej, a następnie dla wszystkich trzech gubernii razem jedną Komisją ogólną w Wilnie.

2) Każdy gubernialny komitet pod prezydencją gubernialnego marszałka szlachty, składać się ma z członków: a) po jednym z ka-

¹⁾ ? Red.

żdego powiatu gubernii, wybranym z pomiędzy szlachty, władającą majątkiem zaludnionym, i b) z dwóch ekspertów obywateli téjże gubernii z bezpośredniego wyboru gubernatora.

3) Aby Komisya ogólna składała się z następujących osób: a) z dwóch członków od każdego z trzech komitetów gubernialnych i z ich wyboru; b) z jednego obywatela eksperta z każdéj gubernii z wyboru generał-gubernatora i c) jednego członka ministryum spraw wewnętrznych. Prezesa komitetu pozostawia się panu wybrać z pośród obywatelstwa miejscowego.

Komitety gubernialne po ich otwarciu powinny przystąpić do ułożenia dla każdéj gubernii zgodnie z ich własną inicjatywą szczegółowych projektów o urządzeniu i polepszeniu bytu włościan obywatelskich, mając na względzie następujące główne zasady:

1. Obywatelom zachowane będzie prawo własności na całą ziemię, włościanom zaś pozostawioną będzie osada, którą oni w ciągu oznaczonego czasu nabędą na własność sposobem wykupu; prócz tego oddaném będzie włościanom dla właściwego użytku, zgodnie z miejscowymi warunkami dla zabezpieczenia ich bytu i dania możności spełniania obowiązków względem państwa i dziedziców ilość ziemi, za którą oni mają płacić czynsz (obrok) lub wykonywać pańszczyznę obywatelowi.

2. Włościanie winni być podzieleni na wiejskie gromady, obywatelom zaś pozostawiona będzie władza policyjna wiejska i

3. Przy urządzaniu przyszłych stosunków obywateli z włościanami, winno być odpowiednim sposobem zabezpieczone punktualne płacenie państwowych i ziemskich podatków i składek pieniężnych.

Rozwinięcie tych zasad i zastosowanie ich do miejscowych warunków każdéj z trzech wymienionych gubernii, pozostawia się komitetom gubernialnym. Minister spraw wewnętrznych zakomunikuje panu swoje poglądy, mogące być użytecznymi komitetom w ich zajęciach.

Komitety gubernialne, po ukończeniu swych prac, winny przedstawić rezultat swoich badań komisji ogólnej. Komisya, przejrząwszy i rozstrząsnąwszy wszelkie przedstawienia komitetów gubernialnych, i porównawszy je z wyżej wymienionymi zasadami, winna ostatecznie zdecydować projekt ustawy ogólnej dla wszystkich trzech gubernii, z odpowiedniami dla każdéj wyjątkami lub dopełnieniami.

Poruczając Panu główny nadzór i kierunek téj ważnéj w ogóle sprawy, w podległych panu guberniach: kowieńskiej, wileńskiej i grodzieńskiej, poruczam panu wydać zarówno komitetom gubernialnym tych trzech gubernii, jako téż i komisji ogólnej odpowiednie wskazówki, celem właściwej procedury i ukończenia poruczonych im zajęć. Gubernatorowie winni pomagać panu w spełnieniu tego obowiązku. Wygotowany przez komisją ogólną projekt łącznie z pańską opinią, przesyłasz pan ministrowi spraw wewnętrznych dla przedstawienia mnie do rozpatrzenia.

Dając tym sposobem szlachcie gubernii kowieńskiej, wileńskiej

i grodzieńskiej sposobność urzeczywistnienia błogich jój zamiarów, na wskazanych przezemnie zasadach, spodziewam się, że szlachta ziszcza zaufanie okazywane przezemnie temu stanowi przez powołanie go do uczestnictwa w tój ważnej sprawie, i że przy pomocy Bożej i światłem współudziale szlachty, sprawa ta będzie ukończoną z należytą korzyścią.

Pan i naczelnicy powierzonych Panu gubernii obowiązani jesteście ściśle baczyć, aby włościanie, pozostając w zupełnej uległości dla szlachty, nie podlegali żadnym złym podszeptom i kłamliwym wieściom.

Pozostają zawsze życzliwym Panu *Alexander*.“

Oto jest całkowita osnowa reskryptu cesarskiego do generał-gubernatora Nazimowa. Jest to pierwszy ujawniony akt urzędowy, który właściwie rozpoczął wielką reformę włościańską nie tylko na Litwie i Rusi, ale i w całym państwie Rosyjskiem. Akt ten ma dla nas podwójne specjalne znaczenie, ponieważ okrył zasłużoną chwałą szlachtę litewską, która w chwili, gdy całe niemal dworzanstwo rosyjskie było przeciwnie oswobodzeniu włościan, nie zawahała się ani na chwilę wystąpić z inicjatywą zgodną z zamiarami cesarza Aleksandra II-go. Litwinom więc należy się sława, że pierwsi w poczuciu obywatelskiem podjęli sprawę polepszenia niedoli włościan. Po dwudziestu dziewięciu latach jakże się czasy zmieniły? Większość tych pionierów leży w grobie, lub chcąc nie chcąc rozproszyła się po całym niemal świecie, mała tylko garstka pozostała na rodzinną glebę, a i ta coraz częściej jest niepokojoną, ścieśnianą i oskarżaną przez zacieklą i namiętną część prasy o buntownicze i anarchiczne knowania, których w rzeczywistości nigdy nie żywiła. Byłaby to nagroda lub zemsta za inicjatywę, że to oni pierwsi, a nie kto inny, zapragnęli urzeczywistnić zamiary cesarza Aleksandra II-go.

Komitet gubernialny wileński ¹⁾ pierwszy rozpoczął czynności w d. 3 marca 1858 r. i ukończył je w d. 20 grudnia t. r. Następnie zebrał się komitet gubernialny grodzieński ²⁾ w d. 10-ym

¹⁾ Komitet gubernialny wileński, pod prezydencją Aleksandra Domejki i vice-prezesostwem Ignacego Chodźki, składali delegaci powiatów: wileńskiego 1) Rudolf Jasioński, zastępcą Konstanty Jeleński (na miejsce zmarłego Stanisława Sidorowicza); oszmiańskiego: 2) Jan Lubański, zast. Karol Czernicki (na miejsce zmarłego Józefa Śniadeckiego); wilejskiego: 3) Mieczysław Tukallo, zast. Aleksander Ołędzki; świeszczańskiego: 4) Ignacy Chodźko, zast. Ksawery Dowgiallo; trockiego: 5) Stanisław Romer, zast. Ludwik Jeleński; dziśnieńskiego: 6) Aleksander Szyryn, zast. Cypryan Dłużniowski; lidzkiego: 7) Nareyz Żurawski, zast. Tomasz Szalowiec. Członek od rządu: 8) Karol Heling i Konstanty Giocewicz (na miejsce Piotra Wittgensteina). Gubernatorem wileńskim był podówczas Michał Pochwisniow.

²⁾ Komitet gubernialny grodzieński pod prezydencją Kaliksta Orzadzki i vice-prezesostwem Antoniego Głazera składali delegaci powiatów: grodzień-

marca 1858 r. i zamknął czynności 26 listopada t. r.; ostatnim zaś był komitet gubernialny kowieński ¹⁾, który rozpoczął czynności 18 marca 1858 r. i ukończył je 27 listopada t. r. Gdy więc komitety gubernialne ukończyły obrady w myśl reskryptu cesarskiego, zebrała się w Wilnie Komisya ogólna w d. 29 grudnia 1858 r. pod prezydencją Kaliksta Orzeszki, złożona z członków: od wileńskiego komitetu gubernialnego: 1) Aleksander Domejko, 2) Mieczysław Tukatko, zastępca Stanisław Romer. Od komitetu gub. grodzieńskiego: 3) Kalikst Orzeszko, 4) Antoni Glazer. Od komitetu gub. kowieńskiego: 5) Kleofas Dymsza, 6) Franciszek Giedgowd, zastępca Waleryan Janczewski. Członkowie od rządu: 7) Jan Lubański, 8) hr. Stanisław Sołtan (na miejsce Wiktora Poroszyna), 9) hr. Rejnhold Tyzenhaus. Członek od ministerjum spraw wewnętrznych: 10) Mikołaj Kołoszin. Komisya wileńska ukończyła prace 5 lipca 1859 r.

Na drugi dzień po wydaniu reskryptu cesarskiego, t. j. w d. 3 grudnia 1857 r., Łąnskoj, minister spraw wewnętrznych, przesłał Nazimowowi odezwę, w której bliżej objaśnia zasady na których reforma się ma opierać. W odezwie tej czytamy między innymi, że komitety gubernialne winny ukończyć swe prace w ciągu sześciu miesięcy od daty ich otwarcia, oraz

I. „Zniesienie poddaństwa włościan winno nastąpić nie nagle, ale stopniowo. W tym celu włościanie początkowo winni być pozostawieni w stanie przechodnim, mniej lub więcej przywiązani do ziemi, następnie dopiero w stanie ostatecznym lub wolnym, gdy rząd dozwoli im zmieniać miejsce pobytu pod odpowiednimi warunkami

skiego: 1) Antoni Glazer, zast. Franciszek Bogatko; sokólskiego: 2) Stanisław Karwowski, zast. Władysław Terpilowski; białostockiego: 3) Jakób Sakowicz, zast. Kazimierz Michałowski (na miejsca Seweryna Michałowskiego; bialskiego 4) Ryszard Korybut-Daszkiewicz, zast. Marcin Zawadzki; bielskiego: 5) Paweł Jagmin, zast. Konstanty Karłowicz; prużańskiego: 6) Aleksander Osuchowski, zast. Seweryn Moraczewski; słonimskiego: 7) Wandalin Pusłowski, zast. Florentyn Mikulski; wołkowyskiego: 8) Tadeusz Sicheń, zast. Ignacy Szyrma; kolryńskiego: 9) Jan Żuk, zast. Bolesław Żuk. Członkowie ze strony rządu: 10) Wiktor Poroszyn; 11) Aleksander von Liephardt. Gubernator grodzieński: Iwan Speier.

¹⁾ Komitet gubernialny Kowieński pod prezydencją Józefa Dowgirda i vice prezesostwem Kłeta Burby, składali delegaci powiatów: kowieńskiego 1) Klet Burba, zast. Jakób Giejsztor; wilkomierskiego: 2) Julian Pac-Pomarnacki, zast. Medard Kończa; nowo-aleksandryjskiego 3) Edward Romer, Franciszek Leduchowski; poniewieżskiego 4) Karol Grotus, zast. baron Ludwik Ropp; rosieńskiego 5) Franciszek Giedgowd, zast. Jan Grużewski; szawelskiego 6) Waleryan Janczewski, zast. hr. Karol Kajzerling; telszewskiego 7) Kleofas Dymsza, zast. Tytus Gadon. Członkowie ze strony rządu 8) Ks. Ireneusz Ogiński i 9) Feliks Siesicki. Gubernator kowieński, Stanisław Chomiński.

i ograniczeniami. Dla stanu przejściowego należy oznaczyć czas zgodnie z zapatrywaniem komitetów gubernialnych, nie dłuższy jednak nad lat dwanaście.

II. Na zasadzie wskazówek wyłuszczonych w najwyższym re-skrypcie obywatele zachowują prawo własności do całej ziemi, aby zaś uchronić stan włościański od szkodliwej ruchliwości i włóczęgo-stwa, kmieciom pozostawioną będzie na własność ich siedziba, naby-ta przez nich sposobem wykupu, w ciągu oznaczonego czasu. Prócz tego pozostawioną będzie włościanom do odpowiedniego użytkowania, zgodnie z miejscowymi warunkami, ku zabezpieczeniu ich bytu i da-niu im możności wypełnienia zobowiązań względem państwa i dzie-dziców, pewna ilość ziemi, za którą mają płacić czynsz, lub odra-biać właścicielowi. W szczegółowym rozwinięciu i zastosowaniu tych zasad należy mieć na uwadze, co następuje:

1. Siedzibę włościanina stanowi izba lub chata, w której mie-szka, z podwórzem i przynależnościami, z ogrodem i ziemią.

2. Prawo stanu wolnego i prawo własności tej ziemi, wło-ścianie nabywają dopiero po wniesieniu przez nich w epoce prze-chodniej wykupu, którego wysokość nie powinna przewyższać wartości nabytej na własność osady.

3. Spłata powyższa może być dokonana albo pieniędzmi, albo też roboczną, niezależnie od tej, którą włościanie obowiązani spełniać za ziemię, oddaną im w u ży t k o w a n i e na zasadzie punktu 5-go.

4. Pozostała ziemia winna być rozdzielona, zgodnie z jej prze-znaczeniem na dworską (gospodskoju) i na oddaną w użytkowanie włościan.

5. Ziemia, raz oddana w użytkowanie włościan, nie może być włączoną do pól dworskich, lecz winna stale pozostawać w użytkowa-niu włościan w ogóle, zapłacona czy to przez spełnianie przez nich względem dziedziców powinności w naturze i przez roboczną, czy też za spłatą dziedzicowi czynszu pieniędzmi lub produktami.

6. Ilość ziemi, pozostawionej na tej zasadzie w użytkowaniu włościan, celem zabezpieczenia ich bytu, dania możności wypełniania zobowiązań względem państwa i obywateli, należy oznaczyć podług miejscowych warunków i zwyczajów.

7. Sposób użytkowania tej ziemi ustanowiony będzie także zgo-dnie z miejscowymi zwyczajami. Tam, gdzie istnieje własność (ustroj-stwo) wspólna, należy, nie naruszając jej, zachować każdej rodzi-nie prawo do udziału ziemi, starając się nie dopuszczać częstego roz-drabniania lub przeistaczania pól. Tam, gdzie istnieje osobiste (po-dworne) użytkowanie z ziemi i gdzie ziemia oddana w użytkowanie włościan, rozdzielona jest na osady i ферmy, z gospodarzami i chałupnikami, należy przedsięwziąć środki możliwego zabezpieczenia osia-dłości chałupników (komorników) i stanowczego oznaczenia stosunku ich do gospodarzy.

8. Spełnianiu naturalnych powinności i robocizny, albo spłacie czynszu na korzyść właściciela, mogą podlegać tylko ci włościanie, którym nadano ziemię w tychże miejscowościach, gdzie włościanie dzielą się na gospodarzy i chatupników lub robotników bez roli; tych zaś ostatnich można zmuszać do roboty tylko za zapłatą.

9. Rozmiar czynszu i naturalnych powinności winien być stanowczo oznaczony odpowiednio do przestrzeni i gatunku ziemi, oddanej w użytkowanie włościan.

10. Powinności w naturze i pańszczyznę odbywać się będzie na zasadzie szczegółowych urzędzeń, które winny być ułożone przez komitety gubernialne, na zasadach o ile możności prostych i jasnych—i

11. Na przypadek nieakuratności spłaty czynszu obywatelowi, pozostawia się prawo używać nieakuratnego dłużnika do robót w naturze i właściciel może go pozbawić tego działka ziemi, którym właściciel nieakuratny dłużnik.

III. Polityca wiejska pozostawia się przy obywatelu. Włościanie winni być rozdzieleni na gromady wiejskie. Zawiadywanie wiejskimi sprawami każdej gromady i wiejskie obrady pozostawione będą wiecom (mirskim schodam), albo też wiejskim sądom, złożonym z kmieci, pod nadzorem i potwierdzeniem obywateli.

IV. Dla nadzoru nad wprowadzeniem i wykonaniem nowych przepisów i dla rozstrzygnięcia kwestyi, mogących zajść pomiędzy właścicielami i włościanami, mają być ustanowione specjalne w każdym powiecie urzędy. W tym celu byłoby pożytecznym zastosować choć w pewnej mierze postanowienia, obowiązujące w gub. nadbałtyckich, o ile to zastosowanie okaże się możebnym i pożytecznym dla miejscowych właścicieli, składu zarządu i systemu procedury sądowej w ogóle w guberniach kowieńskiej, wileńskiej i grodzieńskiej.

V. Z chwilą wprowadzenia nowej ustawy w wykonanie:

1. Przedaż, darowizna i wszelki przelew (?) włościan bezrolnych jak również przesiedlanie włościan wbrew ich woli do drugich majątków, winno być zaniechanem; z drugiej zaś strony włościanom do chwili ostatecznego ich oswobodzenia nie może być dozwołonem opuszczanie majątku bez zezwolenia właściciela, na którego ziemi zostali osiedleni.

2. Przemiany włościan na czeladź należy zaniechać i łącznie z tem należy przedsięwziąć środki stopniowego z początku zmniejszenia, a następnie zniesienia tej klasy ludzi za pośrednictwem przemiany ich we włościan, obdzielonych ziemią, lub też przez zaliczenie ich, za zgodą obywateli, do stanu wolnego.

3. Podczas całej epoki przechodniej obywatelom pozostawione będzie prawo występnych włościan oddawać za zgodą włościan w rekruty lub do rozporządzenia rządu, celem osiedlenia w innych guberniach, lecz tylko z zatwierdzenia tych władz, które będą utworzone w powiatach na zasadzie nowej ustawy.

VI. W ułożonych przez komitety gubernialne projektach winny być oznaczone i wskazane:

1. Przepisy spełniania przez włościan powinności rekruckiej: wyznaczanie rekrutów winno być pozostawione samym obywatelom przy zatwierdzeniu dziedzica.

2. Sposób zabezpieczenia zapasów żywności ludu (narodnego prodowlstwija) i punktualnego wpływu podatków. W tym celu pożytecznymby może było lepsze urządzenie magazynów wiejskich, przy zaprowadzeniu wspólnych zasiewów i gromadzkich kapitałów.

3. Środki konieczne dla rozpowszechnienia pomiędzy włościanami oświaty i rzemiołł pożytecznych dla opieki starców i kalek, pomocy chorym i t. p....“

W trzy dni po wydaniu reskryptu cesarskiego na imię Nazimowa, t. j. w d. 6 grudnia 1857 r., z inicjatywy W. Ks. Konstantego ułożono cyrkularz ministra spraw wewnętrznych do gubernatorów i marszałków szlachty, oraz przewodników dworzan treści następującej:

„W gubernii kowieńskiej, wileńskiej i grodzieńskiej utworzone z marszałków szlachty i właścicieli ziemskich komitety specjalne dla rozpatrzenia przepisów inwentarnych, uznały koniecznym polepszyć i utrwalić byt włościan przez oswobodzenie ich z poddaństwa. Najjaśniejszy Pan, dowiedziawszy się z zadowoleniem o tak szlachetnym zamiarze przedstawicieli szlachty tychże gubernii, reskrytem z d. 2-go grudnia r. b. na imię wileńskiego, grodzieńskiego i kowieńskiego generał-gubernatora, raczył dozwolić szlachcie tychże gubernii zająć się ułożeniem odpowiednich projektów, i utworzyć w tym celu w każdej gubernii specjalne komitety ze szlachty-właścicieli ziemskich i jedną ogólną komisją dla tych gubernii, z nadmienieniem, aby oni w pracach swoich kierowali się zasadami wskazanymi w reskrypcie. Łącznie z tém, z zezwolenia J. C. Mości ja zakomunikowałem temuż generał-gubernatorowi swoje poglądy, służąc mające za materyał i pomoc komitetom gubernialnym w ich zajęciach. Dokumenty te mam honor w kopii załączyć j. w. Panu dla pańskiej wiadomości i oryentowania się, na wypadek, gdyby szlachta (ewentualnie dworzaństwo) podległej Panu gubernii wykazała podobne zamiary. Łanskoj.“

Cyrkularz ten wygotowany był w wielkim sekrecie i gotowy już podany do podpisu Łanskoja. Niektórzy członkowie komitetu chcieli go cofnąć, ale już było zapóźno, gdyż z odsyłką nie zwlekano ani jednej chwili.

W dalszym ciągu w dniu 21 marca 1858 r., wydany został reskrypt na imię ks. Wasilczykowa o utworzeniu Komisji ogólnej w Kijowie dla gubernii: wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, oraz komitetów gubernialnych. Komitet gubernialny kijowski ¹⁾ rozpo-

¹⁾ Komitet gubernialny kijowski pod prezydencją Oktawiana Jaroszyńskiego i vice-prezesostwem Zenobjusza Hołowińskiego składali delegaci powiatów: kijowskiego 1) Włodzinierz Butowicz 2) Rościsław Ryłski, zast.

czął czynności 6 lipca 1858 r. i ukończył prace w d. 15 kwietnia 1859 roku. Drugim z kolei był komitet gubernialny podolski ¹⁾, który rozpoczął czynności w d. 14 lipca 1858 r. i ukończył — 5 stycznia 1859 r. Nakoniec komitet gubernialny wołyński ²⁾ rozpoczął

Bazyli Frejgang; taraszczańskiego 3) Feliks Szóstakowski, 4) Piotr Lipkowski, zast. Wiktor Florkowski; wasilkowskiego 5) Mikołaj Gudim-Liwkowiec 6) hr. Władysław Branicki, zast. bar. Karol Ramm i Julian Lewandowski; czerkaskiego 7) Walenty Florkowski, 8) Gustaw Macowicz, zast. Mikołaj Białokopytow; lipowieckiego 9) Seweryn Seroczyński, 10) Tadeusz Bobrowski, zast. Józef Sarnecki; zwinogródzkiego 11) Daniel Jenicz zast. Narcyz Kaliński; skwirskiego 13) Julian Popowski, 14) Józef Straszynski; humańskiego 15) Włodzimierz Czarnowski, 16) hr. Bolesław Moszczeński, zast. Michał Krzyżanowski; berdyczowskiego 17) Julian Zalewski, 18) Maryan Wasiutyński, zast. Izidor Michalski; kaniowskiego 19) Zenobjusz Hołowiński, 20) Leon Modzelewski, zast. Ludwik Jankowski; achryńskiego 21) Zygmunt Koturzyński, 22) Karol Trypolski, zast. Wincenty Dobrowolski; radomskiego 23) Aleksander Horwatt, 24) Jan Hański (na miejsce Łukasza Kisłowskiego); zast. Dzwonkowski (na miejsce Hańskiego). Członkowie ze strony rządu 25) hr. Adam Bierzyński, 26) Kacper Kozakowski. Gubernatorem kijowskim był Hesse.

¹⁾ Komitet gubernialny podolski pod prezydencją Jana Sulatyckiego i vice-prezesostwem Narcyza Makowieckiego składali delegaci powiatów: kamienieckiego 1) Wacław Giżycki, 2) Zygmunt Starorypiński, zast. Ludwik Trzeciński, uszyckiego 3) Cypryan Karaszewicz-Tokarzewski, 4) Ignacy Chełmiński, zast. Mieczysław Regulski; proskurowskiego 5) Konstanty Gadomski, 6) Zygmunt Raciborski, zast. Tytus Iwanowski; latyczowskiego 7) Ludwik Bernatowicz, 8) Ignacy Zgórski, zast. Fryderyk dr. Krause; lityńskiego 9) Karol Dorożyński, Aleksander Piatin, zast. Salezy Kożuchowski; winnickiego 11) Karol Jakubowski, 12) Antoni Kornelowski, zast. Kazimierz Markowski; bracławskiego 13) Feliks Sobański, 14) Edward Jaroszyński zast. Tytus Kossowski; mohylewskiego 15) Władysław Górski, 16) Antoni Bienkiewicz, zast. Grzegorz Hee; jampolskiego 17) Emeryk Mańkowski, 18) Stanisław Pertowski, zast. Seweryn Górski; hajszyńskiego 19) Henryk Lipkowski, 20) Adolf Jełowicki, zast. Alojzy Czarnowski; olwiopolskiego 21) Mikołaj Czarnomski, 22) Bolesław Lipiński (na miejsce Zenona Brzezińskiego), zast. Konstanty Heyman; bałckiego: Konstanty Kulikowski; 24) hr. Edward Roniker zast. Hilary Rafałowski. Członkowie od rządu 25) Narcyz Makowiecki, 26) Aleksander Krokowski. Generał-gubernatorem kijowskim, wołyńskim i podolskim był ks. Wasilczykow. Gubernatorem podolskim: Pfeler.

²⁾ Komitet gubernialny wołyński pod prezydencją Karola Mikulicza i vice-prezesostwem Romualda Ledóchowskiego składali delegaci powiatów: żytomierskiego 1) Józef Wczelko, 2) Zygmunt Pruszyński; owruckiego 3) Leopold Rudnicki, 4) Felicjan Młodziejowski (na miejsce Edmunda Steckiego); nowogródek-wołyńskiego 5) Ludwik Rudnicki, 6) Serafin Nagrodzki; starokonstantynowskiego 7) Jan Głębocki, 8) Adolf Borkowski, zast. Władysław Kulesza; zasławskiego 9) Aleksander Nartow, 10) Mieczysław Grocholski,

czynności 20 lipca 1858 r. i ukończył w d. 11 kwietnia 1859 r. Po ukończeniu czynności przez komitety gubernialne, zebrała się Komisya ogólna w Kijowie 1 maja 1859 r. na posiedzenia, z których ostatnie odbyło się 9-go września t. r. Komisją tę pod prezydencją Oktawiana Jaroszyńskiego i vice-prezesostwem Karola Mikulicza, składali członkowie od komitetu gub. kijowskiego: 1) Tadeusz Bobrowski, 2) Feliks Szóstakowski, zast. hr. Władysław Branicki. Od komitetu gub. wołyńskiego: 3) Karol Mikulicz, 4) Zygmunt Prószyński, zast. hr. Aleksander Ryzyszczewski. Od komitetu gub. podolskiego: 5) Ludwik Bernatowicz, 6) Feliks Sobański, zast. Karol Dorożyński. Członkowie ze strony rządu: 7) Oktawian Jaroszyński, 8) Choński, 9) Henryk Lipkowski (na miejsce Władysława Górskiego). Członek ze strony ministeryum spraw wewnętrznych: Paweł von Schultz.

Następnie rozpoczęły czynności trzy komitety gubernialne, do których nieformowano już komisji ogólnej, mianowicie: Komitet gubernialny mohylewski ¹⁾ rozpoczął czynności 28 sierpnia 1858 r. i ukończył 6 czerwca 1859 r. Komitet gubernialny witebski ²⁾ ze-

zast. Władysław Cichoński; ostrogskiego 11) Feliks Lenkiewicz, 12) Ksawery Jodko, zast. Ignacy Wysocki; rówieńskiego 13) Ks. Karol Radziwiłł, 14) Stanisław Chamiec zast. Karol Stecki; dubiańskiego 15) Romuald Ledóchowski, 16) Rafał Strojnowski, zast. hr. Kazimierz Tarnowski, krzemienieckiego 17) hr. Aleksander Ryzyszczewski, 18) Antoni Boguski, zast. Karol Drzewiecki; łuckiego 19) Erazm Stecki, 20) Hipolit Młodzianowski, włodzimierskiego 21) Alojzy Zagórski, 22) Alfons Zieliński, zast. Wicenty Wydźga; kowalskiego 23) Adam Przesmycki, 24) Andrzej Brzostowski, zast. Filip Bielajow. Członkowie ze strony rządu 25) Włodzimierz Świejkowski, 26) Kazimierz Choński. Gubernatorem wołyńskim był: ks. Michał Drucki-Sokoliński.

¹⁾ Komitet gubernialny mohylewski pod prezydencją ks. Stefana Lubomirskiego i vice-prezesostwem Eustachego Kolowrath-Czerwińskiego składali delegaci powiatów: mohylewskiego 1) Bazyli Korolko, 2) Jan Sipajło, zast. Konstanty Kotwicki; tychowskiego 3) Jakób Byszewski, 4) Edward Żukowski, zast. Antoni Szaniawski; rogaczewskiego 5) Ludwik Stuczanowski, 6) Aleksander Fromandier zast. Józef Wykowski; homelskiego 7) Jan Pereświt Sołtan, 8) Józef Uścińowicz zast. Konstanty Bajkow; czarykowskiego 9) Dymitr Holyński, 10) Teofil Kamieński, zast. Jan Wasilewski; sienińskiego 11) Kazimierz Dunin, 12) Mieczysław Świętorzecki, zast. Ludwik Hornowski; orszańskiego 13) Eustachy Kolowrath-Czerwiński, 14) Paweł Brzozowski, zast. Andrzej Birula; kopyskiego 15) Wincenty Sławiński, 16) Ignacy Mężyński, zast. Witold Sławiński; mściławskiego 17) Kazimierz Stachowski, 18) Michał Wojnicz Sianożęcki, zast. Aleksander Rucioński; klimowickiego 19) Ignacy Komar, 20) Iguacy Ciechanowiecki, zast. Ignacy Zubowicz; czausowskiego 21) Jakób Rakusza-Suszczewski, 22) Antoni Chodkiewicz, zast. Eugeniusz Makowiecki; Członkowie ze strony rządu 23) Stefan Holyński, 24) Aleksander Mężyński. Gubernatorem mohylewskim był Aleksander Bieklewizow.

²⁾ Komitet gubernialny witebski pod prezydencją Stanisława Jurjo-

brał się na pierwszą sesyą 13 lipca 1858 r. i na ostatnią 21 lutego 1859 r., i komitet gubernialny miński ¹⁾ utworzony w d. 11 września 1858 r., ukończył czynności 23 maja 1859 r.

Z rozkazu cesarskiego minister spraw wewnętrznych w d. 3 maja 1858 r., rozesał cyrkularz do gubernatorów oraz 25 egzemplarzy programów zajęć komitetów gubernialnych, wygotowanych przez komitet główny. Program ten wskazywał, że obowiązek komitetów gubernialnych polega na wynalezieniu środków polepszenia bytu włościan na zasadach wskazanych w reskryptach, oraz

wicza i vice-prezesostwem Jana de Lippe-Lipskiego składali delegaci powiatów: surażskiego 1) Rafał Bogdanowicz, 2) Michał Lisowski, zast. Konstanty Szembek; witebskiego 3) Aleksy Ciechanowiecki, 4) Modest Rekác, zast. Wincenty Sałatko-Petryszcza (na miejsce Stanisława Drozdowskiego); rzeczyckiego 5) Ignacy Bohomolec (na miejsce Kazimierza Wodzyńskiego), 6) Justyn Zagórski, zast. Wład. Sołtan; lepelskiego 7) Euzebiusz Snarski, 8) Kazimierz Przysiecki, zast. Jakób Lisowski; nawelskiego 9) Aleksy Żukowski, 10) Ignacy Petrykowski, zast. Mikołaj Jewrejnow; drysieńskiego 11) Ignacy Chrapowicki, 12) Leon Sulistrowski, zast. Michał Szczytt; siebiezkiego 13) hr. Gustaw Wielhorski, 14) Józef Łabuński, zast. August Targoński; ludyńskiego 15) Józef Rodziewicz 16) Jan de Lipe-Lipski, zast. Aleksander Zaremba; wielizkiego 17) Aleksander Herngross, 18) Sylwan Gliński, zast. Michał Kawecki; gródzkiego 19) Bohdan Azanczewski, 20) Jan Galiof, zast. Antoni Jachimowicz; połockiego, 21) Piotr Kulesza, 22) August Roszkowski zast. Edward Rentt; dyneburskiego 23) hr. Stanisław Plater-Zyberg, 24) hr. Ludwik Plater, zast. Józef Młodzianowski. Członkowie ze strony rządu 25) Paweł Ciechanowiecki (na miejsce Mikołaja Grzebnickiego, 26) Piotr Milkiewicz (na miejsce Józefa Rentta).

Z tych członków: Lisowski, Ciechanowiecki, Żukowski, Wielhorski, Łabuński, Herngross, Galiof, Roszkowski i P. Ciechanowiecki, ułożyli ustawę inflandzką. Zagórski, Sołtan, Chrapowicki, Sulistrowski, Rodziewicz, de Lippe-Lipski i Platerowie stanowili mniejszość komitetu witebskiego. Gubernatorem witebskim był Paweł Kluszyn.

¹⁾ Komitet gubernialny miński, pod prezydencją Ludwika Słotwińskiego i vice-prezesostwem Ottona Horwatta, składali delegaci powiatów: mińskiego 1) Ignacy Bogdaszewski, 2) Bolesław Świętorzecki, zast. Adam Wańkowiec; borysowskiego 3) Wiktor Świda, 4) hr. Konstanty Tyszkiewicz, zast. Ignacy Bieliński; i humańskiego 5) August Janiszewski, 6) Jakób Łukaszewicz, zast. Otton Jodko; rzeczyckiego 7) Otton Horwath, 8) Edmund Łaszcz, zast. Stefan Kuncewicz; pińskiego 9) Aleksander Skirmunt, 10) Mateusz Tukalski-Nielubowicz, zast. Adam Statkowski; sluckiego 11) Kazimierz Jeleński, 12) Bronisław Zaleski, zast. Marck Uzłowski, nowogródzkiego 13) hr. Aleksander O'Rurk, 14) Karol Kaszyc, zast. Aleksander Danejko; bobrujskiego 15) Aleksander Łappa, 16) Michał Puszczyn, zast. Eugeniusz Panszanowski; mozyrskiego 17) Napoleon Jeleński, 18) Artur Horwath, zast. Hieronim Kiniewicz. Członkowie ze strony rządu 19) hr. Floryan Rzewuski, 20) Aleksander Osierko. Gubernatorem mińskim był hr. Edward Keller.

na skreśleniu projektu ogólnego w tej sprawie. Po spełnieniu tych obowiązków komitety miały być powtórnie wezwane celem wprowadzenia w wykonanie zatwierdzonych ustaw, a następnie w ściślejszym komplecie komitety gubernialne miały się zająć ułożeniem projektu ogólnej ustawy wiejskiej, regulującej szczegółowo byt nowych obywateli państwa — kmieci. Tym sposobem czynności komitetów gubernialnych podzielono na trzy peryody: 1) ułożenie projektu ustawy, zawierającej główne zasady polepszenia bytu włościan; 2) wprowadzenie w wykonanie tej ustawy, po jej zatwierdzeniu w każdym po szczególe majątku i 3) skreślenie ustawy wiejskiej, regulującej byt włościan.

W pierwszym peryodzie czynności komitet zajmie się najprzód zebraniem wiadomości i powiatowemi naradami. Zebranie wiadomości odnosiło się do: 1) liczby dusz w każdym majątku, 2) podziału włościan podług stosunku spełnianych powinności, 3) liczby osad z oznaczeniem ilości ich ziemi, 4) ogólnej przestrzeni ziemi z majątku, 5) podziału pól dworskich i włościańskich, 6) stosunku ogólnej przestrzeni majątku do liczby dusz, 7) stosunku przestrzeni włościańskiej do liczby mieszkańców, 8) wartości osad, budowli i ziemi, 9) wartości pól stosownie do ceny bieżącej, ceny robotnika na dziesięcinę, kosztów obróbki, średniego dochodu brutto z dziesięciny, 10) przemysłu włościańskiego: rolniczego, rzemieślniczego, fabrycznego, transportowego, 11) powinności włościan: podatki i czynsze, powinności w naturze, liczba dni roboczych, roboty na wydział, wartość dnia roboczego, 12) kmieci dworskich: zaliczonych do domów i kapitałów, majątków z podzieleniem na czeladź domową i rolną, 13) z włościan: pisarze, kantorowicze, leśniczowie, muzykanci, śpiewacy, felczerzy, weterynarze, gorzelani, ogrodnicy, młynarze, pastuchy i t. p., ich liczba i byt ekonomiczny, 14) liczby piśmiennych włościan w majątku i sposób krzewienia oświaty, 15) urzędzeń ekonomicznych i dobroczynnych, 16) długi bankowe i zaległości podatkowe, ciężące na majątkach po dzień 1 stycznia 1858 r. Ostateczne zajęcia komitetów gubernialnych w pierwszym peryodzie były następujące: ogólny wykaz ówczesnego stanu majątków, zajęć narad powiatowych, rozpatrzenie tych wszystkich przedmiotów, które weszły do projektów, oraz skreślenie samego projektu ustawy.

W drugim peryodzie komitety gubernialne miały się zająć wprowadzeniem w wykonanie ustawy po jej zatwierdzeniu, przy czém właścicielom ziemskim pozostawiono prawo uszczelnienia w komitecie gubernialnym przy rozpatrzeniu szczegółowych aktów jego majątku dotyczących.

W trzecim peryodzie należało do komitetów gubernialnych skreślenie projektu ustawy wiejskiej, regulującej byt włościan, w skutek czego polecono komitetom bacznie śledzić za biegiem reformy włościańskiej, a to w celu dokładniejszego poznamienia się z bytem i potrzebami włościan.

W dniu 20 stycznia 1858 komitet tajny przekształcony został na „komitet główny do spraw włościańskich.“ Instytucją tę pod prezydencją cesarza Alexandra II składali: prezes rady państwa ks. Orłow z prawem przewodniczenia w zastępstwie cesarza i członkowie rady państwa: W. Ks. Konstanty, hr. Błudow, hr. Adlerberg, ks. Gagarin, Łąnskoj, bar. Korf, hr. Panin, ks. Dołgorukow, Czewkin, Murawjew (wileński), Broch i Rostowcew. Sekretarzem komitetu cesarz mianował Butkowa, pomocnikiem zaś jego Żukowskiego. Nieco później 27 lipca 1858 z łona komitetu głównego oddzieloną została komisya specjalna, złożona z Łąnskoja, Paniña, Murawjewa i Rostowcewa, z sekretarzem Żukowskim, do pierwszego rozpatrzenia projektów nadesłanych przez komitety gubernialne.

Nader wybitną rolę w sprawie reformy włościańskiej odegrał Wydział ziemiański, utworzony 16 marca 1858 r. przy Centralnym Komitecie statystycznym ministerjum spraw wewnętrznych. Do niego należało pierwsze rozpatrzenie i obrobienie wszelkich kwestyi, dotyczących urzędów ziemiańsko-gospodarczych. Wydział ziemiański, pod prezydencją towarzysza ministra spraw wewnętrznych, składali: Mikołaj Milutyn, i Jakób Sołowjew, a mogli być do niego jeszcze wzywani z prawem głosu gubernatorowie, marszałkowie i przewodnicy szlachty, uczeni, obywatele, fabrykanci, kupcy i t. p.

W dalszym ciągu komitet główny do spraw włościańskich postanowił 24 lipca 1858 r., aby każdy komitet gubernialny wydelegował dwóch członków do Petersburga w celu objaśnienia ułożonego przez niego projektu, z zastrzeżeniem, aby tam, gdzie komitet gubernialny nie działał jednomyślnie, jeden z delegatów należał do większości, a drugi do mniejszości członków.

Następnie 1 marca 1859 r. ustanowiono Komisye redakcyjne w celu systematycznego ugrupowania materyałów, nadsyłanych przez komitety gubernialne. Prace rozdzielono na dwie części: na wydział ogólny postanowień dla całego państwa, z poruczeniem mu spraw dotyczących osobistych praw włościan, praw dziedziców do ziemi, ludności dworskiej i utworzenia grup włościańskich, oraz na wydział postanowień miejscowych o osadach, nadziale, powinnościach włościan i przemianie włościan ze stanu poddaństwa do wyzwolonego stanu wiejskiego za pośrednictwem wykupu lub innego sposobu. W tym celu ustanowiono:

- 1) Komisją redakcyi postanowień ogólnych, złożoną z urzędników ministerjum spraw wewnętrznych, sprawiedliwości, dóbr państwa i II wydziału własnej J. C. Mości kancelaryi.
- 2) Komisją redakcyi postanowień specjalnych złożoną z ekspertów, wybranych przez komitet główny do spraw włościańskich z przedstawicieli ministerjum spraw wewnętrznych, dóbr państwa, II wydziału i deputatów od komitetów gubernialnych.

3) Komisją finansową, pod kierunkiem ministerjum finansów, złożoną ze specjalistów nauk finansowych i praktycznie znających państwo, mianowanych przez cesarza.

Pierwszym dwóm komisjom polecono systematyczne ułożenie zbioru postanowień na zasadzie materyałów, nadesłanych przez komitety gubernialne, oraz reskryptów cesarskich, postanowień komitetu głównego, komisji specjalnej, materyałów, zebranych przez ministerjum spraw wewnętrznych i dóbr państwa. Przytém cesarz polecił komisjom nie ścieśniać się żadnemi wydaniami postanowieniami, z zastrzeżeniem, aby komisye w razie zasadniczój zmiany tych postanowień, czyniły przedstawienie do cesarza za pośrednictwem komitetu głównego do spraw włościańskich.

Prezesem komisji redakcyjnych mianowano J. Rostowcewa, członków zaś liczyły te komisye 31, pomiędzy którymi byli: Stefan Żukowski, obywatel witebski, Mikołaj Milutyn, dyrektor dep. wiejskiego min. spraw wewnątrz., Jakow Sołowiew, członek wydziału ziemskiego (pomieszczyk samarski), Marek Luboszczyński, Konstanty Gieczewicz czł. wileńskiego komitetu, Andrzej Grabianka, obywatel podolski, Bronisław Zaleski, czł. mińskiego kom., ks. Włodzimierz Czerkaski, czł. tułskiego kom., Oktawjan Jaroszyński, prezes kijowskiej komisji ogólnej. Prace komisji redakcyjnych przechodziły do komisji specjalnej, a z téj do komitetu głównego do spraw włościańskich.

Na jedném z posiedzeń komisji redakcyjnych debatowano nad kwestyą włościańską i postanowiono, że: „wyzwolenie włościan winno nastąpić na podstawie bezwarunkowój sprawiedliwości i bezstronności dla obu stanów, szlacheckiego i włościańskiego; należy się starać usunąć między niemi nieporozumienia, aby w spokojuém rozstrzygnięciu téj kwestyi Rosya była zabezpieczoną od wstrząśnień, i aby zgodnie z wolą panującego, włościanie natychmiast poczuli, że byt ich polepszono, a szlachcie bezzwłocznie się uspokoił, że prawa jego zabezpieczono...“ Złote to słowa, jak daleko jednak późniejsze czyny odbiegły od wspaniałych zamiarów... Na téjże sesyi przyjęto za zasadę, że obywatele wiśni otrzymać sprawiedliwe i w zupełności wystarczające wynagrodzenie za ziemię, które włościanie wykupią. Roczne spłaty włościan tak kapitału jak i odsetek nie powinny przenosić wysokości obecnych powinności. Kwestya władania wspólnego lub osobistego ziemią winna być rozstrzygnięta zgodnie z miejscowemi warunkami i należy się wstrzymać od nacisku rządu w wyborze jednego lub drugiego systemu władania.

Następnie przedmiot zajęć komisji redakcyjnych podzielono na trzy części: prawną, administracyjną i gospodarczą. W sferę Wydziału prawnego wchodziło: zniesienie poddaństwa, ograniczenie praw obywateli i odjęcie obowiązków wyływających z poddaństwa; nadanie włościanom praw osobistych i familijnych; prawa włościan rzeczowe; prawa włościan umawiania się i zobowiązywania; przemysłowo-rzemieślnicze i handlowe prawa włościan, nadanie włościanom praw sądowych;

przejście włościan do innych stanów; prawa obywateli do ziemi; urządzenie gospodarze majątków i oddawanie ich w dzierżawę; zastaw i zbył majątków obywatelskich, oraz sposób spadkobierstwa; prawa obywateli do szczególnych, pojedynczych użytków (łąki, stawy, pastwiska i t. p.).

Do zajęć wydziału gospodarczego należało: ustanowienie i oznaczenie działu włościańskiego; osobne użytki, ustąpione kmieciom; wyznaczenie zasiania (?) ziemi; prawo użytkowania przez włościan ich działów; ustanowienie i oznaczenie osad; zasady szacunku i wykupu osad włościańskich; przenoszenie osad kmiecych; prawo użytkowania z osady przed wykupem i prawo własności wykupionej osady; maksymalne i minimalne przestrzenie działów kmiecych; zasady i sposoby oznaczenia powinności względem obywateli, ogólne cechy powinności, rodzaje powinności, wzajemny ich stosunek i sposób przemienny jednych na drugie; rozmaite rodzaje powinności naturalnych i sposoby ich spełniania; sposób odzyskiwania powinności pieniężnych, służba włościan, którzy otrzymali techniczne wykształcenie kosztem dziedzica i spełniają rozmaite obowiązki w jego majątku; zabezpieczenie akuratnego spełniania obowiązków względem obywateli; normalny zakres powinności; powinności skarbowe. Połączone wydziały prawny i gospodarski zajmowały się urządzeniem czeladzi dworskiej.

W zakres czynności Wydziału administracyjnego wchodziły: ogólne zasady urządzenia gromad wiejskich; normalny zakres gromad wiejskich; sposób podziału włościan na gromady wiejskie z oznaczeniem miejsc zarządów gminnych; ogólny skład zarządu wiejskiego, wiece wiejskie, ich skład, atrybucye i sposób załatwiania spraw; organa zarządu wiejskiego; obrady wiejskie i sąd włościański; stosunek obywateli do gromad wiejskich.

W wydziale prawnym prezydował Stefan Żukowski, w skład jego zaś wchodził między innymi Marek Luboraczyński i Jakow Sołowjew. W wydziale administracyjnym uczestniczyli: Konstanty Gieczewicz, Andrzej Grabianka, Stefan Żukowski, Bronisław Zaleski, Oktawjan Jaroszyński, Samarin, Sołowjew, Czerkaskij i inni. W wydziale gospodarczym prezydował Mikołaj Milutyn, przy członkach: Gieczewicz, Grabianka, Żukowski, Zaleski, Jaroszyński, Czerkaskij, Sołowjew itd.

Oprócz dwóch komisyj redakcyjnych, jak nadmieniliśmy wyżej, utworzono jeszcze trzecią, mianowicie Komisją finansową w d. 9 maja 1859 r. pod prezydencją J. Rostowcewa, w skład której wchodził: Juliusz Hagemeister, Michał Reutern, Mikołaj Christofari, Mikołaj Milutyn, Eugeniusz Łamański, Mikołaj Bunge, Andrzej Zabłockij-Diesiatowski, Konstanty Domontowicz i Michał Posen. Komisya finansowa powołaną była w celu wynalezienia finansowych środków dla ułatwienia wykupu włościan z współudziałem państwa. Prace tej komisji również przekazywano komisji specjalnej, która łącznie z ministrem skarbu projekty rozpatrywała i wraz z opinią komunikowała Komitetowi Głównemu.

Ks. Orłow, zawiadamiając o utworzeniu komisji finansowej, wskazywał główne zasady, któremi w pracach swoich winna się kierować, mianowicie: zamierzony wykup ziem włościańskich winien być dobrowolny, nieobowiązkowy, przy współdziałaniu rządu. Nadmieniał przytém, że majątki obywatelskie obciążone są długami względem instytucji kredytowych państwowych w sumie około 400 milionów rubli. Co się tyczy dobrowolnego wykupu, to w dalszym ciągu wyjaśniono, że on nie może nastąpić bez formalnej zgody dziedzica na sprzedaż, a włościanina na kupno ziemi, z wyłączeniem atoli osad, których sprzedaż była obowiązkową dla (?) obywateli. Wykup urzędów rolnych winien być dokonany albo w formie prywatnej pomiędzy dziedzicem i kmieciem środkami ostatniego, albo też przy współdziałaniu rządu.

Daléj wzięto na uwagę, że skoro ugoda dziedzica z kmieciem o wykup ma być dobrowolną, to i same warunki wykupu równieź winny być polubowne. Gdyby jednak strony nie zgodziły się co do ceny pojedynczych działów, to spór rozstrzygać ma zgodnie z sumieniem (po sowiesti) sąd polubowny, przez nie wybrany. Na kapitalną sumę wykupu rząd wyda obywatelom gwarantowane przez niego tytuły pieniężne, do których włościanie mają płacić rządowi 6%. 1% obracany będzie na umorzenie tych tytułów, a 5% na odsetki od nich. Suma płacona przez kmiecia nie ma być wyższą od dotychczasowego obroku (czynszu). Na pokrycie niedoborów rząd postanowił corocznie przekazywać 5 milionów rubli z dochodów dóbr państwa. Cała operacja finansowa obliczoną została na miliard rubli, z których jednak należy odliczyć 400 mil. r. długów bankowych, oraz te wszystkie umowy, które polubownie bez udziału skarbu mają być zawarte pomiędzy obywatelami i kmieciami.

Wyżej już nadmieniliśmy o wrogiem usposobieniu większości członków komitetu głównego względem wszelkich zasadniczych zmian w stanie dotychczasowym bytu włościan. Na czele opozycji stali ks. Orłow, Panin i Murawjew wileński, szczególnież ten ostatni, rozjeżdżając po różnych stronach, wszędzie zapewniał dworzan, że „niezewo uie budiet.“ Nie mniejsze też przeciwieństwo wykazywały zgromadzenia dworzańskie, zwłaszcza też moskiewski komitet gubernialny liczył wiele na swoje bezczynność. Ale wola cesarza Aleksandra II przeprowadzenia reformy włościańskiej była niezłomną, tém wytrwalszą, że znalazła już odgłos u szlachty litewskiej i ukraińskiej, 12 września 1858 cesarz odezwał się do dworzan moskiewskich „Ja wskazałem wam zasady i od nich nie odstąpię.“ Słowa te miały ten skutek, że komitety gubernialne przyspieszyły prace, lubo i wtedy opozycja nie przestała nurtować. Posiedzenia komisji redakcyjnych były coraz burzliwsze, zwłaszcza 18, 21 i 25 maja 1859 r., na których ks. Paskiewicz i hr. Piotr Szuwałow jaśniej sformułowali swoje zarzuty i dołączyli do protokołu posiedzeń treści następującej: niżej podpisani członkowie nie uważają bezwarunkowo za możliwe zgodzić się ze zdaniem Prezesa i większości komisji a to dla przyczyn następujących. W pro-

jękcie prezesa łączą się dwa cele, których osiągnięcie, zdaniem podpisanych, zawisło od zupełnie różnych przyczyn, mianowicie od zniesienia poddaństwa i od dobrowolnego wykupu ziemi przez włościan od obywateli. Kwestya zniesienia poddaństwa i konieczność urządzenia bytu, nie może być zawisłą ani od wykupu dobrowolnego, ani téż od jakiegokolwiek umowy; rozstrzygnięcie téj kwestyi potrzebuje zastosowania środków, mogących bezwarunkowo być urzeczywistnionemi. Odnośnie do włościan należy mieć na uwadze, aby mające się im przyznać prawa cywilne nie były ograniczone stosunkami majątkowemi, obowiązkowo włożonemi na włościan. Materyalny byt włościan będzie zabezpieczony, jeżeli się im pozostawi na warunkach sprawiedliwych i trwałych prawo bezterminowego użytkowania i wydziałek wydziałek im udziałów. Osiągnięcie na tych zasadach moralnego i rzeczowego zabezpieczenia bytu włościan w okresie stanowczo oznaczonym i o ile możności krótkim, stanowi, zdaniem podpisanych, tę część kwestyi włościańskiej, w której rozstrzygnięciu tylko winna uczestniczyć władza prawodawcza i obowiązkowa interwencya rządu. Co się tyczy wykupu ziemi przez włościan, to czynność ta, zgodnie z stanowczemi wskazówkami rządu, jest tylko dobrowolną umową, pochodzącą w każdym wypadku z obustronnej zgody. Tu rząd nie rozkazuje obywatelom lub kmieciom, a tylko pomaga swoim kredytem zawarciu umów wzajemnie korzystnych. Gdy takie jest znaczenie wykupu, to w łonie komisji redakcyjnych nie może być żadnych wątpliwości, zwłaszcza w obec ostatnich objaśnień prezesa. Lecz niemniej podporządkowanie kwestyi włościańskiej wykupowi i nieokreślone wskazanie przyszłych zamiarów rządu, w razie nieudania się téj operacji, może wzbudzić w opinii publicznej wątpliwość, czy wykup jest lub nie jest obowiązkowym. Brak stanowczego określenia może być znaczną przeszkodą w utrwaleniu tego spokoju i tego bezspornego uznania praw cudzych, bez których nie może być z korzyścią przeprowadzona zamierzona reforma. Zdaniem podpisanych, należy aby od czasu stanowczego rozgraniczenia stosunków majątkowych dziedzica i włościan, prawo własności obywateli z temi ograniczeniami, które będą usprawiedliwione, oraz prawo użytkowania przez włościan, w tym zakresie, który im będzie pozostawiony, weszły do ogólnego zbioru praw cywilnych. Tylko przy zachowaniu warunku tego zawarte pomiędzy dziedzicami i włościanami umowy wykupowe, będą miały cechę aktów rzeczywiście dobrowolnych, których wykonaniu nie będzie stać na przeszkodzie oczekiwanie jakiegokolwiek reformy. Wtedy to, z drugiej strony współdziałanie rządu swemi kapitałami lub kredytem przyniesie oczekiwaną korzyść i bez wszelkiego ścieśnienia prawa cudzego rozdział ziem sprowadzi te ogólne następstwa, które rząd chce osiągnąć. Na zasadzie powyższego nie można niewyrzucić żalu, że w skreśleniu zasad mających służyć za podstawę komisjom nie wspomniano o stanowczym terminie oswożenia włościan, niezależnie od wykupu, od wszelkich zobowiązań rzeczowych przez nich dobrowolnie nie przyjętych, i że z dru-

gięj strony sprawa wykupu nie została postawioną zupełnie oddzielnie od określenia praw osobistych i majątkowych włościan.

Umyślnie przytoczyliśmy treść protokularnej opinii ks. Paskiewicza i hr. Szuwałowa, gdyż ona najlepiej charakteryzuje ówczesny nastrój umysłów i była niejako *coup d'état* całej opozycji dworzaństwa, a po części i szlachty. Po pamiętnych słowach cesarza Aleksandra II w Moskwie, że od zasad przez siebie wskazanych nie odstąpi, opozycja nareszcie przyszła do przekonania, że reforma włościańska ziścić się musi. Pogodzone się więc z myślą reformy, ale jednocześnie potężnymi wpływami chciano ją rozbić na dwie części, na oswobodzenie, na które w obec niezłomnej woli panującego zgodzić się musiano, oraz na kwestyą wykupu ziemi, w której bezwarunkowo nie chciano dopuścić interwencji rządu. Opozycja miała dość twardy grunt pod nogami, zwłaszcza w obec chwiejności rządu, pochodzącej głównie z braku tego specjalnego przygotowania, które w każdej sprawie nadaje pewność i tak wielce wpływa na wytrwałe przeprowadzenie zamiarów. Rząd w osobie cesarza Aleksandra II wiedział do czego dąży, ale tej świadomości i pewności siebie nie miały jeszcze odnośne najwyższe organa, zwłaszcza komitet główny do spraw włościańskich bądź z braku specjalnego przygotowania, a może też ze względu na możnowładztwo, jednolicie wrogo usposobione względem reformy, możnowładztwo, podówczas jeszcze potężne i pamiętne tych czasów, gdy na ich skinienie dokonywały się przewroty..... Wystąpienie więc dwóch możnowładzców nie mogło być przyjemnym ani dla sfer dworskich, ani dla tych nielicznych działaczy, którzy obcy kastowym uprzedzeniom całą duszą oddani byli przeprowadzeniu tak humanitarnej reformy, skutkiem czego obaj prosili o zwolnienie ich od uczestniczenia w dalszych obradach.

Jak wyżej nadmieniliśmy, w sprawie reformy włościańskiej nader ważną rolę odegrał wydział ziemiański ministerium spraw wewnętrznych, który łącznie z Rostowcewem był istotnym kierownikiem całego dzieła. Nie wdając się nateraz w ocenę późniejszej działalności, mianowicie w Królestwie Polskiem (uczynimy to następnie) dwóch członków wydziału ziemiańskiego, Milutyna i Sołowjewa, dziś po uśmierzeniu się namiętności, przyznać musimy, że w pierwszej epoce reformy włościańskiej ci dwaj działacze oddali istotnie wielkie dodatnie usługi sprawie oswobodzenia włościan. Dziś już nie ulega wątpliwości, że gdyby nie gorliwa pomoc Rostowcewa, Mikołaja Milutyna i Sołowjewa, to humanitarne zamiary cesarza Aleksandra II-go względem 25 milionów poddanych nie mogłyby być urzeczywistnione.

W pierwszej połowie czerwca 1859 r., komisye redakcyjne ukończyły prace przygotowawcze, dotyczące 21 gubernij: w tej liczbie mińskiej i witebskiej, mianowicie: rozpatrzyły wszelkie projekta prywatne, porównały projekta nadesłane przez komitety gubernialne i przystą-

piły do ostatecznego rozstrzygnięcia kwestyj specjalnych. W dalszym ciągu Rostowcew zwrócił uwagę komisji redakcyjnych na kilka kwestyj, mających bezpośrednią lub pośrednią łączność z reformą włościańską, nad którymi z kolei należało się zastanowić. Kwestye te dotyczyły: ustawy wiejskiej i leśnej, zmiany ustawy pasportowej, powinności rekruckiej, stosunku przyszłego sądu włościańskiego do sądów cywilnych, stosunku włościan do bezpośrednich władz administracyjnych, długoletnich kontraktów dzierżawnych, oraz miejscowego zarządu.

Podług przyjętego programu ustawa wiejska miała być rozpatrywana w trzecim peryodzie zajęć, obecnie jednak postanowiono przyspieszyć jej ułożenie, gdyż dotąd mienie obywateli było pod opieką dziedziców, należało więc ze zmianą stosunków władzę dziedzica zastąpić innymi organami. W ustawie leśnej zamierzano rozciągnąć na lasy prywatne niektóre z przepisów obowiązujących lasy skarbowe, głównie zaś dotyczące straży leśnej i porębów. Co się tyczy miejscowego zarządu, to zwrócono uwagę na sposób spełniania powinności w naturze, na ustanowienie dla włościan wzajemnego ubezpieczenia od ognia, nieurodzaju, gradobicia i t. p. na sposób przejścia zapasowych magazynów zbożowych w zawiadywanie gromad, na znaczenie zakresu prawa nadzoru nad kapitałami gminnymi, oraz na środki zachęty gromad wiejskich przy otwieraniu szkół na ich rachunek, zakładów dobroczynnych, oraz opieki nad świątyniami. Dla bliższego zastanowienia się nad powyższymi przedmiotami komisye redakcyjne wybrały z łona swego komisją specjalną, w której skład weszli: Stefan Żukowski, Marek Luboraczyński, Mikołaj Milutyn, Jurij Samarin i ks. W. Czerkaskij.

W końcu lipca 1859 r. Rostowcew zawiadomił ministra spraw wewnętrznych o ukończeniu prac przygotowawczych dla 21 gubernij, prosząc o wezwanie do Petersburga ekspertów, wybranych z pośród komitetów gubernialnych tychże gubernij, celem przedstawienia bliższych wiadomości i objaśnień. Każdy komitet gubernialny miał wydelegować dwóch członków, z których jeden reprezentował większość, a drugi mniejszość, — jeżeli zaś komitet wygotował dwa projekta, to delegował trzech członków, z których jeden od większości, a dwóch od mniejszości członków. Wszystkich delegatów wezwanych było 44, pomiędzy którymi od komitetu gubernialnego witebskiego (powiatów białoruskich) przedstawiciel większości Stanisław Jurjewicz i mniejszości Aleksy Ciechanowiecki, oraz od powiatów inflantskich hr. Stanisław Plater-Zyberg; od komitetu gub. mińskiego: Aleksander Skirmunt i Aleksander Oskierko; od razaiskiego: Aleksander Koszelew (późniejszy dyrektor gł. komisji skarbu w Król. Polskim); od czernihowskiego: Waleryan Podwyski i Aleksander Markowicz. Pierwsze posiedzenie delegatów wezwanych do Petersburga miało miejsce 6 września 1859 r. podług następującego programu zatwierdzonego przez cesarza: prezes komisji redakcyjnych winien przedewszystkiem zażądać

od delegatów bliższych objaśnić co do tych kwestyj, które wynikły przy dalszém opracowaniu projektów. Następnie prezes komisyj redakcyjnych winien każdemu z delegatów doręczyć jeden egzemplarz drukowany prac przygotowanych przez komisye (pierwonaczalnych matierjałów) i zażądać od nich objaśnień w tój materji. Bliższe wiadomości i objaśnienia delegaci składali piśmiennie, które wraz z opinią komisyj redakcyjnych przedstawiane były do decyzji komitetowi głównemu do spraw włościańskich. Oprócz tego na wspólném posiedzeniu komisyj redakcyjnych i delegatów zastanawiano się nad sposobami ochrony lasów prywatnych, nad porządkiem zawarcia umów o najmie robotników, nad środkami mierniczemi, nad sposobem przekształcenia miejscowości przemysłowych na osady lub na miasteczka, nad większemi magazynami zbożowemi, nad wzajemném ubezpieczeniem i dozwoleńm kupna majątków ziemskich osobom nienależącym do stanu szlacheckiego lub dworzańskiego.

Po szczegółowym rozbiórce powyższych kwestyj ukończony został pierwszy peryod prac komisyj redakcyjnych, których owocem było: „Pierwoje izdanje matierjałów Redakcyjnych Kommissij“ w 3 tomach in 8-o. Prócz tego w tymże czasie wydrukowano: „Sbornik uzakonienij o pomieszcziczych krestjanach“ str. 447, oraz „Sistematiczeskij swod projektow położenij po 21 gubernii“ obejmujący 1,271 stron. W 1860 zaś roku wydrukowano „Priłożenja k'trudam Redakcyjnych kommissij. Swiedienija o pomieszczajch imienjach“ w sześciu wielkich tomach in 4. Wydawnictwo to zawiera nader bogaty materyał ekonomiczny, zupełnie dotąd nieużytkowany w literaturze naszój.

(Dok. nastąpi.)

Pisałem 16 marca 1886 r.

F. Fendi.

Hessy O'Grady.

P O W I E Ś Ć O R Y G I N A L N A,

OSNUTA NA TLE STOSUNKÓW OBECNYCH W IRLANDYI *).

NAPISZAŁ

Działoszka.

XV.

O'Grady zmuszony był pozostawić zwłoki siostry w domu Michała Mylesa, bo pominąwszy obawę o rozgłos w hrabstwie, wiedział o postanowieniu Michała, który nie chciał, aby przy ciele nieboszczki odbywało się powszechne w Irlandyi tak zwane „czuwanie,“ owszem pragnął, żeby do izby, w której zwłoki złożone były, można wchodzić tylko za wyraźnem pozwoleniem Marcina.

Myles, postępując w ten sposób, czuł całą przykrość téj ofiary, ponieważ w południowej zwłaszcza Irlandyi mało znajdziesz takich rodzin włościańskich, wśród którychby się nie przechował zwyczaj przedchrześcijański, tak zwanych „czuwań“ przy zwłokach, który w ten sposób się objawia. W dzień zgonu nieboszczyka, gdy już ciało zostało umyte, przyodziane i w trumnie złożone—schodzą się do izby, w której zwłoki wystawiono, zaproszeni krewni, przyjaciele i znajomi; dom otwarty jest dla przechodniów. W około otwartéj trumny ustawiają stoły z jadłem i napojem, z mnóstwem świec zapalonych, z książkami starych legend, ballad i baśni. Skoro upłynie dwanaście godzin od chwili śmierci nieboszczyka, goście i rodzina siadają do

*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za m. marzec r. b.

stołów, zapalają światła i rozpoczynają ucztę, przepłatana częstemi toastami na cześć zmarłego. W izbie aż do pogrzebu nie powinno zabraknąć ani jadła, ani trunku, ani świece, ani tytoniu. Co do gości, to jedni wychodzą, drudzy przybywają, a nikt sobie nie żałuje:—po wszystkich izbach domu i na przyźbie, i w ogrodzie, gdziebądź rozsiadają się mężczyźni, kobiety i dzieci, folgując sobie w używaniu darów Bożych aż do zbytku. Jeżeli dom ubogi,— to zapasów spożywczych mniej lub tyle tylko, ile kto z sobą przyniesie; wódki jednak, potyny i tytoniu musi być obficie, choćby przyszło suknie ściągnąć z trupa i sprzedać... czego nie rzadkie wcale bywają przykłady. Dwa dni i dwie noce trwa taka wstętna stypa. Przed samym pogrzebem, w chwili zamykania trumny, pozostali goście wśród płaczów i lamentów śpiewają starożytną „dirge,” pieśń za umarłych smutnej melodyi, życzą zmarłemu „krótkiego czyśca” i zakazują mu uroczyście molestować pozostałych. Z ukazaniem się kapłana w progu, ustępują „czuwający;” jedni wracają do domów, inni towarzyszą nieboszczykowi na cmentarz.

Michał nie żałował tyle samego „czuwania,” ile bolał nad utratą sposobności, jakąby mu ono dostarczyło do przygotowania, lub może i do wykonania skrytych zamiarów swoich; lecz od chwili, w której postanowił zażądać od Marcina ręki jego przybranej córki, starał się ile możności o to, aby zjednać sobie choć w części względy starca. Nie zrozumiał atoli dokładnie sceny, jaka zaszła przy łożu Agnieszki, gdy się ukazał niespodzianie w towarzystwie kapitana; owszem, z wiadomością o młodych latach siostry Marcinowej, podejrzania jego zwróciły się raczej przeciwko Mitchellowi, nie oszczędzając pamięci nieboszczki.

O'Grady pozostawił w Kuyverton Maryannę, która zajęła izbę pośmiertną z Julią Mylesową i starą matką Kirwanową, a sam pośpieszył z świeżo osieroconą Hesterką do Topoli, by poczynić przygotowania do pogrzebu.

Stary Jan wręczył mu przed chatą list, który sam przyniósł przed południem z miasteczka. Poznał Marcin pismo i pocztowe stemple — list był od syna, z Ameryki. Donosił Patryk po ktrótce, że dowiedziawszy się z gazet o okropnej klęsce w ojczyźnie, postanowił wracać; firma jednak pryncypałów, nie chcąc utracić doskonałego urzędnika, ofiarowała mu ważną agenturę swego przemysłu z miejscem pobytu w Dublinie. Lada dzień więc obiecał Patryk odwiedzić ojca i „miss Hessy” w Topoli, a na wszelki wypadek i dla zażegnania możliwych nieprzyjemności ze strony plenipotentą, dołączył w liście przekaz bankowy na połowę swego kapitaliku, zaoszczędzonego w Stanach.

O'Grady, który już był zrozpaczył zupełnie o możebności uratowania Topoli swym synom, nie ociągał się z wykonaniem zamiaru, najwłaściwszego w takich okolicznościach; znając z posłuchów plany Landlordów i ich plenipotentów, napisał do urzędnika kancelaryi water-

fordzkiej, i uprzedził go o swęj gotowości do spłacenia rat czynszowych w terminie najbliższym. Potęm złożył pieniądze Patryka w banku prowincjonalnym, wraz z przekazem na całą sumę czynszową, wystawionym na imię plenipotentą dóbr Grosvenorskich.

Ale te jego czynności nie mogły pozostać tajemnicą. Rychło się o nich dowiedzieli sąsiedzi dzierżawcy i osadnicy: — jedni z nich przyjmując wiadomość z niedowierzaniem, inni z oburzeniem — większość zaś ogromna z przekonaniem, że Marcin da się odwieść od spełnienia swego zamiaru. Nie należy bowiem tracić z uwagi rozlewającą się po kraju agitacyi Ligi Ziemskiej, jak nie należy zapominać o rosnącej potędze związków rewolucyjnych... na kwestyi ziemskiej opierających całą swą działalność. Liga oświadczyła wyraźnie, że żaden osadnik nie może być prawnie zmuszonym do sprzedania swych praw gruntowych na pokrycie długów czynszowych; anarchiści postąpili dalej: dowodzili bowiem iż nawet straszliwa klęska krajowa na dobre wyjść powinna ludowi, gdyż jedynym jej rezultatem powinno być przyspieszenie wielkiej eksterminacyi landlordyzmu. Dla tego głosili, że nikt nie powinien się ważyć spłacać czynszu jakiegolwiek, choć by nawet mógł to z łatwością uczynić. Jeden za wszystkich — wszyscy za jednego! takie miało być teraz hasło irlandzkich rolników... Liga domagała się od właścicieli znizienia stopy czynszowej i cierpliwości, wyrozumienia; — od rządu zaś żądała pożyczki, któraby umożliwiła długoletnim fermerom wykupienie osad na własność wieczystą. Anarchia, podniósłszy okrzyk: „Irlandya dla irlandczyków!“ zabroniła włościąństwu stanowczo i surowo wszelkich z „brytanizmem“ układów, obiecując popierać każdy opór choćby najśroźszym teroryzmem.

Nadchodzili więc do Topoli sąsiedzi z bliższych osad i z dalszych, przekładając Marcinowi konieczność łącznej akcyi opornej i groźne niebezpieczeństwo sprawy, zachwianej skutkiem jego decyzyi. O'Grady nie dał się wszakże ani przekonać, ani zachwiać w postanowieniu. Nie unikał też rozumnej dyskusyi, owszem rozstrząsał z fermerami każdą trudność położenia, ale kończył zawsze temi słowy:

— Przodkowie moi, a ja po nich przyjęliśmy zobowiązania. Każdy z nas w Topolach płacił, kiedy mógł i ile mógł... Gdybym, jak było przed kilku dniami, nie mógł się uiszczyć z prawnych zobowiązań — szukałbym pomocy Ligi... tylko siła brutalna zdołałaby mnie wyrzucić z ojcowizny! Lecz, mogąc zapłacić, zapłacę: raz dla tego, że to mój obowiązek, — a potęm i dla tego, by tęp samym dowieść, jako między nami fermerami nie zła wola i nie krnąbrne sprzysiężenie spór zrodziły — tylko dopuszczenie Boże, co spadło na grunt, przygotowany przez ucisk i nierząd saksonów!

Sąsiedzi więc opuścili Marcina. Jedni mu tego wyłączenia się wyrozumieć nie chcieli, drudzy — małoduszni — stronić od niego poczęli. Pierwsi jednakże nie zadowolnili się protestem i łagodnemi środkami na złamanie, jak mówili, samolubstwa jego. Oni to roznieśli śpiesznie po całym hrabstwie wieść o „zdradzie“ dzierżawcy

Topoli i stawili go przed sądem włościąństwa. Wyrok nastąpił taki,—na jaki Marcin był dobrze przygotowany i przygotował swych domowników... O'Grady był skazany na karę, wynalezioną od zaledwie paru tygodni, zastosowaną po raz pierwszy do wdowca po zabitej pani Boycott—i od nazwiska jego znaną jako „boycotting.“

Irlandzki ten system ostracyzmu polega przedewszystkiem na całkowitem wykluczeniu winowajcy ze społeczności narodowej. Nikomu do niego słowa przemówić nie wolno. Gdy się ukaże w kościele na nabożeństwie, lud kościół tłumnie opuszcza; nikomu z nim i dla niego pracować nie wolno, nikt mu nie sprzeda choćby kawałka chleba, szczypty soli, nikt też od niego nie kupi bydłęcia, ani nawet wiązki siano; kto z nim przestaje, kto jakikolwiek z nim zachowuje stosunek, ten z nim zarówno jest „boycotted!“

Marcin O'Grady, jak powiedzieliśmy, był przygotowany; zasobów niezbędnych do życia, nagromadził w chacie na czas niejaki, przekonany, że się sędziowie jego z czasem opamiętają... gdy przyjdzie niebawem chwila, że on sam jeden w baronii będzie ich ziemską opatrnością! Najtrudniejsza była sprawa z parobkami—żaden z nich, prócz starego Jana, nie chciał pozostać w Topolach... choć niemal wszystkim żal było widocznie straconego kawałka chleba i uczciwego chlebowdawcy.

Z wyjątkiem proboszcza, mieszkańcy Topoli widzieli się więc opuszczonymi przez wszystkich przyjaciół, znajomych i „true patrios...“ Proboszczowi nikt zabronić nie śmiał i nie mógł, że zachodził do osady—boć nie bywało nigdy w kraju, by lud się kapłanom sprzeciwił otwarciem... nawet wtedy, gdy rad ich, przestróg i prośb słuchać nie myślał.

Jeden człowiek atoli, teraz nie równie częściej, niż kiedykolwiek zjawiał się w Topolach. Michał Myles przychodził tam... pozornie w roli pośrednika między włościąństwem i „the boycotted house“—a w samej rzeczy z zamiarem, którego wyrzec się nie zdołał mimo największych wysiłców—mimo pewności niemal, iż chyba szaleństwo istne może podtrzymać jakąkolwiek nadzieję!.. Przed rokiem jeszcze, wszystkie myśli Mylesa zmierzały ku osadzie O'Gradych, wszystka żądza i ambicya ześrodkowała się u niego w jednym celu: usunięcia przeszkód i zostania dzierżawcą Topoli. Tajnym jego machinacyom powiodło się skorzystać z trudności Marcina, w czasie ostatniej „emigracyi z południa;“ on to zobowiązał się plenipotentowi, iż po eksmisyi O'Gradych, gotówby zająć Topole, jako *car et aker*, zarządca—lub, w danym razie, płacić Gandy'emu czynsz wysoki za kontraktem rocznym... Wiemy, w jaki sposób usunął następnie nieszczęśliwego Tomasza. Próbował później przyspieszyć ruinę Marcina, sam mu dopomagając do spłaty zaległości; gdy zaś ten manewr spełznął na niczem, Myles zwrócił uwagę na tę, którą uważał za córkę dzierżawcy... Plany jego musiały być głęboko założone, gdyż pozostawał im wiernym, chociaż znał doskonale grunt, na jakim stał w obec niego stary

Marcin O'Grady. To też nigdy się w jego obecności nie zdradził z uczuciami swemi a spotykając Hesterkę, trzymał uczucia swe na wędzy.

I czyż dziwna, że w miarę czasu uczucia te stawały się coraz głębsze i... coraz czystsze? Michał Myles, znajdując się, w pobliżu hożej i cudnej dziewczeczki, zapominał o Topolach, o Gandym, o „chłopcach“ i o zamku dublińskim!

XVI.

Nieraz zdarza się, że pożar wybucha z budowli i w okamgnieniu całą ogarnia, a podsycany wichrem i materiałem palnym, niszczy ją z przerażającą szybkością... zanim ludzie potrafią zdać sobie sprawę, z przyczyny, która go spowodowała. Podobnie zdarza się nieraz w życiu ludzkim — iż ostateczne ukołysanie wezbranych uczuć następuje wśród jakiegoś oszołomienia,... spowodowanego naturalnemi przyczynami. Z jednej strony, zaostwiają się i uwydatniają charakterystyczne rysy wypadków, naglących nas do akcji, do rozwinięcia czujnej energii;... z drugiej zaś wypadki te następują po sobie z szybkością wybuchów w podminowanej skale... Zaledwie ochłonęliśmy z wrażeń po pierwszym wybuchu, następuje drugi i trzeci! a następne już rozpoczyna się to... co jest końcem i dokonaniem zniszczenia... wśród czego działalność człowieka, a raczej możliwość akcji zamiera, traci tętno świadomości wszelkiej. Człowiek wtedy, jeśli jest sam aktorem—sprawcą, ofiarą, bohaterem—rzucić się musi w wir szalony nagle rozerwanych upustów,... moralne zasoby ducha jego i charakteru nie decydują już o jego akcji, bo stokroć potężniejszym siłom oprzeć się nie potrafią—lecz one to właśnie przyspieszają rozwiązanie. Widz, świadek podobnej katastrofy, traci również świadomość swego sądu i swych myśli... choć w nierównie słabszym stosunku; łączy się bowiem i jednoczy z owym wirem sceny końcowej. Gdy spokój powróci, widz odzyskuje równowagę swych własnych myśli, z nią sąd—z sądem ostatnie wrażenie.

Chcieliśmy... by opowieść nasza była obrazem. Tylko bowiem obraz, przedstawiający ostatnią scenę dramatu czy tragedyi, może odślonić ją z żywą wyrazistością wszystkich charakterów.

Wyobraźnia, która pędzłem zlewa całość bohaterskiej epeji — nie zdolna piórem skreślić całości obrazka... chyba, że czytelnik zechce przypatrywać się obrazkowi częściowo, odślaniając raz tę, drugi raz inną część obrazu, — aż ostatnią uchyliwszy za słonę odzuci cały...

Michał Myles zapowiedział sąsiadom i sąsiadkom, „że czuwania“ nie będzie przy ciele zmarłej w jego domu Agnieszki. Nie dziwno się temu, bo znano Marcina O'Grady—wiedziano też, że Mitchell,

mniemany wdowiec, choć był katolikiem, był przecie też i „saksonem.“ Dziwiono się zaś w sąsiedztwie, gdy Myles obiecał niektóremu kompanom i znajomym, że jednak o tyle zachowa dawny zwyczaj że... wyprawi stypę pośmiertną po pogrzebie. Coż go do tego zamiaru skłoniło? Nie obowiązek—bo obowiązek, jeżeli istniał, ustawał z wyniesiem ciała z chaty gospodarza; nie rozrzutność lekkomyślna—bo o taką nikt go nie posądzał; nie gościnność, ani chęć uraczenia sąsiadów, — bo i tych przymiotów nie przypuszczał nikt u p. dzierżawcy, czy zarządcy (nikt nie wiedział) Kuyverton'u. Tymczasem jednak oczekiwano pogrzebu i... stypy.

Przy zwłokach nieboszczki, odzianych w suknie, jakie z sobą do Knyverton zabrała, — w izbie, w której jedyne światło rzucały dwie zapalone gromnice, ustawione po obu stronach śmiertelnego łoża, czuwały trzy kobiety. Były to Maryanna, Julia Mylesowa i stara Kirwanowa, która przerywała sen swój i mechanicznie odmawiane pacierze rozmową z Maryanną. O'Grady przychodził każdego rana i każdego popołudnia w towarzystwie Hesterki, i wraz z nią długo kłęczał przy zwłokach, zatopiony w modlitwie i dumaniu.

Ostatniego wieczoru przed pogrzebem, gdy matka Kirwan skończyła ostatni swój pacierz i zabierała się do wyjścia do przyległej izby, odezwała się Maryanna do niej po gaelicku i równocześnie wyciągnęła ku niej rękę. Kirwanowa zamiast odpowiedzi, wydobyla z pod kaftana, którym była otulona, worek skórzany i podała go dziewczynie. Ręce jej zdrząły, gdy Maryanna uchwyciła worek z nietajoną skwapliwością... ale, nie mówiąc słowa, uczyniła znak krzyża w stronę ciała umartwej i opuściła izbę.

— Arrah! mistress Julio—rzekła Maryanna do Mylesowej, siedzącej przy ubogiej trumnie, którą stolarz przyniósł tu z miasteczka po zachodzie słońca — arrah! jużci i pewnie biednej duszy św. Patryk otworzy bramę niebieską, kiedy już tak dobrze, musza, jak gdyby się obrachowała z całym światem!.. Wejrasthru! ktoby też pomyślał, że matka Kirwan, to matka tej dziewczuchy, co to była w izbie, kiedy wielebny ojciec O'Riordan złączył naszą nieboszczkę, mavorney, ślubem świętym z tym... co to go tu nie nazwać po nazwisku! Ano, begorra! jużci Gandy ani krzty tyła rozumu nie miał, co ta Kirwanka!.. Och! żeby tak z Hameryki tu przyszła, a widziela... dhu ishla!..

Kiedy niebawem do izby wszedł Marcin z Hesterką, by się już z nieboszczką nie rozstać aż do cmentarza, Maryanna wręczyła mu świadectwo aktu ślubnego, podpisane przez O'Riordana i... Ewę Kirwan, jako świadka.

— Musha! wam mówiłam, że jużci stara Kirwanowa w grób się z tym papierem nie położy!—szepnęła mu na ucho i przycupnąwszy na podłodze, zaczęła pacierze, nie odwracając oczu od Marcina.

Ten zaś, po uważném obejrzeniu świadectwa westchnął głęboko i złożył je na piersi martwego ciała, do którego tuliła się klęcząca Hessy.

Tęj saméj nocy, na pochyłości wzgórza, wznoszącego się przed zagrodą Knyverton, stał pogrążony w głębokiej zadumie wysokiego wzrostu mężczyzna. Twarzy jego nie podobna było rozpoznać, bo stał odwrócony plecami do pogodnej tarczy księżycowej, która w téj chwili, z zatoki morskiej wypływając, srebrne strugi swego światła słała dalekimi promieniami po drżących falach przystani.

Mężczyzna miał szeroki kapelusz zaciśnięty na czoło, głowę schyloną ku chacie Mylesa, obie ręce wsparte na grubéj lasce przed sobą.

Nieco bliżej wierzchołka wzgórza, o jakich dwadzieścia kroków dalej, stał ktoś drugi, oparty o pierwszą sosnę zagajenia, które rozciągało się ztąd aż do tramorskiego parku. Niktby tam jego obecności nie odgadł, gdyby od czasu do czasu nie wychylał głowy, przykrytej wojskową furażerką, to w prawą, to w lewą stronę—lub gdyby nie odzywał się często — energicznie, choć przytłumionym głosem, do olbrzymiego brytana, który wietrząc i pomrukując, kręcił się poważnie lecz niespokojnie około sosny.

— Do nogi, Nep!—szepnęła Mitchell (bo on to czuwał nad bezpieczeństwem swego pana) — jeżeli te króliki spokoju ci nie dają, toś powinien ogon podwinąć między nogi i usiąść tu na nim... ty, siłacz taki! a jeżeli to inna jaka zwierzyna, to po co łazisz około sosny, jak-byś węż zgubił i...

Nep, który w ciągu téj admonicji zatrzymał się z uszanowaniem, lecz wietrzyć nie przestawał — zawył nagle, głucho i krótko...

— Bestya wie, gdzie stoi! rzekł Mitchell i zamilkł, patrząc na jedyne okno chaty, z którego przezierało światło przez zamknięte okienice.

I znów nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Przerwał ją głos plenipotenta.

— Mitchell!

— Yes, sir! i zbiegł, jak mógł najciszej do kapitana. Yes, sir! powtórzył, gdy stanął obok niego—ale kapitan milczał... Brytan oddalił się nieco, w stronę zatoki; łeb miał podniesiony i ostrożnie—jak gdyby się bał zakłócić ciszy uocnej najmniejszym szelestem, wciągał powietrze, krocząc lekko, zwolna ku poblizkim krzakom, lub skałom wybrzeża.

— Wołałście mnie?—zapytał Mitchell po chwili.

— Tak... to jest—nie... jeszcze nie; ale wrócimy do domu... zaraz...

Gandy wymawiał te słowa, wpół nieświadomie, wpół nieśmiało. Laska z rąk mu wypadła — złożył ręce na piersiach i jęknął głęboko...

— Al! Mitchell, to okropność!.. obowiązek zbyt twardy... Jestże to obowiązek?

Stary sługa słów tych nie rozumiał. Nie chcąc nadużyć swego położenia, odstąpił kilka kroków; równocześnie spostrzegł, że psa nie ma... Spojrzawszy dokoła, jak daleko mu dozwoliły nieregularne cienie drzew i wklęsłości gruntu—chciał zawołać, gdy kapitan, podniósłszy łaskę, ruszył z miejsca.

— Chodźmy, Mitchell,—rzekł pewniejszym głosem:—gdzie jest pies?..

W tej chwili—kilka następujących szybko po sobie strzałów, rozległo się przeciągłem echem po zatoce...

Wrażenia, jakie to echo sprawiło na kapitanie, który przecież nie był tchórzem, trudno opisać. Coś nieskończenie uroczystego musiało dotknąć umysł jego siłą piorunującą, — bo rysy twarzy jego, zwróconej ku pełni księżyca, zmieniły się prawie do niepoznania! . Lewą ręką chwycił się za czoło, prawą rozpiął płaszcz i surdut i szukał czegoś przy sobie. Równocześnie odezwał się do Mitchella, przerażonego zarówno stanem plenipotenty, jak przyczyną, która tę zmianę wywołała—w te słowa:

— Mitchell, patrz — dam ci pakiet... papierów — ten oto... weź go, schowaj go!.. po — po mojej śmierci... kiedy mnie zamordują — słyszysz?

— Yes, sir—odrzekł Mitchell—ale...

— Po mojej śmierci, pójdziesz do Topoli, do Marcina O'Grady-- oddasz jemu ten pakiet!.. słyszysz?

— Panie kapitanie...

— Jemu samemu... albo—mojej córce, miss Hessy... Gandy!... słyszysz?

— Yes, sir.

— Albo proboszczowi tramorskiemu, Mitchell! To mój rozkaz, Mitchell—i wola i... Mitchell, niech cię Bóg błogosławi!.. Ja pójdę sam do domu—ty idź tam (wskazując na skały)—biedne psisko...

— Panie kapitanie! —zawołał kamerdyner, zapominając tą razą zwykłą swą służbistość i, chwytając plenipotentę za rękę;... ale Gandy ścisnęła tylko silnie dłoń żołnierza i przerwał mu:

— Nie bój się, stary! Raz trzeci będzie dla mnie... ale nie dzisiaj; znam ja ich — kilka dni, albo i kilka tygodni mogą się obejść bez broni, chodzić między nimi o każdą porzel... Zostaw mnie tu i... Mitchell! słyszysz? nigdy mi nie mów o tym, com ci tu powiedział. Dobranoc, Mitchell! Szukaj psa!..

Kamerdyner odszedł, rzucając badawcze spojrzenie dokoła. Plenipotent popatrzał za nim, potem zeszedł po pochyłości wzgórza, aż do stóp jego przy drodze. Od chaty, gdzie spoczywały zwłoki Agnieszki, dzieliło go zaledwie dziesięć kroków. Drzwi główne były otwarte... Gandy dostrzegł to. Wolnym krokiem, jak gdyby we śnie,

przeszedł drogę, ogródek i stanął w progu chaty. Cisza panowała w izbach.

Kapitan zdjął kapelusz z głowy i wszedł do izby śmiertelnej...

Dwie gromnice, spalone do połowy, rzucały smutne światło na odkrytą trumnę, w której spoczywało martwe ciało. Twarz Agnieszki przybrała po zgonie ten słodki spokój i wdzięk niewieściej piękności, jaki sobie przypomniał kapitan z żywej, choć dość dawnej przeszłości. Jój palce trzymały wizerunek Odkupiciela—jój szaty ostatnie zakryto kwiatami.

Oczu nie zdejmując z twarzy nieboszczki, kapitan ukląkł przy łożu.

— Uczyniłem to, Agnieszko! — rzekł głośno, jak gdyby chciał ze snu zbudzić umarłą—bom wiedział, żeś chciała, bym to uczynił... O przebac mi, przebac, Agnieszko, moja żono!... Nie wiedziałem, com robił—nie byłem samym sobą, kiedym zatarł nasze małżeństwo... a potem myślałem, że cię Bóg zabrał z tego świata...

Z zewnątrz, przez drzwi otwarte, doszedł do izby odgłos wołań na wzgórze. Plenipotent powstał, pochylił się nad trumną i złożył swe usta na zimném czole nieboszczki.

— Módl się za mną w niebie! — rzekł, wpatrzony w krucyfiks; potem, nagle dotknięty myślą, zdjął z palca własną ślubną obrączkę i z najgłębszą czcią, nie bez trudności, wsunął na palec umarłej... Obrączkę oczyściła łza, która na nią spadła i zrosiła palec Agnieszki.

Plenipotent opuścił izbę—nieświadomy, iż miał świadków swego pojednania się z cieniem i z pamięcią téj, która była prawną jego małżonką. Naprzeciw trumny siedziały Julia Mylesowa i Maryanna. Lecz żadna z nich nie śmiała przerwać uroczystego aktu, a obie po wyjściu kapitana wróciły w milczeniu do pacierzy — tą razą dziękczynnych.

Drzwi chaty Mylesa były otwarte, bo na odgłos wystrzałów, Marcin O'Grady zerwał się z krzesła i wybiegł ku skałom zatoki. Obeznaný z usposobieniem włościactwa w baronii i znając z długoletniego doświadczenia miarę cierpliwości „chłopców“, obawiał się, by te wystrzały nie były albo sygnałem do zebrania się „księżycowej wyprawy“ na jaką zagrodę skazaną, lub téż nie oznajmiały spełnionój zbrodni.

Nie wybiegł atoli sam. Hessy, która naprózno starała się zatrzymać go, wołając za nim z progu chaty, pobiegła za nim. Doszedłszy do pierwszych zarośli na szczycie wzgórze, widziała starca spieszącego ku skałom na przeciwnój pochyłości. Roztropność nakazywała jój zachować milczenie... ostrożnie więc i w cieniu zarośli puściła się zwinnie i lekko ku skałom.

Tramorskie skały stanowią przedmiot niewyczerpanój ciekawości turystów malarzy. Rozgrupowane w posępnie i dziko kapryśnych kształtach wzdłuż wielkiego łuku zatoki, to się piętrzą ku niebiosom

ostremi kończynami, to karłowacieją od razu, tworząc między sobą przepaściste szczeliny, zalane wodą w przypiływie, rozliczne i głębokie pieczary, wzniosłe tarasy, lub daleko w zatokę rozrzucone rumowiska. Chodzenie po tych skałach bardzo jest niebezpieczne nieznającemu ich rozkładu. Szeroka nieraz i łatwa między rozpadlinami ścieżka prowadzi tylko do zakreću—niebaczny czeka tu śmierć niechybna, jeżeli nie zdąży cofnąć się po śliskim i omszonym kamieniu z nad bezdenną, zda się, przepaścią—rozdzierającej w tym miejscu dwie skały, i huczającej w swój czeluści rozpryskaniami bałwanami morza.

Hessy stąpała coraz ostrożniej. Zmuszona patrzeć przed siebie, straciła znów z oczu postać przybranego ojca. Przyszło jej więc na myśl, że starzec obrał może znaną sobie ścieżkę, schodzącą między skały z połowy pochyłości wzgórza. Zawróciła więc z drogi i zeszała poniżej, między krzewy. W samą rzecz, napotkała pewnego rodzaju przejście między zaroślami i puściła się dalej — choć na chybił traf. Wkrótce atoli znalazła się pod ogromnym i naprzód wystającym złodem... gdzie nie już nie kierowało jej kroków. Złom ten, niby sztucznie wydrążony, przegradzał jej drogę; aby go minąć, wypadało jej trzymać się jak najbliżej jego wklęstych ścian i, wzdłuż niej postępując coraz wyżej, wciągnąć się na koniec rękoma na jej sklepienie.

Hessy nie namyślała się długo i domacawszy się rękoma wilgotnej ściany, rozpoczęła swą przeprawę... Nagle—zadrżała i o mało nie wydała okrzyku przerażenia... Tu, w bezpośredniem niemal pobliżu, usłyszała najwyraźniej zmieszane głosy ludzkie! Dreszcz ją przeszedł śmiertelny od stóp do głów, a na czoło jej wystąpiły krople lodowatego potu. Lewą rękę wysunęła naprzód wzdłuż skały, by na łupkowym gruncie nie poślizgnąć się i nie upaść... a tym samym nie zwrócić na siebie uwagi tajemniczych obecnych. Tej samej chwili poznała swój błąd!... W otaczającej ją ciemności nie dostrzegła, że półkolistę wydrążenie złomu przerwane było w samym środku—i że ztąd, wązkie i niskie przejście pod skałą, torowało drogę—może aż do stołu skał, do brzegu morza, lub może do jakiejś głębokiej pieczary. Hessy uczuła się nieco spokojniejszą: przejść mimo otworu nie miała odwagi, bo musiałaby się wystawić na widok nieznanych ludzi, obecnych pod skałą—ale odwrót miała bezpieczny. Z podwójną więc ostrożnością odwróciła się w miejscu, gdy... dostyszała głos pojedynczy, dobrze sobie znany.

— A ja ci powtarzam raz jeszcze, Mick — mówił Myles tonem rozkazującym—że, jeżeli się ztąd ruszysz o krok jeden tylko, to ci tym nożem oto brzuch rozplątam, jak wieprzowi!

— A c h a r ù! a c h a r ù! i już cię jego honor, pan Gandy, nie będzie tu co noc przychodził i czekał cierpliwie na swoją porcję otowiul... Begorral Kapitanie najśrodszy, toż już sama grzeczność każe mieć wzgląd, że jego honor na wilgoci tylko się niezdrowiska nabawi i zachoruje nam, mus ha!

— Słuchaj, kapitanie—odezwał się z dalszej głębi głos trzeci—wszystko to bardzo dobrze i według prawa: Bridget swoje zrobiła... i daliśmy mu dwa zwykłe „pocałunki“ — raz z onym wspaniałym rumakiem, a teraz z tym biednym psiskiem, co się tam skuliło po skałach... bęszę wiedzą gdzie! Wszystko to bardzo ładnie, kapitanie mavorney—i skarżyć się nie może, że go traktujemy z grubiańska... Ale, hm!

— O cóż ci idzie?—zapytał kapitan „księżycowych.“

— O to, jak się do niego dostać...

— Oh! i pewnie, jak jego honor uściskać, kiedy się go pocałowało!—dodał Mick.

— Wszystko się uradzi jutro wieczór, na stypie—odparł Myles.

— Ba! a któż ci zaręczy, że będziemy mieć lepszą okazję... toż tu nam tak miło, wygodnie i bezpiecznie, że—Mick Dawley! ostrożnie ze skorupą, boś już dwie stłukł téj nocy... a nie tyś przyniósł jaja!

— Ok bathershin! jużcić jeszcze jej nie stłukł; nie ma się czego gniewać — odburknął Mick, mlaskając ustami... a ztąd łatwo wnioskować, że wysłużony „brat-odźwierny“ tramorskich chłopców nie zapomniał zaopatrzyć siebie i towarzyszków w nieodzowną potynę, którą, w braku odpowiedniejszych naczyń, włościąństwo irlandzkie popija w łatwych do nabycia skorupach od jaj...

— Gadajcie dalej!—dodał Mick—aż wam pod językiem nie zaschnie...

— Chciałem poradzić, byśmy oto tutaj zdecydowali, jak się dostać do skóry plenipotenta... który teraz bez całej psiarni szeryfa łba z domu nie wychylił!

— O to kłopotu najmniej!—rzekł Myles—zostawcie mnie to samemu, chłopcy!

— Hej! kapitanie złotko moje—zawołał, lamentując, Mick Dawley—i pewnie, że nie wszystko sobie samemu odłożysz na stronę... a nam, uczciwym chłopcom, nie dasz powąchać ani jednego kęsa sasenachów!

— Jeszcze też losy nie padły!—dodał gniewnie drugi towarzysz Mylesa.

— Jutro się wszystko załatwi, chłopcy! — rzekł tenże. W każdym razie, trzeba mieć cierpliwość — przynajmniej jeszcze parę dni... a potem, jeżeliby nam trudno było zająć go po naszymu, to zrobimy, jak robili chłopcy w 48-ym i 67-ym.

— Molly! — zawołałi obaj towarzysze, a Mick miał właśnie odezwać się z słynną piosnką o „Molly Mavorney“—gdy Myles uprzedził jego zapak, dodając:

— A jużcić Molly! Ale ja mam plan, który musi się nam udać... słuchajcie!

Hessy, struchlała z przerażenia—gdyż na życie to jej własnego ojca gotowano tu zamach stanowczy — wyteżyła całą swą uwagę, by dosłyszeć i zrozumieć jak najlepiej wyrazi Mylesa... Tyle jednakże

tylko zrozumiała z szeptów trzech „księżycowych,” że—ażeby zaskoczyć kapitana niespodzianie i bez eskorty — postanowiono najpierwszej nocy ciemnej podłożyć ogień pod stóg siana przed dworskimi stajniami, obok parku. Plenipotent musiałby—zaręczał Myles—spostrziedz płomienie z okien biblioteki, w której zwykł przesiadywać do późnej godziny. Liczono więc, iż zapomni o środkach bezpieczeństwa dla siebie samego i wybiegnie do stajni... W furcie ogrodowej miała czekać na niego „Molly“ — i z gąszcza krzewów róż rodyjskich, tworzących tam wysoki szpaler, zadać mu śmierć amerykańskim bowie-knife... Kapitan nie powinienby wydać ani jęku, wśród popłochu stajennych i służących pałacowych, miała się „Molly“ oddalić śpiesznie, znaną sobie drogą, przez park do nadmorskiej kryjówki...

— Ano, kapitanie serduszko! — zawołał Mick Dawley, gdy Michał przestał mówić — kiedy tak, to już ci daruję twoje okrucieństwo tej nocy... zawieszenie wyroku nad jego honorem... bo póki Mick Dawley dysze w Munsterze, on tylko jeden wie, begorra, gdzie szukać Molly mavorney!... Pst! Słuchajcie — kot miauczy... to nasz Sherlock! Do łodzi!...

Hessy nie dosłyszała już słów ostatnich. W całej jój istocie zaszła atoli wielka zmiana:—dziewczę w jednej chwili uczuło wyraźny wpływ nieznanych sobie dotąd czynników, przetwarzających jój serce i umysł. Podobnie, jak cała jój istota lgnęła do pamięci utraconej matki, nie tyle miłosnym dziecka przywiązaniem, ile litością... tak również zrywała się w tej chwili do nieszczęśliwego człowieka — w imię najświętszych uczuć przyrodzonych i w imię uroczystego obowiązku,— Hessy, oddalając się śpiesznie z miejsca schadzki „księżycowych,” powtarzała sobie ostatnie słowa nieboszczki, której zwłoki czekały tylko pogrzebu.

Gdzież był Marcin O'Grady? Znał on dobrze skały pod Knyverton, bo między niemi to ukrywał się przed „emigracją Grubba“ młodszy syn jego, Tomasz, zanim go Myles namówił do szukania schronienia w chacie rybaka, po tamtej stronie zatoki...

Zaledwie starzec znalazł się u stoku tych złomów fantastycznych, gdy uszu jego doszedł świst, a równocześnie uczuł się pochwyconym w silne ramiona kogoś, kto napadł z tyłu.

— Nie tak prędko! — ozwał się piskliwy głos, znany Marcinowi — powoli! poczekajmy sobie, aż nadejdzie szanowny mój... Błogosławiony mążu!! (zawołał nagle, wpatrując się w twarz fermera)—toż to najzacniejszy pan Marcin O'Grady z Topolil!...

— Puście mnie, Trump, omyliliście się... któż to tu spieszy ku nam?

Był to Sherlock, kolega agenta i—nierozłączny w ostatnich tygodniach jego towarzysz.

— Omyłka fatalna—rzekł do niego Trump, głosem naturalnym

— ale nie traćmy czasu! Ja słyszałem z pod skały tój oto kogoś biegnącego górą i zdążającego do wybrzeża...

— Sądźcie więc—przerwał Marcin—że opryszki tu zejda? Czy stało się jakie nieszczęście?...

— Widzicie tę łódkę, panie O'Grady?—spytał detektyw, wskazując na czółno rybackie, opodał wyciągnięte na piasek do połowy. Ona to mnie zainteresowała okrutnie, kiedym z panem kolegą moim wracał tego wieczora z Dunmore—brzegiem zatoki, dla skrócenia drogi.. Hm! wszak to jutro pogrzeb tój biednej Mitchellowej (dodał z naciskiem) — wdowiec pewnie poszedł do Knyverton... a chłopcy wiernych sług nie szanują!

— Cóż znaczą te wystrzały?.. zapytał Marcin niecierpliwie. Miał on odrazę narodową do tajnych agentów władzy, a ostatnie zdanie Trumpa nagliło go do powrotu do chaty.

— Położyły psa kapitan — odrzekł Sherlock, który do tój chwili milczał, śledząc bystrym wzrokiem kończyny złomów i zarośla wzgórzy. Biedne zwierzę, ugodzone jedną kulą między same ślepie, a dwoma w brzuch, spadło po skałach, rozstrzaskało się po ostrych złomach... leży tu blisko na piasku.

Wiadomość ta przeraziła Marcina. Przekonała go bowiem, że kapitan znajdował się w pobliżu Knyverton.. a więc jemu to groziło największe niebezpieczeństwo — ojcu Hesterki, od którego zależała teraz przyszłość dziewczyny! Chciał więc skierować obu agentów ku wzgórzom, gdy wszyscy trzej usłyszeli tuż za sobą głośny bieg po zwirze nadbrzeżnym i... odwracając się, poznali Mitchella.

— Kroć set tysięcy kartaczy!— krzyknął stary wachmistrz, sapiąc i dysząc z trudnością—Al to wy... cóż? macie ich?.. czego tu stoicie! Na gorze—kapitan sam... pies...

— Nie ma czego szukać ich na gorze—rzekł Sherlock—policya jest w parku, tamtędy nie wyjda; to czółno ma swoje zadanie i tędy najpewniejszy dla nich odwrót.

— Ale trzeba kogoś kapitanowi — i Mitchell objaśnił położenie swego pana. Zaczem Trump postanowił wrócić z kamerdynerem na wzgórze, a przy łódce zostawić Sherlocka. Tém chętniej zamiar ten wykonał, że to dało mu sposobność do działania niezależnie od amerykańanina, którego argumentom nie mógł nie ulegać, ani towarzystwa jego się wyrzec, gdy tenże nie odstępował go na chwilę i w niejednej trudnej sprawie dopomógł znakomicie — wynajdując genialnie (w opinii Trumpa) sposoby ułatwienia sobie i jemu wstępu między chłopców. Trump był już kilkakrotnie blizkim spełnienia swęj misyi, zebrania dowodów przekonywających o istotnym charakterze Mylesa i jego przeszłości — zaarrestowania go nawet — lecz Sherlock, w ostatniej chwili, namówił go raz jeszcze do zwłoki, wystawiając konieczność dojścia do jądra rzeczy, wyświeccenia stosunków Mylesa z Dermottem. Sherlock był bowiem przekonany, że lada dzień uda

mu się pochwycić samego herszta Niezwycięzonych... z bezwiedną pomocą kapitana chłopców księżycowych.

Skoro tylko zamkowy detektyw zniknął z kamerdynerem między skałami, a O'Grady, okrążając łańcuch wzgórzy odszedł spiesźnie do Knyverton, amerykanin zbliżył się do czółna, spuścił je silnem pchnięciem ramion na fale i, stojąc w wodzie i trzymając brzeg łódki, ściągnął usta, otworzył je cokolwiek i wydał głos przeciągły, naśladujący doskonale półgłębne miauczenie kota... Po chwili, powtórzył to samo, lecz z przydaniem kilku tonów głośniejszych—myślałby kto, niewidzący go, że w sąsiedztwie chaty Mylesa dwa wrogie koty dały sobie hasło do nieuniknionej walki...

Niebawem—między rumowiskiem stoku złomów ukazał się człowiek jeden—potém drugi—w końcu trzeci. Zanim opuścili jednak otaczające ich ukrycia, amerykanin wskoczył do czółna i chwycił za wiosła. Wtedy, wszyscy trzej zeszli na żwir i w parę sekund stanęli obok łódki. Myles siadł pierwszy na przecznicy; za nim wsiadł do czółna Mick Dowley—ostatnim był.. ten sam rybak, do którego lepianki udał się był przed kilkunastu miesiącami Marcin O'Grady, szukając tam syna swego Tomasza.

— Dokąd? spytał Myles.

— Do pomostu w miasteczku! — odpowiedział amerykanin. Łódka zniknęła wkrótce wśród gęstej mgły, powstającej z morskich topieli.

O'Grady dochodził do chaty. Myśli jego podążyły naprzód do izby pośmiertnej, gdzie pozostawił zwłoki siostry. Mogłoby być, myślał, izby plenipotent czuł żądło robaka, gryzącego mu sumienie?.. i cóż pocznie teraz? ażali zechce naprawić ciężki występki w obec obojga, matki i córki, przywracając sierotę do nazwiska, do należących jej praw ślubnego dziecka?..

Starzec dziękował Rogu, iż z skuteczną pomocą Patryka, będzie mógł stanąć przed kapitanem na gruncie niezależnym, w charakterze rzeczownika Hesterki—nikt nie będzie podejrywał przymieszki choć nie wiem jak usprawiedliwionego interesu własnego! Lecz... Hessay! cóż ona? Porzuci więc przybranego ojca, który ją wypieścił i wychował cnotliwą, czystą i bogatą w przymioty najlepsze serca!..

— Cóż to?.. czyj to głos?.. Hessay!

Od progu chaty, O'Grady dosłyszał wyraźnie krzyk bóleści, czy przerażenia! Po raz wtóry pobiegł, ile mu pozwoliły siły prawie wyczerpane, w stronę zagajenia, na wzgórze. Biegąc wołał:

— Het! Hessay! córko moja—Hessay, gdzie ty?..

— Tu!--ozwał się głos, którego Marcin nie poznał. Ale poznał człowieka, w którego objęciach znalazł dziewczynę.

— Kapitan!--zawołał starzec, cofając się mimowoli.

— Nie lękajcie się o nią, O'Grady—przemówił tenże poważnie—wraca już do siebie; przestraszyła się bezwątnięcia, widząc mnie tu-

taj... nie poznała mnie (dodał z pewną goryczą) i téj saméj chwili potknęła się i upadła. Byłaby może poraniła się ciężko na tym stoku nieregularnym... szczęście, że tu był.

O'Grady nie śmiał uwolnić plenipotenta od ciężaru, który jemu starcowi, był najdroższym skarbem od lat siedemnastu!.. Nie wiedział co powiedzieć.

Z chwilowego zakłopotania wybawiło obydwóch przybycie Mitchella i Trumpa. Dziwnem zrządzeniem losu, tajny policyant, dowiedziawszy się od Mitchella o zachowaniu się brytana przed półgodziną i postępując dla zaspokojenia ciekawości znaną nam już ścieżką między zaroślami—doszedł do wydrążonego złomu, znalazł wązkę w nim przejście i dotarł do miejsca, z którego—jak się wyraził—„wyfrunęły wróble...“ Przy świetle zapalek, znaleźli obaj ludzie jedyne, lecz świeży ślad pobytu chłopców: zmiażdżone skorupy od jaj, cuchnące potyną.

Zstępując głębiej pod skałę, doszli do podobnego pierwszemu otworu i wydostali się na zewnątrz. Oczy Trumpa skierowały się z wysokości, na której stał, ku wybrzeżu... Mimo całej siły, z jaką starał się nad sobą zapanować—nieszczęśliwy detektyw nie mógł powstrzymać wybuchu wściekłości:

— Złapał mnie! złapał! przeklęty podły zdrajca!..

— Kto? Sherlock?—zapytał Mitchell.

Ale Trump nie odpowiedział. Zaciął zęby i zawrócił tą samą drogą do ścieżki. Kiedy stanęli przed kapitanem, zdumiał ich widok Hesterki, wracającej do przytomności. W głębi skał, nie dosłyszeli krzyku dziewczęcia.

— Mitchell wam pomoże, O'Grady — rzekł kapitan —przeprowadzić dziewczę do chaty. Dobranoc O'Grady! Dobranoc... Hessay!.. niech cię Bóg błogoławi... Idźmy, Mr. Trump.

(d. c. n.).

BOHDAN ZALESKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

„Polsko! piastunko wieszczów, patrzysz ku nim smutnie,
Bo odchodzą — bo Panu odnoszą swą lutnię.“

Te słowa, rzucone z garstką drgających w słońcu pyłków, wyśpiewał poeta podobno w chwili, kiedy przedostatni z wielkiej plejady, drogi jego sercu autor „Zamku kaniowskiego,“ umarł przed dziesiątkiem lat we Lwowie. Odtąd Zaleski pozostał sam jeden, z lirą oniemiałą, jako żywy pomnik przeszłości. I oczy ziomek z miłością zwracały się ku niemu, i każdy ze czcią pochylał głowę przed tym poważnym starcem, z siwą do pasa brodą, bo każdy czuł, że ten ostatni z gromy spadkobiercą jest owiej słynnej drużyny, co trzymała w zakłęciu naród, bo każdy czuł, że aczkolwiek złotostrunna lira wieszczą nie wydawała już nowych dźwięków, to pierś jego przechowała świętą puściznę po druhach, co go poprzedzili do grobu; jak niegdyś Mickiewicz, tak Zaleski do ostatniego tchnienia, kochał i cierpiał za miliony!

Tak zaprawdę, oczy ziomek zwracały się ku niemu. Któż nie pamięta, jak przed czterema laty, kiedy nasz wieszcz ukończył osmdziesiąt lat życia, ze wszystkich stron kraju, — powiedzmy nawet ze wszystkich krańców ziemi, gdziekolwiek znalazła się garstka ziomek, posypano mu hojną ręką wieńce i słowa serdecznego współczucia. A i dziś oto, wieść o jego skonie wstrząsła do gruntu społeczeństwem naszym.

Pod tém bolesném wrażeniem jesteśmy i my sami, tém więcej, że zmarły wieszcz od lat dwudziestu zaszczycał nas ufnością i przy-

jaźnią, karmił nas wspomnieniami z dzieciennych lat swoich, przepląsanych na stepach Ukrainy i z późniejszych dni, to spędzonych nad Wisłą, to przebolejących pod obcym niebem. Z owych to, jego własnych wspomnień, pragniemy dziś uwić żałobny wianek, na cześć genialnego lirnika.

Długi żywot Zaleskiego, rozpoczęty w zorzy XIX-go wieku, a zakończony z jego zmierzchem, ogarniający słoneczną epokę literatury naszej, będzie, niezadługo zapewne, przedmiotem głębokich a różnostronnych badań. W pamiętnej dobie odrodzenia poezji polskiej, lirnik ten był jedną z najbarwistszych gwiazd, składających wielką plejadę; samodzielny jego geniusz wycisnął na poezji naszej nowe, odrębne całkiem piętno. W pieśniach jego czerpać będą pobudki, historycy i etnografowie, słownikarze i przyszli estetycy. „Zaleski — wyrzekł Mickiewicz z katedry kollegium — będzie zawsze wprawiał w rozpacz tych, coby jeszcze chcieli miłować sztukę dla sztuki samęj, wyczerpał bowiem wszystkie sposoby, wszystkie rytmy, wszystko, co jest najświetniejszego w kolorycie, najdelikatniejszego w odcieniach.“ Rozbierać dorywczo twory takiego mistrza, byłoby zuchwalstwem z naszej strony. Krótkie wspomnienie, jakie ośmielamy się skreślić, jest tylko pogrobowem echem słów, zasłyszanych z drogich nam ust wieszczą, słów, które zachowaliśmy głęboko w sercu i oddajemy dziś wiernie ziomkom, rozżalonym po ciężkiej stracie.

I.

Bohdan Zaleski przyszedł na świat we wsi Bohaterce, w bliskości Stawiszcz i Białocerkwi, w dniu 14 lutego 1802 roku. Według ruskiego kalendarza był to dzień N. Panny Gromnicznej (2 lutego). Przypomina to poeta w pieśni do matki, zowiąc się „pogrzebowem, gromnicznem jęj dzieciątkiem.“ Pogrzebowem zwać się miał prawo, w tymże bowiem roku, jesienią, odumarła go matka, pochowano ją na cmentarzu w Stawiszczach. Matka ta, Marya Burkatówna, rodem z Mołdawii, pochodziła z rodziny zamożnej, posiadającej tam kilkanaście wiosek. Znaczny ten majątek, jak mówił Zaleski, dostał się w inne ręce. Rodzice tymczasem żyli w miernym dostatku, we wsi Bohaterce, tak zwanęj od bogactwa miejscowych włościan.

Śmierć matki osierociła trzynaścioro dzieci. Wszystkie rozbiegły się jak pisklęta z opuszczonego gniazdką. Najstarszy z braci Eliasz, o dwadzieścia lat starszy od Bohdana, myślał już sam o sobie; siostry dostały się do krewnych, zkąd wkrótce powychodziły za mąż. Maleńkiego Bohdanka odwiózł ojciec do siostry swojej pani Kundziczowej, zamieszkałej w Medwedowie w powiecie kaniowskim. Tak rozporządziwszy liczną rodziną, p. Wawrzeniec Zaleski opuścił Ukrainę i zamieszkał stale na Litwie. Był to człowiek wyższych zdolności:

sprawy trybunalskie w których utonął, nie odebrały mu poetycznej fantazy; pisywał chętnie wiersze.

Smutno rozpoczął się wątek życia sierotki. Ciotka Kundziczowa miała charakter popędliwy; zajęta liczną dziatwą nie zastąpiła matki powierzonemu jej dziecku. „Nie mogłem jej pokochać,“ mówił Zaleski. Nie rozumiejąc jeszcze, jakim nieszczęściem jest sieroctwo, odczuwał je boleśniej; płakał z żalu i zazdrości, widząc, jak inne matki pieściły dzieci swoje. Smutek ten musiał odbić się w postaci, a może nawet oddziaływać na zdrowie dziecka, skoro gdy ukończył lat cztery, oddano go do szkoły w Kaniowie „nie dla nauki, jak mówił, a raczej dla rozrywki.“ Nauczył się czytać prawie sam, zabawiając się książką. W pogodne dni biegał z dziatwą nad Dnieprem. Podczas, gdy starsi chłopcy zajęci byli nauką, mały Bohdanek bawił się w sali, która niekiedy służyła za teatr podczas szkolnych uroczystości. Tam na stronie stały szeregiem ławki, na jednej z nich sadzano chłopczyka.

Z tych czasów jedno zachował wspomnienie. Raz podczas bytności Tadeusza Czackiego, miał właśnie jakąś zabawkę rozłożoną z pestek na ławce; Czacki, przechodząc koło niego, rozrzucił mu żartem owe pestki. Uniesiony gniewem chłopczyk, porywa czapeczkę, rzucając ją na poważnego kuratora. Łatwo pojąć zgorzsenie władzy szkolnej, ale Czacki wcale się tén nie zgorzzył, uspokoił zwierzchników i wyjednał przebaczenie dla małego zuchwalca.

Po krótkim pobycie w Kaniowie, Bohdanek wrócił do Medwedówki. Fantazyja poetyczna zaczęła rozwijać się w chłopczyku. Opowiadał nam, jak patrząc na latające w powietrzu ptaszęta, zapragnął téż być ptakiem i bujać swobodnie po błękitach. Długo przemyślał jakby przysposobić sobie skrzydła do lotu. Zbierał gdzie mógł pióra gęsie i kapłonie; zgarnawszy znaczny ich zapas wszedł na dach, poprzytwierdzał do ramion owe pióra i począł podskakiwać w górę, pewien, że go tén łatwiej uniosą. Smutny jednak spotkał go zawód, zleciał biedaczek z dachu. Przerażona ciotka porwała go z ziemi na ręce. Szczęściem wypadek ten nie miał szkodliwych następstw.

Wkrótce potem inny wypadek otworzył przed nim pole do szerokich polotów, już nie na gęsich ani kapłonich piórach, ale na skrzydłach wyobraźni. Ośmioletni Bohdanek zabawiał się pod ściernem (lamus, schowanie) z małemi szczeniętami. Pieski te dotknięte były jakąś skórną chorobą, która udzieliła się chłopcu. Ciotka wyczerpała wszelkie środki domowe, lecz te nie pomagały. Wówczas to przyszło jej na myśl oddać Bohdanka na kuracyą do znachora starego Zuja. Ów znachor był to wieśniak ukraiński, osiadły nad Dnieprem u stóp góry zwanéj Iwanhorą. Miał liczną rodzinę, kilka dorodnych córek; chata jego odznaczała się zamożnością. Tu zimową porą przybiegała młodzież na wieczorynki; pieśni rozlegały się po izbie, przy furkotaniu wrzecion. Mały Zaleski zachwycał się niemi; wkrótce wyuczył się wszystkich na pamięć i bezustanku je powtarzał. Ztąd ulubieńcem był dziewcząt

i całego domu znachora. Dusza jego, jak mówi, przerosła na wskroś pięknoscią owych pieśni ludowych.

Pobył w chacie znachora przeciągnął się do ośmnastu miesięcy; uporczywa choroba nie prędkiej bowiem ustąpiła. Opowiadał nam jak tu czuł się prawdziwie szczęśliwym, jak smaczno zjadał chleb czarny, jak sypiał w kąciaku izby, gdzie pod obrazem Najświętszej Panny dniami i nocą płonęła lampka.

Lato innych dostarczało mu uciech. Okolica to przesłiczna: z wierzchołka Iwanhory rozległy widok ciągnie się z jednej strony na szeroki step, bez brzegu i bez końca, z drugiej ogarnia bieg Dniepru i wzgórze okoliczne. Szczyt Iwanhory zalegały rozwaliny zamku, niegdyś Wiśniowieckich a następnie Szczeniowskich. Mały Zaleski przebiegał tę górę w rozmaitych kierunkach; tu napotykał nieraz staro badurzystę: ów starzec znał mnóstwo dawniejszych podań i opowiadał je chętnie; z szczególnem upodobaniem wspominał podania, przyrosłe do gruzów starego zamku Wiśniowieckich. Snuli się tam inni jeszcze lirnicy i teorbanuści. Z ich ust zasłyszał chłopczyk wieści o sławnym znachorze Naumie, tym piastunie zaporozkich tradycyi, który

„Strzeże mogił starych ojców i stawia im krzyże.“

a tak umie wydobywać z przeszłości zaklęty wątek, że nic nie ujdzie przed bystrym jego wzrokiem.

„Co ma sływać zakop, zakop, nie wiedziéć gdzie podziéj,
Wieszczy znajdzie i rozpowie prawnukom czarodziej!“

„Nasłuchałem się do syta od starców, mówi Zaleski, tych barwnych opowiadań i pieśni. Powierzali mi je tém ochotniej, że w jarzém, bo zadumaném oku lackiego dziecka czytali prawdziwe współczucie.“

Ośmnaście miesięcy przebyte nad sinym Dnieprem, u stóp Iwanhory, w pogwarach z bandurzystami, wśród pieśni prządek, przy ognisku znachora Zuja, niesłychaną mają wagę w życiu naszego poety. Wrażenia padały na duszę dziecka jak złote ziarna; przyszłość miała je w bujne rozrodzić plony. Sam Bohdan Zaleski wyraził najlepiej dobroczynny wpływ tych posiewów.

Z teorbanem wyrosł ja. Dniepr, Iwanhora,
Chata gdzieś w gaju starego znachora,
Widzę—och! jakbym pożegnał je wczora.
Spiewałoż ptactwo tam byle dzień biały,
I znów dziewczęta z majdanu śpiewały;
To znowu mężki głos wojennej chwały
W cześć atamanów,—mąciły się społem,
W pieśń jednę żywą! I pieśń tę polknąłem.

Z takim to zasobem poezyi kiełkującej w myśli i sercu, dziewięcio-

letni Zaleski dostał się do domu drugiej ciotki pani Jasięńskiej, zamieszkałej we wsi Jerczykach w powiecie Skwirskim, nad Rosią. Była to prawdziwa matrona staropolska. Wdowa, matka licznej rodziny, pod troskliwem okiem wychowywała pięcioro własnych wnucząt i inną jeszcze dźiatwę, przygarniętą do domu. Zaleski znalazł w niej drugą matkę, ukochał ją téż całym sercem. Pod czujną jej opieką przeżył dwa lata (1811—1812), „rok straszliwej komety i rok straszliwej wojny napoleońskiej.“ Umysł dziecka dojrzewał wczesnie w obec zewnętrznych wypadków. Po swobodnem życiu u znachora, pilnie chłopczyk zabrał się do nauki wraz z pokrewnym swym rówienikiem, Eustachym Jankowskim. Nauczycielem ich był braciszek egzjzuita Biernacki, który po usunięciu zakonu pozostał na Ukrainie i zajmował się wychowaniem dźiatek. Przebywał on długo w Jerczykach. Był to słuszny, poważny i bogobojny starzec; z pomiędzy licznych uczniów szczególniej upodobał sobie Zaleskiego.

Mamy przed sobą list czcigodnego wieszczka, pisany kilka lat temu do Cezarego Jasięńskiego, wnuka ukochanej ciotki; w liście tym ogarnia pamięcią swoje lata dziecinne i z żywą miłością kreśli obraz swj opiekunki.

„Byłem ja, mówi, dość pojętny chłopak z rozumkiem żartkim, ale niepraktycznym do najwyższego stopnia, bo imaginacya i uczucia brały ciągle nad nim górę. Ileż to ja razy martwiłem kochaną ciotkę Jasięńską z powodu tego rozstroju! Pomimo wszystkich dziwactw moich, ciotka kochała mnie czule, bo lubo szorstki odludek w pożyciu z rówienikami, dla niej byłem zawdy jednak serdeczny i potulny. Z nią modliłem się sam na sam, z nią śpiewałem godzinki o świcie dnia, z nią przystępowałem poraz pierwszy do ŚŚ. sakramentów spowiedzi i komunii w Powołoczy, na pogrzebie babki mojej, Burkatowej, zmarłej w Bukach. Wieczny odpoczynek racz dać Panie Annie Jasięńskiej! Jój to zawdzięczam wszczepienie we mnie żywój wiary na dalszy wiek. Była to staropolska niewiasta w całym znaczeniu tego wyrazu. Oby stała się wzorem na żywot i dla prawniczki swj Maryi Jasięńskiej. O pobycie moim w Jerczykach mógłbym pisać bez końca. Byłem wtajemniczony w sprawy domowe, w grę życia mnóstwem osób. Poznałem tam dziwne typy ludzi, jakich teraz nie ma już w kraju.“

Jeśli w sercu Zaleskiego dni spędzone w Jerczykach wycisnęły głębokie ślady, to i w Jerczykach nawzajem zaci krewni poczuli jego pamięć. W izdebce na poddaszu, gdzie przemieszkiwał dwa lata matęm chłopięciem, wyrysował szczyrykiem kaczkę nad drzwiami. Rysunek ten pociągnięty woskiem istnieje dotąd, jako drogocenna dla rodziny pamiątka.

Ojciec przebywał ciągle na Litwie, Zaleski wcale go nie znał, ale troskliwego opiekuna znalazł w starszym o wiele bracie swym Eliaszu, który mieszkał w Krzywcu, zarządzając dobrami Wiktora Zaleskiego. W roku 1812-ym, gdy chłopczyk ukończył lat dziesięć,

ów brat Eliasz oddał go na naukę do szkół OO. Bazylianów w Humaniu, słynnych na całą Ukrainę. Spotkał tu Zaleski kilku rówieśników, z którymi zawiązana w dzieciennych latach przyjaźń, przetrwać miała do grobu. Do tych należał Seweryn Goszczyński, nieodrodny brat po lirze ukraińskiej, Michał Grabowski, znany później krytyk i powieściopisarz, Seweryn Gałęzowski, słynny lekarz-filantrop, Jan Krechowicki, zmarły przed rokiem we Lwowie. Jeżowski, znakomity filolog-profesor, później jeden z założycieli wileńskiego Towarzystwa promienistów.

Najściślejsza przyjaźń połączyła Zaleskiego z Goszczyńskim, mimo przeciwnego całkiem charakteru. Młodszy o rok Seweryn, ostry w obejściu z kolegami, otrzymał od nich w szkole nazwę *Nerona*, za to, że ich czubił bez ustanku. Zaleski tymczasem otrzymał przydomek *Amameus*, ztąd, że raz na lekcji łaciny, wymawiając ten wyraz, *a* i *e* przeczytał osobno bez względu na dyftong. Malcy pochwycili to i tak go odtąd nazywali. Zdaniem ich, ten wyraz zgadzał się z kochającym jego usposobieniem. Dzięki tej stodyczy, Zaleski wywierał szczególny wpływ na towarzyszków; ulegał mu nawet srogi *Neron*. W smętném i zadumaném chłopięciu spoczywała jakaś tajemna siła, pociągająca mimowoli ku sobie. Dzieci głębokimi są psychologami; w wiele lat później, miłego towarzysza *amameusa*, nazwał Mickiewicz słowikiem ukraińskim, groźnego *Nerona* a Tatarem.

Ten stódki węzeł, łączący go z kolegami, określił poeta nasz w cudnej pieśni:

Patrzaj w szkole

Z nieba spada nań nauka,
O czém inném śni pacholę,
Na oko do serc puka:
„Do mnie, do mnie tu rówieśni!
Co dusz czystych w siebie chłoncie,
Jako wrotki swojej pieśni,
Pieśni żywej—w dłoniach dłonie,
Wszystkie wiąże na swém łonie ¹⁾).

Nie napróżno Zaleski pukał do serc kolegów, wydobyl z nich tyle miłości, że mu chętnie przebaczali tryumfy szkolne, jakie odnosił nad nimi w konkursach. Był zaledwie w drugiej klasie, a już dziesięcioletni uczeń stawał do zapasu z uczniami klasy piątej i ubiegał ich w opracowaniu zadawanych tematów. Te kompozycje posyłał profesorom. Opis wiosny, pełen świeżej barwy, zwrócił szczególną ich uwagę.

Weześnie też piosenka wybiegała mu z pod pióra. Jeszcze przed czasy szkolnemi siedmioletnie dziecię nie wprawną rączką kreśliło pierwsze zwrotki. Było to zapewne echo piosenek zasłyszanych

¹⁾ Duch od stepu.

na wieczorynkach, w majdanie starego Zuja. Przepomniał je poeta, wie tylko, że pisał jakiś wierszyk do pszczołki i wiele innych okolicznościowych piosenek, a między innymi wiersz do Napoleona, którego imię roznosił wiatr po stepach Ukrainy. Wierszyki te miał spisane w seksternie. Darował ten zbiorek koledze Chaborskiemu, skutkiem pamiętnej mu przygody. Był zwyczaj u Bazylianów, że za psoty jednego ucznia, trzej koledzy składali sąd i wydawali wyrok. Taki tryumwirat, a raczej t r y u m p u e r a t, złożony z Zaleskiego, z Michała Grabowskiego i Jana Krechowskiego, miał sądzić winowajcę. Był nim biedny Chaborski. Skazano go na klęczenie podczas innszy z podniesionymi w górę rękoma. Delikwent spełnił wyrok, ale potem uskarżał się ze łzami na kolegów, że go narazili na tak wielkie upokorzenie. Zaleski słuchał tych skarg z głębokim żalem; chcąc utulić skazanego na wstyd przyjaciela, darował mu ulubiony swój sekstern, wiedząc, że go w ten sposób najlepiej przebłaga; Chaborski bowiem nadzwyczaj lubił poezję, i wypisywał wiersze gdziekolwiek je napotkał. Kto wie, czy ta drogocenna pamiątka nie odnajdzie się jeszcze.

Obdarzony wielką pamięcią nasz Zaleski, brał zwykle udział w przedstawieniach teatralnych podczas szkolnych uroczystości. Razu jednego wystąpił w roli dziecka, które porywał jakiś straszny rozbójnik. W chwili gwałtu ów zbójca udrapał go mocno guzikiem, Zaleski w krzyk, zapomina o roli, woła na głos: „Charczewskil Charczewskil co ty robisz? dajcie mi pokój!“ Cała publiczność głośnym odpowiedziała śmiechem; dramat przemienił się w komedię.

Inną śmieszniejszą jeszcze teatralną przygodę wspominał Zaleski z owych czasów. Uczniowie przedstawiali najczęściej dramaciki Bocholca, przystępne dla ich wieku, do których nie wchodziły kobiety. Na te widowiska liczna zbierała się publiczność, prefekt zatem pragnąc, aby wszystko szło dobrze, służył sam za suflera swoim małym aktorom. Razu jednego szeptał któremuś z malców wyrazy z jego roli: „kiep świat i ja z nim.“ Chłopiec zająknął się, śnać roli swęj nie umiał. Otóż, gdy szufler wciąż powtarza: i ja z nim, i ja z nim, biedny aktor traci do reszty głowę; bełkocze głosem zdławionym łzami: „kiep świat i pan prefekt z nim!“ Wielka była uciecha widzów; sypnęły się oklaski, do których dał hasło sam prefekt.

Wakacye i święta spędzał zwykle Zaleski u brata swego Eliasza, zamieszkałego w Krzywcu. Ów Eliaz był to już człowiek dojrzały, przeszło trzydziestoletni, nie miał żony i do śmierci nie zawarł związków. Z miłością kreślił nam Zaleski obraz tego brata, który kochał go więcej niż własny ojciec, pieścił go po macierzyńsku, dogadzał wszelkim jego kaprysom i zachciankom, ulegał mu nawet, jakby odczuwał w małym braciszku, jakieś niepospolite usposobienia i zdolności. Nizki, krępy, o szerokich plecach, siłę miał herkulesową, łamał w palcach rubla jak prostą blaszkę. Charakter łagodny, pełen niezmaconej pogody, jednał mu wszystkie serca. Lud wiejski z całej

okolicy kochał go i szanował. I on też rozmiłowany w poczeiwych rusinach, znał doskonale ich język, przemawiał nim najchętniej. Poważany również od szlachty okolicznej, wzywany był na arbitra we wszystkich sądach polubownych, godził wszelkie spory pomiędzy sąsiadami. Życie prowadził skromne, pełne prostoty. Jedyłą rozrywką jego była fajka i maryasz. Grywając z braciszkiem, lubo gracz zawołany, popełniał dobrowolnie błędy, aby ucieszyć małego partnera.

W domu tego brata czuł się Zaleski prawdziwie swobodnym i szczęśliwym. Nakarmiony już w majdanie znachora i na wyżynach Iwanhory miodem pieśni i chlebem podań ukraińskich, tu w Krzywcu chwycił pełną piersią ów czarodziejski powiew stepowy, w którym „serce uwięził od młodu.“ Heż to razy ubiegł cichaczem z domu; troskliwy brat szukał go niespokojnie, rozsyłał za nim gońców, a on tymczasem całeni godzinami leżał na mogiłach i duchem uniesiony, w dawno ubiegłe bohaterskie czasy, rozrzewniał się i gorącemi brzękał się tżami. Stuch miał nadzwyczaj bystry, chwycił każdy zbieg pszczołki, każdy szelest burzanów kołysanych letnim powiewem. Mickiewicz słusznie powiedział o nim, że „podstuchwał harmonią wszelkich tworów na stepach Ukrainy, że ujął i przelał w pieśń, zaklęty rytm natury.“

W roku 1814 dotknięty ciężką ospą, leczył się Zaleski u brata Eliasza w Krzywcu. Podczas tej choroby poznał poraz pierwszy pannę Felicję Zaleską, późniejszą panią Iwanowską, z którą potem przez długie lata łączyła go najściślejsza przyjaźń. Poznał tu również brata panny Felicji, Józefa, oficera wojsk polskich, legionistę z czasów Napoleona. O dwanaście lat starszy od Zaleskiego pan Józef ukochał go całym sercem i nawzajem pozyskał jego miłość. Żaden z nich nie przewidywał wówczas, jak tkliwe związki bratnie połączą ich kiedyś na obcej ziemi.

Lata szkolne mijały szybko. Słownik ukraiński zaczął coraz dźwięczniej świergotać. Piosenki jego zwracały uwagę zwierzchników. Miał lat czternaście kiedy jedną z nich ogłoszono w jakimś piśmie periodycznym, podobno w Tygodniku wileńskim. Wielka ztąd była radość młodego poety. Opowiadał nam, że nocą, gdy wszyscy spali, rozniecał zapałki i przypatrywał się swoim wierszom, jak one też wyglądają w druku. Smutna to była pieśń, poświęcona pamięci ukochanego kolegi Leona Zbyszewskiego, który skonał na jego ręku. Wypadło to podczas świąt Wielkanocnych; Zaleski nieodstępny od łóżka chorego, nie chciał nawet wyjechać do brata Eliasza na świąteczne wakacje, tak zawsze nosząc gożąco upragnione.

Znalazł poeta nas w Józefie Jeżowskim świątłego przewodnika i wiernego przyjaciela. Starszy o lat dziesięć był on przeznaczony za korepetytora młodemu uczniowi, nie mało też wpłynął na umysłowe jego ukształcenie. Oryginał wielki, jak mówił Zaleski, ponury, dziwniej powierzchowności, brunet, kędzierzawy jak murzyn, żył za-

grzebany cały w książkach; oddawał się z zapalem badaniom starożytnych pisarzy. Uczniowie humańscy zwali go chodzącą encyklopedyą wszystkich nauk, tak matematycznych jak i literackich. Zaczém Zaleski opuścił Humań, Jeżowski pospieszył do Wilna, gdzie stał się duszą promienistych. Ścisła przyjaźń połączyła go z Mickiewiczem, który szanował go bardzo i chętnie przyjmował jego rady. Znany ustęp w Dziadach: „Kobieto puchu marny!“ jest, jak utrzymywał Zaleski, współutworem Jeżowskiego. W tekście pierwotnym wyrażenia Mickiewicza nie równie miały być ostrzejsze. Ulegając radom przyjaciela, wielki nasz poeta wraz z nim złagodził piorunujący pocisk.

Czternastoletni Zaleski poznał nakoniec ojca swego w roku 1816; wielka była ztąd jego radość, większa jeszcze, kiedy ojciec nie wiedząc o zdolności poetycznej syna, zapytał go, jaki to Zaleski herbu Prawdzic, drukuje udatne wiersze w piśmie wileńském. Rzecz odkryła się z uciechą wzajemną. Pochwały uszczęśliwionego ojca podniosły poetę w własnem przekonaniu, dały mu wiarę w swoje siły. Wkrótce potem wystąpił poraz pierwszy z poważniejszym utworem: napisał odę na śmierć Kościuszki. Ta oda musiała już zapowiadać wyższy talent, kiedy bowiem odczytał ją ojcu, tak go zachwycił, że starzec uniesiony jęj pięknoscią upadł na kolana przed synem. Inaczej osądził Zaleski swój utwór, znalazł go zbyt długim i bezbarwnym. Zraził się bardziej jeszcze, kiedy mu wpadła w rękę, pełna ognia oda Kantorberego Tymowskiego, napisana również na śmierć Kościuszki. Młody lirnik rzucił w ogień własne wiersze, aby śladu po nich nie zostało.

Kurs nauk w Humanu zbliżał się do końca dla naszego poety. W owym to czasie wyszła z druku „Jagellonida,“ historyczny poemat ukraińca Bończy Tomaszewskiego. Młodzież zachwycała się poematem. Zaleski umiał go prawie cały na pamięć. Obwołano dziełko polską epopeją. Wśród téj gorączki humańskiej ukazuje się dnia jednego w wileńském piśmie ostra krytyka, wyśmiewająca niemilosierdzie ów ulubiony utwór; napisał ją Adam Mickiewicz. Zaleski, przeczytawszy ów palący artykuł, wpadł, jak mówił nam, w furję na krytyka. Okoliczność ta była jednym z powodów, że postanowił, po ukończeniu szkół humańskich, udać się na wyższe nauki uniwersyteckie raczej do Warszawy aniżeli do Wilna, dokąd pociągał go silnie Józef Jeżowski. Wkrótce jednak uleciały z wiatrem te chmurki, pomiędzy lotnym już orłem a probującym skrzydeł słowiczkiem ukraińskim. Za pośrednictwem wspólnego przyjaciela Jeżowskiego zamienili korespondencyą, i lubo nieznajomi osobiście i wielką rozdzieleni przestrzenią, znali się przecież i cenili nawzajem, nim na ziemi obcej mieli trwałym połączyć się węzłem.

Inna jeszcze okoliczność przechyliła Zaleskiego na stronę Warszawy. W Wilnie ujrzał życie literackie, tak pouągłe dla młodego poety, ale w Warszawie kwitło dziennikarstwo; życie polityczne silniejszym wytryskało tu prądem. Po chwilowém wahaniu i naradzie

z Goszczyńskim obaj postanowili puścić się nad Wisłę, po ukończonych w Humaniu egzaminach.

Przed opuszczeniem Ukrainy latem 1820 roku, Zaleski udał się do Jerczyk; aby pożegnać ukochaną ciotkę Jasięńską i otrzymać na drogę jej błogosławieństwo. Przybył tam również młody krewny jego Eustachy Jankowski, który pobierał z nim pierwsze nauki, od egzjezuity Biernackiego. Zdarzył się tam nadzwyczajny wypadek. Wieczorem kiedy młodzi krewni rozmawiali z sobą, wchodzi do pokoju stary ich nauczyciel:— przyszedłem, rzecz, pożegnać się z wami... wiem że umrę dzisiejszej nocy.

Młodzi ludzie wzięli to za żart. Biernacki doskonale wyglądał, nic w jego postawie nie wróżyło rychłego zgonu. Znali przycém uwidzenia dawnego mistrza, który był zawsze wielkim oryginałem.

Biernacki jednak kiwał głową. „Mówcie sobie co chcecie, ale ja wiem, że jutra nie dożyję.“ To rzekłszy począł obu ścisnąć i błogosławić, jakby już nie miał zobaczyć ich na ziemi.

Umilkł chwilę; oblicze jego rozpromieniało dziwnym blaskiem; jakby proroczym duchem natchniony, przemówił uroczyście.

— Ty będziesz kiedyś bogatym, rzekł do Eustachego, a ty sławnym; dodał wskazując na Zaleskiego... i wyszedł z pokoju.

Nazajutrz gdy długo nie wstawał, otworzono drzwi... znaleziono w łóżku zmarłego starca.

Proroctwo spełniło się zupełnie: Eustachy Jankowski, ubogi podówczas, dorobił się ogromnego majątku na cukrowniach: Zaleski zabłąsnał w nieśmiertelnój plejadzie wieszczów naszych.

II.

Najściślejsza przyjaźń, jak mówiliśmy, łączyła Zaleskiego z Sewerynem Goszczyńskim. Różnica charakterów wzmacniała jeszcze ten węzeł: dopełniali się wzajem. Obaj przesiąknięci na wskroś technicem stepowém, nosili w sercu Ukrainę, obaj czuli się krwią z jej krwi, kością z jej kości, obaj od dziecińczych lat, z jednychże krynic pili żywą wodę, z łona jednéjże ziemi czerpali niewidome siły, które miały zagrać w ich piersi młodéj, ale zagrać na ton całkiem odrębny. Różnica ta objawiała się już w Humaniu: lira Seweryna o szorstkich a silnych strunach zapowiadała wczesnie twórcę Zamku kaniowskiego; rzewne dźwięki gęśli Zaleskiego zapowiadały śpiewaka Rusałek.

Z bogatym zasobem domowych podań, z iskrą twórczą, nurtującą już w piersi, z gorącą wiarą w przyszłość, dwaj towarzysze puścili się w drogę. Zaleski pociągnął za sobą przyjaciela. Bez niego Seweryn, syn ubogich rodziców, zmuszonych łożyć na wychowanie dziesięciorga dzieci, nie mógł przedsięwziąć téj dalekiej podróży. Ale nasz Zaleski, widząc się po raz pierwszy w życiu panem dwustu dukatów, bryczki i dwóch koni, w mniemaniu swoim był Krezusem. Zabrał więc na własny koszt milego sercu druha.

Przybyli do Warszawy 8 września r. 1820. Dziwnym zbiegiem w tymże samym dniu Zaleski miał ją opuścić po upływie lat jedenastu.

Wśród ponęt, jakie ciągnęły naszego poetę do Warszawy, jedną z najsilniejszych była chęć zbliżenia się do Kazimierza Brodzińskiego. Ta postać lirnika-legionisty, miała dlań dziwny urok. Zachwycał się Wiesławem, umiał go na pamięć, odczuł w nim ów poetyczny prąd, który miał pełnąć poezją na nowe szlaki, pełne wonnych tymianków i swojskich macierzanek. Czytał już Zaleski rozprawę o romantyzmie: to, co mu szeptały mogiły stepowe, co zastyszał dzieckiem w szumie Dniepru, z wyżyn Iwanhory, znalazł w tej rozprawie ujęte w teorią naukową. Słowa Brodzińskiego były dlań drogowskazem. Czuł że „na niebie zaświtał nowy dzionek, że na doliny upadła srebrna rosa, że czas skowronkom rozwinąć skrzydła i ulecieć w błękity.“ Marząc o śpiewaku Wiesławie, z bijącym sercem pospieszał od Bugu do Wisły. W myśli układał oracyą, godną ukochanego mistrza.

Młodzi nasi poeci przybyli rankiem do Warszawy, stanęli w domu zajezdnym na Krakowskiem-Przedmieściu. Ledwie że zsiadli z bryczki, podczas gdy praktyczniejszy Seweryn zajmuje się rozlokowaniem, niecierpliwy Zaleski, zajęty wyłącznie myślą o drogim mu poecie, wybiega na miasto, pyta przechodniów, gdzie mieszka Brodziński. Jedni mijają go obojętnie, tłómacząc się niewiadomością. Zagadniony wreszcie uczeń uniwersytetu, odpowiada z uśmiechem:

Brodziński poeta,
Przy ulicy Freta,
Wnijdź w podwórza wewnątrz,
Tam na pierwszym piętrze.

Uszczęśliwiony Zaleski, biegnie w ukazanym kierunku; bada, pyta na wszystkie strony; dociera nakoniec na miejsce. Zastaje poetę przy stoliku: pracuje nad korektą, znać to z porozrzucanych kartek. Nasz ukrajiniec, radby wypalić mowę obmyślaną w podróży, ale na widok Brodzińskiego, słowo zamiera mu w ustach. Ledwie ma się wybełkotać nazwisko swoje. Słyszy to profesor: otwiera objęcia, tuli do piersi młodzieńca znanego mu już z rzewnych pieśni drukowanych w Tygodniku wileńskim. Zbiegło im w oka mgnieniu parę godzin. Brodziński rozradowany zachwytem Zaleskiego, czyta mu ostatnie swe utwory. Zaleski odpląca mu ukraińską dumką. Ale czas mu wracać do domu. Gdzie ten dom?.. on sam nie wie... spostrzegł to z przerażeniem wśród gwaru ulicznego. W gorączkowym pośpiechu, nie spojrzął na numer pod którym stanął, nie wie nawet jak się zowie ulica. Biega tu i tam, wlepia oczy... niestety napróżno. Spotyka wreszcie podeszłego pana w kontuszu; zagadniony: czego tak pilnie szuka, wyznaje przed nim cały kłopot. Był to Litwin Buczyński zamieszkały w Warszawie.

Pocziwy litwin śmieje się z młodego zapaleńca, ale bierze do serca jego sprawę, zaręcza mu, że Warszawa nie tak rozległa jak step ukraiński, że kołacząc do zajezdnych domów, trafią nakoniec na właściciwy. Wsiadają obaj do dorożki, ruszają na Krakowskie przedmieście. Nagle błysły Zaleskiemu w oczy, wieże Ś-to Krzyżkiego kościoła.

— To tu gdzieś niedaleko! woła uradowany: poznaję ten kościół, przejeżdżaliśmy koło niego.

I w tójże chwili spostrzega na trotuarze niemniej zakłopotanego Seweryna, który wybiegł w pogoń za towarzyszem.

Przygoda ta posłużyła młodzieńcom. Zacny opiekun oświadczył im, że ma zbywający pokój, który im chętnie odstąpi. Przez rok cały nasi ukraińcy mieszkali i stołowali się u niego za bardzo niską cenę.

Wkrótce potem, nierównie większy kłopot, spotkał młodych przyjaciół. Weszli do stowarzyszenia Karbonarów. Związek ten składali sami prawie literaci; było ich kilkunastu. Jeden z nich, pragnąc popisać się w oczach narzeczonej, wyjawił przed nią tajemnicę; panienska pod sekretem wyznała rzecz bratu, który był również Karbonarem. Ten związany przysięgą, musiał rad nie rad zaskarżyć wielomownego towarzysza. Sąd skazał na śmierć winowajcę. Wszyscy musieli ciągnąć losy, kto ma wykonać wyrok. Zaleski cały drżący, sięgnął ręką po zwitek do kapelusza: szczęściem wyciągnął białą kartkę. Goszczyński sięgnął po nim: byłby on z zimniejszą krwią spełnił straszliwy obowiązek, lecz i jego los chybił. Wyciągnął kartkę jakiś chemik: uradzono, że miał struć delikwenta w kawiarni, dolewając mu do kawy truciznę *Aqua-tophana*. Na szczęście przed wykonaniem wyroku, wszedł do sali jeden ze starszych w hierarchii, był nim znany wszystkim Łukasiński. Ten, uwzględniając młodzieńczą płochość, zmienił wyrok śmierci na wykluczenie z grona.

W oka mgnieniu Zaleski zaznajomił się z całym kołem literatów warszawskich. Będąc jeszcze dzieckiem poznał w Humanii Franciszka Grzymałę, kiedy ujętego w niewolę w r. 1812, pędzono na Kaukaz: przypomniał się jego pamięci i stałe utrzymywał z nim stosunki. Młody nasz poeta, gorący wielbiciel autora *Maryi*, pospieszył do niego z serdecznym hołdem. Jakaż była jego radość, gdy Malczewski, postławszy nazwisko, uściśnił go z uczuciem i począł z pamięci powtarzać jego dumki, znane mu z pism wileńskich. Uderzyła Zaleskiego dorodna postać poety, ale zarazem przejęła trwogą pożółkła, jakby pergaminowa cera, świadcząca, że życie jego do gruntu podkopane.

„Hej tyś tu tabun przypędził kozacze!“ powtarzał Malczewski ilekroć zobaczył młodego ukraińca. Słowa te napełniały go dumą, dawały mu ufność w własne siły; *Marya* bowiem była, zdaniem jego, prawdziwem arcydziełem, tak pod względem treści i formy, jak i pod względem języka.

Znał Malczewski wartość utworu swego, mówił nam Zaleski,

przypisał też poemat Niemcewiczowi, jako znakomitemu pisarzowi i patryocie, w dowód wielkiego poważania. Ale Niemcewicz nie poznał się od razu na arcydziele: czuł się nawet urażonym, że nieznany autor śmiał ofiarować mu tak lichy utwór. Raził go szczególnież rozkiełznany język, później jednak odwołał zdanie swoje i oddał Malczewskiemu sprawiedliwość.

Wśród starszych pracowników znalazł Zaleski w Garbińskim ¹⁾ zapalonego wielbicielea. U Brodzińskiego częstym i miłym bywał gościem. Dwa te przezacne serca, jedną ożywione wiarą, jedną płonąca miłością ojczyzny, musiały pojąć się i ukochać. Skromny śpiewak Wiesława, odczuł w lirniku ukraińskim tę doskonałość formy, to mistrzostwo w władaniu polską mową, w wydobywaniu z niej pereł i dyamentów, tę niezrównaną wytworność, do jakiej on sam podnieść się nie zdołał: chętnie też odczytywał mu swoje pieśni, zasięgał jego rady z wielką dla siebie korzyścią. Zaleski ze swęj strony, odczuwał pod niewyrobioną częstokroć formą Brodzińskiego wielką potęgę natchnienia, ściagał go z roskoszą w polotach ku najwyższemu ideałom.

Rok temu jeszcze, słyszeliśmy czcigodnego wieszca powtarzającego z uniesieniem Brodzińskiego modlitwę do Boga; od lat sześćdziesięciu z górą wiernie zachował ją w pamięci.

Z Maurycym Mochnackim w ścisłe od razu wszedł związek. Ledwie spojrzeli sobie w oczy, zrozumieli się i ocenili nawzajem. Oryginalna postać Mochnackiego silnie wypiętnowała się w pamięci Zaleskiego. Opowiadał nam dziwne wrażenie, jakie na nim sprawił pierwszy widok tych wyrazistych rysów, tego czoła do samych brwi zarośniętego bujnym włosem. Oryginalność ta objawiała się na każdym kroku. Miał zwyczaj pracować leżąc na podłodze, pokrytej kołbiercem, z fajką w ustach nieustannie nakładaną. Talent to był wszechstronny. Przytaczamy tu słowa Zaleskiego o muzycznej zdolności Mochnackiego: „Sława jego, jako statysty i pisarza, śemiła pamięć o niepospolitym talencie muzycznym. Owóż mistrzował on i jako fortepianista, był bowiem nieporównanym osobliwie w egzekucyi Mozarta, Bethowena i Webera. Zamierzał ciągle podróż muzykalną po Europie, później zabrakło mu czasu i cierpliwości, zaniedbał fortepian. „Co inszego, mawiał, nosim dziś w umyśle i na sercu.“ Nowa poczya, i nowo rozbujające fale ducha narodowego porwały go w swój wir. Namiętny, rzutki, podejmował się najróżnorodniejszych prac w dziedzinie wiedzy ludzkiej. Z niesłychaną łatwością improwizował na wsze strony, porywając za sobą pokolenie całe nieudanym zapałem swoim, tudzież urokiem polszczyzny wskroś skargowskiej. Zaprzyjaźniliśmy się najściślej. Napisałem dlań do Dziennika warszawskiego „Śpiew poety ²⁾,“ Damiana Wiśniowieckiego, i wiele innych rzeczy. Maurycy, po zmuinach i nudach codziennęj chlebowęj pracy

¹⁾ Garbiński późniejszy minister oświeconia.

²⁾ Śpiew poety napisany w r. 1823.

w biurach Izydy i Kuryera polskiego, rad przybiegał do mnie wieczorem na wytechnienie. „Nuże! wykrzykiwał z przyciskiem, nuże daleko gdzie na powiśle, aby zachwycić coś w słuch, z harmonii niebieskich sfer. Jak ze Stefanem Witwickim, tak i z Maurycem na Powązkach, to na Bielanach, przedumaliśny wiele, o! wiele nocy miesięcznych!

„Często też, mówi Zaleski, gościliśmy to u Fryderyka Szopena, to u Maurycego, przysłuchując się ich popisom. Szopen wtedy wesoły, młodzieuchny, którego też wszyscy zwaliśmy Szopenkiem, wygrywał przed nami cudne swoje utwory. Genialnego rozmysłu, bystry, dowcipny a czuły, igrał ze sztuką, panował nad nią, czarował słuchaczów samorodną bujnością polskiego rytmu swego i melodyi.

Okna domu Lelewelowskiego, ciągnie Zaleski, na rogu ulicy Długiej i Freta, wychodziły na przestrzał, wprost dwom oknom Maurycego, koło Paulinów. Ile razy zaciętrzewiliśmy się w rozmowie aż do poranku, brzęk szyb z naprzeciwka opamiętywał nas. Pan Joachim z daleka groził palcem. Brodzińskiego również ploszyliśmy nieraz w nocnych przechadzkach na powiśle. Starsi wiekiem, poważni profesorowie, Lelewel i Brodziński, acz obadwaj nie potakiwali marzycielstwu i zagorzaństwu młodych, byli jednak dla nas z uważaniem i miłością. Pod ich to niejako błogosławieństwem rośliśmy i hodowaliśmy się w Warszawie ¹⁾.

Pamięć tych chwil skreślił Zaleski w wiele lat później w pieśni do zgasłego Stefana:

Wspominasz bodaj noce,
Gdy na Powiśle sami,
Bywało, tam w omroce,
Polujem za pieśniami.

Patrz, cień się już rościela,
Brodziński duma zblizka,
Patrz, w oknie Lelewela
Lampka wieczyście błyska.

Jeśli Zaleski z zachwytem wspomina Maurycego z równym uniesieniem Mochnacki, wspominał go w dziele o literaturze polskiej XIX-go wieku. „Czasami, mówi, ekscentryczny, po za krańcami prawdziwego świata w idealnej krainie, to znów wewnątrz natury w społeczeństwie i historii, jak tamta naiwny i szczerzy, jak ta prawdziwy i realny. Żartkiego dowcipu, bystry i przenikliwy, myśl ma prędką jak widzenie, i pochmurną i wesołą. Oko tego wieszca nie zawsze łąą smutku zroszone, żywiej promieni, raźniej, jaśniej i dalej widzi. I śmieje się i płacze na przemiany. Wyobrażenia Zaleskiego szklana, czysta jak błękitna wód powierzchnia, a fantazja różnobarwna, różnolicowa, mieniająca się jak gra kolorów, jak ziemskie na obło-

¹⁾ Poczyo Bohdana Zaleskiego, t. IV, Lwów 1877.

kach malowidła ku schyłkowi dnia jasnego, albo jak farby tęczy na ruchomem powietrzokregu.“

Trudno lepiej określić pieśni Zaleskiego, niż to uczynił Mochnacki, przyrównując je do różnobarwnej tęczy. Tak zaprawdę, rozbłysły one po długiej powodzi klasycyzmu, zapowiadając słoneczną pogodę. Łuk owej tęczy rozciągał się szeroko: z jednej strony dotykał stepowych mogił i zielonych brzegów naddnieprza, drugą stroną sięgał ku Wiśle, gdzie czarodziej, duszą zatopiony w Ukrainie swojej, ożywał postaci jej sławnych atamanów i poglądając ku niej mokrą od łez powieką powtarzał sobie w duchu:

Ku niej tęsknię z wieczora,
Z jutrzną tęsknię i płaczę,
Bom pożegnał nie wczora,
I nie jutro zobaczę.

Wzmogła się tęsknota naszego poety, kiedy nieodstępny towarzysz, Goszczyński, opuścił Warszawę, przebywszy w niej dwa lata. Pozbawiony wszelkiego zasiłku nie mógł się tu utrzymać. Dukaty Zaleskiego od dawna się wyczerpały; chcąc przyjść w pomoc przyjacielowi, który bez grosza, piechotą, z kijem w rękę i tłumoczkim na plecach, wybierał się w daleką podróż, Zaleski sprzedał kołdrę, wziął za nią dziesięć złotych, oddał mu drobną kwotkę. Seweryn kupił za pięć złotych perspektywę, z drugą pięciozłotówką puścił się w drogę do Krzemieńca. Podróż ta poszła mu jednak z łatwością; gdziekolwiek się zatrzymał, młodzież podejmowała go z uniesieniem, Zapał jego, wymowa, niepospolite ukształcenie, zdolność, jedyna wszędy serdeczne przyjęcie, nie brakło mu niczego. Krótko zatrzymał się w Krzemieńcu, peregrynując z miejsca na miejsce dotarł aż na Kaukaz, poczem wrócił na Ukrainę. Tu pozostał dwa lata, przebywał u dwóch szkolnych kolegów, Jana Krechowskiego i Michała Grabowskiego. Wówczas to napisał „Zamek kaniowski.“ Odbył potem z Grabowskim podróż po Włoszech i Niemczech. Nie mogąc otrzymać paszportu na własne imię, wyjechał pod inném jako lokaj. Zaleski wiadomiony o dniu powrotu przyjaciół z za granicy, biegnie pod ratusz, gdzie mieli się meldować. Zdaleka spostrzega Seweryna w granatowej liberyi z żółtymi wypustkami. Mniemany lokaj skinął głową; spostrzega to Grabowski, w obawie, żeby się czasem młodzi zapaleńcy nie zdradzili przed tłumem, wpada na Seweryna, uderza go w kark, udając zagniewanego pana; łaje go za gapiostwo, popycha do tłumoków. Sztuczka wybornie się udała. Później Grabowski, oznajmiwszy że lokaj zachorował, zostawił go w Warszawie, a sam pospieszył na Ukrainę.

Z grona młodych literatów tutejszych, Zaleski ukochał szczególnie Stefana Witwickiego. Powinowactwo duchowe łączyło młodych idealistów, a wspólny im żar religijny tém silniej jednoczył ich serca. Stefan wprowadził Zaleskiego do literackich domów, wśród których

błyszczał dom pani Katarzyny Lewockiej. Tu młody ukraińiec poznał się z całą inteligencją warszawską. Na krótko jeszcze przed skonem mówił nam o tym gościunym domu, w którym pełna wdzięku gosposydni rozpościerała czarodziejski urok, zachwycając wszystkich rozumem i dobrocią. Tu spotykał Brodzińskiego, Odyńca, że pominiemy tylu innych. Utrzymywał również ścisłe stosunki z gronem uniwersyteckich kolegów: z Ludwikiem Nabelakiem, Kazimierzem Wojerskim, Dominikiem Magnuszewskim, którego talent poetycki cenił bardzo wysoko.

Życie umysłowe, rozbudzone w Warszawie, aczkolwiek nie zagłuszało wspomnień Ukrainy, silnie jednak pociągało poetę. Ulegając wszakże konieczności, rad nie rad zmuszony był opuszczać niekiedy stolicę, a szukać utrzymania w zawodzie nauczycielskim. Około roku 1825 przebywał pod Kutnem we wsi Leszczynku, w domu pułkownika Górskiego, zajmując się wychowaniem jego syna. Wesoła to była, gwarna i ludna okolica. Kasyna i reduty kutnowskie przyciągały licznych gości, nie tylko z sąsiedniej ziemi gostyńskiej, lecz niemięj od Łęczycy i Kujaw. Pułk strzelców konnych, konsystujący w Kutnie, dodawał bodźca nieustannym zabawom. Znany dobrze ten zakątek kraju, kochamy go jako drogą kolebkę naszą, nie przypuszczamy jednak, aby w rozgwarze, jaki tam podówczas panował, tęskny ukraińiec znalazł żywioł odpowiedni dla siebie. Osoby, które go widywały na balach kutnowskich, opowiadały nam później jak krążył wśród strojnych tłumów milezący i zadumany, nie biorąc udziału w piasach wesołej młodzieży gostyńskiej.

Wśród tych smętnych dumań, Zaleski otrzymuje przerażającą wiadomość: Jan Krechowiecki donosi mu, że Mickiewicz w przejeździe z Odessy do Moskwy odebrał sobie życie. Jakby uderzony piorunem poeta pisze rozpaczliwy list do Warszawy; donosi o nieszczęściu młodemu poecie Ludwikowi Żukowskiemu. Szczególną pomyłką list ten padł w ręce innego Żukowskiego, obywatela z księstwa Poznańskiego, który czasowo zamieszkał w Warszawie. Ten nie słyszał nigdy o Zaleskim ani o Mickiewiczu, nie zrozumiał też wcale o co idzie. Ale prozaiczny ów ojciec miał ładną córeczkę Rózię, entuzjastkę, rozmiłowaną w literaturze, która do innych darów łączyła słiczny głosik. Zaciekawiona Różia ukazała list Brodzińskiemu, a dowiedziawszy się, że ten zna dobrze Zaleskiego, błagała, aby poznał ją z ukraińskim słowikiem. Było to przed samą Wielkanocą. Brodziński napisał do Zaleskiego, powołując go na święta do Warszawy. Poeta przybiegł jak na skrzydłach: wraz z Brodzińskim poszedł na święcone do państwa Żukowskich. Młoda marzycielka zachwycała się od razu ukraińskim piewą, Zaleski upodobał ją sobie nawzajem. Byłaby to owa rusalka, wypieszczona w duszy poety? Samo zbliżenie imienia Rozyny do Zoryny, nasuwa nam ten domysł. Ale cóżby znaczyły te porohy i ostrowy, te wybrzeża Dnieprowe, na których rozwija się cudny poemat? Wisła od nich daleko! a przecież poeta nosił w sercu swoim

Ukrainę, nie mógłże przystroić swój nadgoplański czarodziejki w kwiaty uszczknięte na kurhanach stepowych? Zresztą: po co nam od grzebywać tajemnicę? dość nam wiedzieć, że serce Zaleskiego drgnęło silnie nad Wisłą, że złote sny roztrącone o zimną rzeczywistość, — jakby cud po cudzie, w pół wędrówki go odbiegły — i świat piękny, świat rozległy, w sennie rozwiął się utudzić!

Pod wpływem zbudzonych uczuć Zaleski opuścił Leszczynek, przeniósł się do Warszawy. Wrzała wówczas zacięta walka klasyków z romantykami. Zaleski nie wziął w niej żadnego udziału. „Inni spierali się, mówili do nas, — ja siedziałem cicho, ciągnąłem dalej swoje.“ Polem zapasów był, jak wiadomo, dom generała Wincentego Krasińskiego. Jakkolwiek wzywany na owe literackie obiady, pomimo, że mieszkał w tymże samym gmachu, poeta nasz nie bywał na nich wcale. Oburzały go żarty z Jaksy Marcinkowskiego, który był tam celem bezustannych pocisków. Ukraińiec brał gorąco stronę przesładowanego ukraińca. Podczas, gdy ściany pałacu trzęsły się od oklasków, w odpowiedź na szyderstwa Osińskiego z Dziadów i innych utworów nadniemeńskiego wieszczą, podczas gdy klasyczni biesiadnicy śmieli się homerycznym śmiechem, słuchając żartów Morawskiego z geniuszków ledwie rozpowitych z pieluszek, w tymże domu wysoko, na poddaszu, Zaleski dumiał samotnie nad książką i piórem. Mieszkając pod jednym dachem, zaprzyjaźnił się tu z nauczycielem małego Zygmunta, Balińskim; był świadkiem gwałtownej jego śmierci, koł płacz nieutulonego w żalu, przyszłego piewcy Irydyona.

Wkrótce potem Zaleski opuścił znów Warszawę; zajmował się wychowaniem dzieci pułkownika Szembeka. Pozostał tam zapewne do roku 1830 go, pod koniec bowiem tego roku stanął w szeregach pierwszego pułku strzelców konnych, którym dowodził Szembek.

(Dok. nastąpi).

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Ku czci ś. p. Pauliny Krakowowej. „Księżniczka,“ powieść, uwieńczona nagrodą konkursową, napisała Zofia Urbanowska. Kraków i Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1886 r., str. 370.

Od pewnego czasu dział belletrystyki pedagogicznej, przeznaczonj nietylko dla dzieci, ale i dorastającj młodzieży z każdym się rokiem wzbogaca. Dowodzi to, że nakoniec zaczynamy się liczyć na serjo z potrzebami umysłowemi młodzieży i sprawę wychowania uważać za najżywotniejsze dla społeczeństwa zadanie.

Jeżeli jednak belletrystyka tego rodzaju stać się ma istotnie sprzymierzeńcem wychowania młodzieży, to, zdaniem naszym, koniecznie odpowiadać winna dwóm kardynalnym warunkom: nie zbaczać ani na chwilę z pedagogicznego gruntu, co do środków obranych w przeprowadzeniu myśli głównej w utworze i nadto odpowiadać, co do jego obrobienia, wymaganiom artyzmu. Bez zachowania tych dwóch warunków trudno wpłynąć dodatnio na duszę młodą, wrażliwą.

Tymczasem pod tym względem dziwne panują dotąd u nas pojęcia: zdaje nam się, iż alfą i omegą wartości literatury, przeznaczonj dla młodocianego wieku koniecznie musi być wyraźnie wypowiedziany, bijący w oczy morał i zwykle téż do niego większa część piszących, całą treść utworu nagina, nie bacząc na to, że morał, czy dla dziecka, czy dla podlotka zawsze jest nudny i że nieuniknione naciąganie do niego osnowy, dzieje się kosztem prawdy, której brak instynktownie umysł młody odczuwa. Wszak już Goethe i Schiller przez sztukę chcieli uszlachetnić ród ludzki; a choć kraj, językiem ich mówiący, przynając brutalnej sile wyższość nad prawem, dowiódł, iż ci, którzy

się szczytą tymi wieszczami, nie wcielili w życie ideałów ich ducha; to przecież nie wynika ztąd, by idea, na której swą działalność artystyczną oparli, była dla świata bezpłodną. Owszem, może nawet wydałaby inne owoce, gdyby pokolenia, w które swój posiew duchowy rzucili, były należycie do niego przez wychowanie przygotowane. Zastosujmy te same wymagania sztuki do literatury pedagogicznej, jakie stosujemy do literatury na wyższą stopę pojętej, a kto wie, czy kształcąc estetycznie człowieka od samego dzieciństwa, nie uszlachetnimy prędzej, niż dotąd młodych pokoleń i nie przygotujemy ich do tém głębszego odczuwania piękności arcydzieł świata, które, bądź co bądź, wpływają na uszlachenie ludzkiej istoty.

Tych kilka uwag nasunęła nam powieść zatytułowana w nagłówku. Wywołaną ona została specjalnie ogłoszonym konkursem, który za warunek położył, by w bohaterce powieści stawiono wzór, według którego młoda panienka „idąc przez życie, nie wyjątkowe, lecz pośrednie i znajdując się w okolicznościach i warunkach powszechnie spotykanych, mogłaby nauczyć się pojmować obowiązki względem Boga, kraju i rodziców,” a przez ich spełnienie dojść do możliwej doskonałości.

O ile „Księżniczka,” uwieńczona nagrodą, odpowiada warunkom konkursowym i stawionym przez nas żądaniom, to bliższy jej rozbiór wykaże.

Obecnie poznajmy jej osnowę.

P. Marcin Orecki, podupadły obywatel, jest agentem filii domu, prowadzącego handel zbożowy. Przez nieznamość jednak fachu i łatwowierność, z jaką obywatelom daje zaliczki na zboże, które ci poraz drugi żydom sprzedają, doprowadza filią do upadku, a siebie na utratę miejsca naraża. Nadto przez dobroduszość, dochodzącą do idyotyzmu, poręcza zaciągniętą przez sąsiada Teckiego pożyczkę u Niemca Ofmana i tém do reszty się dobija. Tecki bowiem zamiast użyć pożyczonych pieniędzy, jak to przyrzekał, na zwrot pobranych z filii zaliczek, ulotnił się z miasta i żonę za granicę wyprawił; Niemiec zaś, mając poręczenie Oreckiego, zaciera ręce z radości, wiedząc, że tym sposobem najłatwiej wyzucze go z własności domu i placu, który jego posiadłości dotykał.

Rodzina p. Oreckiego składa się z żony i córki. Pierwsza choruje na wielką panią i pozorami dostatków pokrywa ędzę błyszczącą; córka zaś Helena jest pięknym kwiatkiem wyhodowanym w cieplarni salonu, nie mającym najmniejszego pojęcia o celu i obowiązkach życia. Matka bowiem za największe szczęście kobiety uważa: mieć wytworną toaletę, bawić się, czarować wszystkich pięknością, wreszcie zrobić świetną partya przez wyjście za bogatego i dystygowanego człowieka. W tych też pojęciach wychowuje Helenę. W chwili, gdy ją poznajemy przed samą katastrofą, występuje ona poraz pierwszy na balu danym przez stryja Bartłomieja. Tu poznaje Stefana Jerskiego, który jej

tém więcej zwraca główkę, że i mama, znajdując go nader dystyngowanym młodzieńcem, daje córce do zrozumienia, iżby nic przeciw temu nie miała, by się o jój rękę oświadczył. Powodzenie, jakiego Helena doznała na tym pierwszym występie, skłania matkę do przyjęcia zaproszenia na bal drugi w sąsiedztwie, gdzie także miano spotkać Jerskiego. Znowu więc dla niej zamówiono nowy kostyum leśnej bogini! Nim jednak bal przyszedł do skutku i suknią nadesłano z Warszawy, przybył do miasta M. p. Radlicz, delegat rady nadzorczej, z dymisią dla p. Oreckiego i pełnomocnictwem zlikwidowania i zamknięcia filii. Rozumie się, iż o skutkach przybycia delegata p. Orecka nie ma żadnego pojęcia i dla okazania zamożności domu występuje z sutém przyjęciem; ale zrozumiała położenie rzeczy Helena, zwłaszcza, gdy jój ojciec oświadczył, że stracił wszystko, nawet jój posag, w którego istnienie dotąd wierzyła. Teraz też dopiero wykazuje niepospolitą woli potęgę i po nocy spędznej bezsennością, postanawia opuścić dom rodziców i oddać się pracy. Nie zwierza się jednak z tém przed nikim, ale udaje się wprost do p. Radlicza, prosząc go o pomoc do wykonania powziętego zamysłu. Na nieszczęście, po kilku chwilach rozmowy z nim, przekonywa się, iż pomimo znajomości obcych języków i muzyki, właściwie nie jest uzdolnioną do żadnego zajęcia. P. Radlicz jednak, choć wątpi o stałości jój postanowienia, ofiarowuje jój miejsce w własnym, przy składzie nasion kantorze. Powiadomieni w końcu o tém rodzice, usiłują ją odwieść od powziętego zamiaru, ale postanowienie jój niezłomne i, pomimo łez matki, wyjeżdża do Warszawy z p. Radliczem. Mieszczański dom Radliczów jest przeciwstawieniem pańsko-szlacheckiego domu Oreckich. Gdy tam panującym rysem jest niezaradność, brak myśli o jutrze i zużywanie ostatnich zasobów na utrzymanie pozorów pańskości; tu przeciwnie życiu całej rodziny przewodniczy praca rozumna, świadoma swego celu, uszlachetniona poczuciem obowiązku i przekonaniem, iż każdy trud jednostki, na jakimkolwiek polu podjęty, przyczynia się nie tylko do pomnożenia zamożności rodziny, ale i krajowego bogactwa. Jakoż każdy z jój członków ma jakieś specjalne zajęcie. Andrzej, syn, 30-letni mężczyzna, pracuje w kantorze ojca; starsza z córek, Andzia, zajmuje się kwaciarstwem; młodsza, Elżusia, maluje na porcelanie; sama zaś p. Radliczowa, jako ideał czynnej, zabiegliwej niewiasty, prowadzi gospodarstwo domowe. Otóż w takiem otoczeniu, gdzie każda godzina dnia miała swe przeznaczenie, gdzie sumienne spełnianie obowiązków stanowiło o wartości moralnej, a oszczędność posunięta do najmniejszych drobiazgów była panującą cnotą; Helena rozpoczęła twardej szkołę życia i wewnętrzną pracę nad pozbyciem się nałogów próżniaczych, jakie w nią zaszczerpiono w dzieciństwie. Doznawszy też wiele upokorzeń i rozczarowań co do swój osobistój wartości, weszła nareszcie na drogę pracy i co za tém idzie wyższego udoskonalenia. Z jednym tylko Andrzejem nie mogła się pogodzić. Był to bowiem typ, stanowiący zupełne przeciwieństwo z salonowym, pełnym dy-

stynkei Jerskim, który ani na chwilę nie przestawał jęj wyobraźni zajmować. Andrzej brzydki, szyderski, nadzwyczaj o nięj w sądach surowy, lekceważący jęj piękność i pańskie ułożenie, ztąd właśnie otrzymała nazwę „Księżniczki“, był dla nięj wstrętną postacią. Późniejsze wszakże okoliczności łagodzą ostrość tego stosunku. Po ciężkiej, zimowej pracy w kantorze, którą Helena podwaja dla przysporzenia funduszu na wspomaganie pozostałych bez środków utrzymania rodziców, p. Radlicz uznał potrzebę wysłania ją z wiosną na wieś, by na świeżem powietrzu odzyskała stracone siły. Jakoż wyjechała w towarzystwie Andrzeja (?) i tu poznaje najstarszą siostrę jego Wandę, którą narzeczony dla idei poniósł życie w ofierze i ociemniałego dziadka, co z dalekiego Wschodu powrócił i niezłamany na duchu teraz resztę dni swych pod jęj opieką przeżywał. Ta Wanda występuje tęż w oczach Heleny, jako niepospolite zjawisko. Choć los ją okrył na całe życie żałobą, nie roztkliwia się jednak egoistycznie swoim nieszczęściem, ale w pracy szuka na ból serca lekarstwa i w każdej chwili czynna, zajęta, dla otaczających ją ma zawsze wypogodzone oblicze. Specyalnością jęj—smażenie na wielką skalę konfitur, które w Kijowie spienięża. Różległy zresztą ogród, w znacznej części przeznaczony pod uprawę nasion, zasila Skład p. Radlicza w Warszawie. Słowem, Helena i tu spotyka się z tym samym trybem pracy systematycznej, rozumnej, a obok tego z osobami, których miękniejszy charakter, łagodzi nieco ostry stosunek z Andrzejem. Do żywszego wreszcie zajęcia się nim panny przyczynia się zjawienie się jakiegoś łotra, który Andrzejowi zaprzysiągł zemstę, z przyczyny, iż ten odmawiał mu wsparcia i zapędzał do pracy. Świadomość grożącego mu niebezpieczeństwa przeraża Helenę i myśl jęj ciągle zajmuje. Pomimo jednak jęj ostrzeżeń, Andrzej lekceważy sobie pogroźki żebraka i każe go z dziedzińca wypędzić. To przyspiesza katastrofę. Mściwy bowiem żebrak podpala budynek, w którym przechowuje się cały zapas zeszłorocznych nasion i na znaczną stratę naraża firmę Radliczów. Ale zaledwie Helena ochłoneła z wrażeń, spowodowanych pożarem, gdy odebrała od matki list z zawiadomieniem, iż Ofman, nie mogąc od Teckiego swęj należitości odebrać, zapozwał ojca i że im licytacya zagraża. Za poradą więc Andrzeja wyrusza wprost do Teckiego, lecz ten bez ogródki oświadcza, że nie ma na zapłacenie pieniędzy, gdyż wieś i wszystkie ruchomości są prawną własnością żony. Pędzi więc do rodziców; ale w dostaniu się do miasta w skutek wezbrania rzeki i zerwania mostu znajduje niezwykłą przeszkodę. Wysiłkiem jednak woli pokonywa wszystkie trudności i powiąwszy potrzebne informacje od ojca, udaje się do jego dłużników, domagając energicznie zwrotu pieniędzy. Tu, u jednego z nich Dońskiego, gdzie się zgromadziło liczne towarzystwo karciarzy, spotyka Jerskiego, który widząc już, że dziś nie ma posagu, choć niegdyś tak uprzedzający dla nięj w grzecznościach, teraz nawet powstać na jęj powitanie nie raczył. Doznany jednak afront tēm większej dodaje jęj odwagi. Publiczném wyjawieniem obywatelskiej sztuczki

rodzicom, zdolna do największych poświęceń, a zatem usprawiedliwiająca postanowienie Heleny, gdy z ust ojca dowiaduje się o ruinie majątkowej i nędzy, zagrażającej wszystkim trojgu w przyszłości; ale autorka nie wzięła na uwagę innych czynników, które tu jednocześnie działać musiały, a głównie egoizmu, który w pannach tego szczepu, co Helena, wychowanie pieśczone i denerwujące rozwija. Takie panny w rzeczywistości nie tak łatwo oswajają się z myślą poświęcenia i pracy. Poświęcenie w nich w inny ujawnia się sposób. Będą one znosić wszelkiego rodzaju upokorzenia, oczekiwać na jakieś urojone pomoce, znosić głód, zimno, niedostatek, ale nie przeniewierzą się swemu stanowisku, na jakie ich urodzenie wyniosło. I taką powinna była być „Księżniczka,“ jeżeli miała istotnie nasze narodowe wady, z fałszywie pojmowanego wychowania płynące, przedstawiać. Wtedy byłaby istotnie dla wielu panien nauczającym przykładem, zwłaszcza, iż nic nie przeszkadzało, by po doznanych rozczarowaniach, koniecznością zmuszona, nie miała chwycić się pracy. Dopóki jednak nie wyczerpała wszystkich złudzeń; dopóki z jej różowego gabineciku nie sprzedano ostatniego mebelka, dopóty, rzecz biorąc po ludzku, nie mogła być zdolną do powzięcia tak ważnego postanowienia i to w tak krótkim, jak jedna noc przeciągu czasu, a tém mniej znaleźć w sobie tyle sił i mężstwa, by nie uleść płaczom matki i perswazyom ojca, którzy jej zamiarom byli przeciwni.

A ta rodzina Radliczów, wśród której się Helena po przyjeździe do Warszawy znalazła? Dla czego autorka, poczynając od mamy, przypominającej jakąś majstrową z Podwala, przedstawiła w niej całą galerią gburów, pozbawionych wszelkiego rodzaju delikacności?... Czy ludzie oddani pracy, koniecznie mają być źle wychowani i przez to ni-by wyżsi, iż nie uznają form przyjętych w całym ucywilizowanym świecie?... Jakież to bowiem w tym domu Helenie zgotowano przyjęcie? Oto gdy ona, odniosłszy nad sobą zwycięstwo przybywa oddać się pracy, wszyscy, jak gdyby do niej zrazić ją chcieli, wysadzają się na robienie jej impertynencji i wszelkiego rodzaju upokorzeń i przykrości. Mama, napuszona w fotelu, przyjmuje ją zimno, bynajmniej nie ukrywając niechęci; Andrzej znowu jakby mu pilno było żłóżyć egzamin z dobrego wychowania, mierzy Helenę pogardliwie oczyma i wymienia z siostrami w jej obecności znaczące spojrzenia i uśmiechy. Po tym zaś, tak zachęcającym przyjęciu następuje na drugi dzień sławna rozprawa o mydło. Tak! dano jej do mycia proste mydło, które Helena nierozsądnie wyrzuciła za okno, nie mogąc znieść jego nieprzyjemnego zapachu. Tymczasem p. Radliczowa złożyła jej ranną wizytę. Już widok porozrzucanych sukien wydobytych z walizki, nie spodobał się mamie dobrodziejce; to też zgorzozona nieładem, panującym w pokoju, odrazu wystąpiła z kazaniem. — „Patrząc na panią, niktby nie powiedział, żeś tu przybyła zarabiać na chleb powszedni; wyglądasz, jak „Księżniczka,“ która przypadkiem tylko zabłądziła do ubożego mieszczańskiego domu.“ A cóż dopiero, gdy spostrzegła przy miedni-

cy brak mydła i dowiedziała się, że wyjechało za okno. Jakież to gniew ją ogarnął, gdy Helena oświadczyła, że jej zwróci za nie pieniądze. — „Ależ największa suma, jakabyś pani mogła zapłacić, nie może już wynagrodzić tej straty. Kto nie bogaci kraju, ten go uboży, ten jest złym patriotą! Mąż mój powiada, że pani dużo czytałaś i pracowałaś nad sobą; musi ci więc być wiadome zdanie francuzkiego publicysty Say'a: „Narody, nie umiejące pracować i oszczędzać, muszą zniknąć z powierzchni ziemi.“ Że to wyrzeczenie jest prawdą, którą należałoby złotemi głoskami na ścianach naszych domów wypisać, to więcej, niż pewna; ale wystąpienie z nią o kawałek mydła, które zresztą służąca mogła za oknem w ogrodzie odszukać, jest forsowném naciąganiem rzeczy wielkich do małych. Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas. To też śmiesznym jest w ustach p. Radliczowej ten patriotyzm mydlany. Pomimo to, autorka zapewnia, że „pani Radliczowa zdawała się wtedy rosnać (?). Był to ideał (?), którego szorstkie formy raziły Helenę, ale kazały ją podziwiać.“ — I my podziwiamy ją szczerze, ale zdaje nam się, że w każdym przyzwoitym domu nie traktowanoby w podobny sposób służącej na drugi dzień po przyjęciu jej do obowiązków, a nie dopieroż panny, która mogła mieć narowy i wady, ale szukając w domu pp. Radliczów pracy, nie straciła jeszcze przez to prawa, by się z nią obchodzono z należytą względnością. Nie dość na tém, gdy idzie na obiad, na zakręcie schodów, zatém w sieni, słyszy, jak Andrzej, rozmawiając o niej głośno z Elżunią, porównywa ją, z przyczyny noszonej grzywki do kudłatego pinczera. Przy obiedzie znowu matka z synem, brat z siostrami wymieniają znaczące spojrzenia, krytykują głośno jej ubiór, zarzucając mu elegancją zbytęcną. Helena tłómaczy się, iż dałaby dowód braku szacunku dla całego domu, gdyby pierwszego dnia zasiadając do stołu, ubrała się po codziennemu, ale to nie rozbraja tętnącej zasadami purytańskiemi rodziny. Owszem, młodsze pokolenie Radliczów postanowiło ją upokorzyć za to hołdowanie formom światowym. Jakoż po obiedzie, przy którym, mówiąc nawiasem nic w usta nie wzięła, gdyż zepsute jej podniebienie nie mogło zasmakować w wygotowanej sztuce mięsa i kiełbasie z kapustą — całe młode grono wyszło na ślizgawkę do ogrodu za domem. Ponieważ Helena miała ogoniastą suknię, przeto pozostała tylko widzem zręcznych ewolucyj dokonywanych przez pp. Radliczanki i Andrzeja. Ale ni ztąd, ni z owąd przyszła jej ochota, nierzędem wreszcie nie umotywowana, przejść przez całą szerokość sadzawki, po gładkim, jak szyba lodzie i to jakby umyślnie tuż koło otwartej przerebli. I stało się, co się stać miało. Helena pośliznęła się i — upadła — rozumie się nie do przerebli, bo aloby się utopiła, albo z przeziębienia umarła i z powieści nicby nie było, ale jak raz, tuż przy samej przerebli i tak, że się tylko ogon jej sukni zamacał. I teraz dopiero wszyscy w śmiech — hajże na Soplicę! „Zaczęto ogon z wody, jak wieloryba wyciągać, wróżyć mu, że kataru dostanie, doradzać różne lekarstwa“ etc. Poczém ugrupowano się w następujący

sposób: Helena szła przodem; za nią Andzia i Elżunia, niby dwaj paziowie, podtrzymując zmarzły, skostniały ogon; na końcu zaś Andrzej, 30 letni mężczyzna, bawiący się jak dzieciak, tą psotą. I jaki cel, pytamy, autorka zamierzyła sobie przez to osiągnąć? Oto chciała wyśmiać pretensjonalność ubioru Heleny. Tymczasem dała tylko swym czytelniczkom rażący przykład złego wychowania całego rodu, tém niewłaściwszy w dziele pedagogiczném, że jęj sympaty widocznie są po stronie Radliczów, których całe postępowanie jedynie na miano polissoneryi może zasłużyć.

Za przykładem państwa również i służba po grubiańsku traktuje Helenę. Gdy się na drugi dzień po tym wypadku na herbatę spóźniła i stół zastała sprzątnięty, na zapytanie, czy już było śniadanie, odbiera od Kunegundy szorstką odpowiedź: — „To się rozumi! Pewniebyśmy czekali do południa za panną” — (miało być chyba: na pannę). Po tém znowu dochodzą ją uwagi, jakie lokaj Franciszek robi o jęj turniurze. — „Żeby moja baba włożyła taką maszynę, tobym jęj w tym samym miejscu (sic), skórę kijem ogrzmoił. To jest nieprzyzwoitość!” — dodaje — no, i my się na to zgadzamy, ale z innego względu. Co zaś najzabawniejsza, to, że rodzina Radliczów, skazuje obok tego Helenę na głodową kuracyą — „Godzin na posiłek przeznaczonych — mówi mama — pilnujemy się wszyscy bez wyjątku i, jeżeli się kto spóźni najczęściej nie ję dla nienaruszenia porządku domowego.” Słowem dom pp. Radliczów robi wrażenie jakiejś wielkiej maszyny, której wszyscy członkowie spełniają funkcją kręcących się według jednego nastawienia kółek i kółeczek. To téż choć p. Radliczowa spostrzeża, że dziewczyna od trzech dni nie jedząc, może umrzeć z głodu, nie zmienia jednak dań, oznaczonych na dzień każdy kolejno. Któż bowiem winien, że Helena miała buzię wykwiłtnemi potrawami zepsuta? To jęj rzecz, nie p. Radliczowej. Niech się głodzi! Dopiero czwartego dnia, gdy Helena bojąc się spóźnić, przyszła do jadalni o 6-jej rano i, nie zastawszy nawet przygotowań do herbaty, znużona w krzesle zasnęła: wtedy dopiero rodzina znalazłszy ją w tym stanie, uczuła dla nięj litość i zaczęła się naradzać, „czy nie należałoby użyć środków łagodniejszych i czy sam przykład, jak się wyraziła Anna, nie podziałałby na biedną księżniczkę?” I zdawałoby się, że i autorka, znużona niepotrzebném szarżowaniem w tym kierunku, wejdzie nareszcie na drogę właściwą i oszczędzi czytelnikowi przykrych wrażeń, doznawanych na widok tego znęcania się nad biedną dziewczyną. Ale nie! Autorka chciała tylko zaznaczyć rys, malujący dobroć serca Anny — nie więcęj. O tém, jak z Heleną postępować należy, może tylko stanowić rozum; p. Radlicz przeto, jako jego uosobienie, zapowiada stanowczo, „że obrał metodę doraźnego, energicznego działania, bo on zna jęj skuteczność,” że zatém środki łagodne na nicby się tu nie zdały. Tak utrzymuje p. Radlicz, a jednocześnie żona, jak szpak wyuczony za nim powtarza, „że Helenę muszą wychować.” Ze przedstawiciel firmy handlowej mógł się bawić w pedagoga doświadczo-

nego, temu nie dziwimy się wcale, wiedząc, że u nas w kwestyach wychowawczych i ortograficznych każdy się za kompetentnego uznaje; ale że autorka, znana na polu piśmiennictwa pedagogicznego, takie postępowanie za właściwe uznaje, to daleko trudniej zrozumieć. Bo najprzód, jaki cel tej barbarzyńskiej dresury? Jeżeli Helena, zrywając z przeszłością próżniaczą, gotowa była chwycić się pracy, to należało ją raczej po ojcowsku do niej zachęcić, a na złe nałogi wpływać przykładem, który skuteczniej działa, niż mogły działać wszystkie p. Radliczowój morały. Trochę zresztą serca, życzliwości dokonałoby reszty. Tak radzi zdrowa pedagogika, która surowych środków jedynie w razach ostatecznych i to z wielką oględnością używa. Tymczasem z Heleną tej ostateczności nie było. W każdym razie nie zasługiwała na to, by ją oddawano do domu kary i poprawy.

Ale może autorka chciała w Helenie dać wzór wytrwałości w raz powziętym zamiarze? Jeżeli tak, to ku temu drogę najniewłaściwszą wybrała. Podobne postępowanie, jak Radliczów, gdyby miało być wszystkim chlebobdawcom właściwe, może tylko zrazić każdą młodą osobę zamiast zachęcić do pracy. Piszący nie jest panną, a tém mniej szesnastoletnią, a jednak, gdyby miał nieszczęście znaleźć się pod jednym dachem z podobną rodziną, uciekłyby od niej zaraz pierwszego dnia za dziesiątą granicę. Właściwie też celu obmyślanego na seryo nie było. Autorka zapewne znała taką rodzinę Radliczów, uchwyciła wszystkie charakterystyczne jej rysy i sądziła, że dość ją przenieść żywcem do powieści, by nadać utworowi cechę, technącego prawdą realizmu. Ale właściwie rodzina Radliczów bynajmniej nie nadawała się do roli wychowawczej, do jakiej ją autorka przeznacza. W jej otoczeniu i Helena co chwila zmienia charakter. To raz jest dumną księżniczką, to znowu upokarza się, żądając zaliczki na pensyą i to wtedy, gdy w kantorze okazują niezadowolenie z nieumiejętnej jej pracy, a nawet zapytują bez ceremonii, czy nie zechce do rodziców powrócić. Kto odebrał takie wychowanie, jak ona, wyniósł z domu poczucie dumy rodowej, ten nie przeniósłby podobnych upokorzeń, na jakie autorce podobało się skazywać bohaterkę swoją. Ta Helena zresztą w wielu razach na idiotkę zakrawa. Jakżeż? Wić, że na nią wszyscy oczy zwracają, że szyczą z jej pańskich nawyknień i stroju, a pomimo to ciągle się na pośmiewisko naraża i na skromnym wieczorku, danym przez pp. Radliczów, gotowa wystąpić w nadesłanym jej przez matkę kostiumie bogini leśnej! Nie przychodzi jednak szczęśliwie do tego — lecz tylko w skutek wmieszania się osób trzecich. Obce uwagi a nie doświadczenie wśród własnej twardej szkoły nowych stosunków sprawiają, że właśnie wypadek ten znamionuje wybitny moment w odmianie stanu psychicznego Heleny. Wszystko to jest nienaturalne, naciągane, wprowadzone jedynie dla tego, by znaleźć sposobność do wypowiedzenia morału. Innym znowu razem ukryta za portyerą w sąsiedniej bibliotece, słyszy, jak Andrzej nazywa ją śpiącą księżniczką, deklamując: Drżem sobie duszo! Bierze więc machinalnie jakąś książ-

kę do ręki i natrafia na wiersz Pauliny Kraków, w którym jest mowa o postępiactwie kobiety, — i oto nie umie sobie odpowiedzieć na znalezione w nim pytanie: Dokąd ja idę? A przecież miała przed sobą cel jasno określony, skoro dla dopomożenia ojcu i matce przyjechała do Warszawy pracować. Co zaś najbardziej jest rażącym, to że na jej poprawę dwa tygodnie czasu w zupełności wystarcza — ani mniej, ani więcej. Jak się w niej jednak ten wewnętrzny proces udoskonalenia odbywa? Na czym ta jej poprawa zależy? Gdzie przedstawione owe walki z dawnymi nałogami i nawyknięciami — słowem, cała praca wewnętrzna, która przecież w dziele pedagogicznem najważniejszą część stanowić powinna? Tego napróżno szukamy.

Część trzecia i czwarta powieści, zatytułowane: „Na przebój“ i „Na progu nowego życia“, w których Helena występuje jako już poprawiona z dawnych nałogów, rozwija się o wiele naturalniej, lubo i tu o niejednej sytuacji to i owo powiedzieć można. Przedewszystkiem w trzeciej części razi odstępianie od wymagań nakreślonych w programie konkursu. Według niego bohaterka miała być postawioną w okolicznościach i warunkach powszechnie spotykanych; tymczasem trudno do nich zaliczyć ryzykownej przeprawy przez wezbraną rzekę na łożu, noclegu w kajucie berlinki, oraz jej wystąpienia w obec karciarzy w domu Dońskiego. Całkiem też jest nienaturalny ów szyper przewożący Helenę i dający jej u siebie na noc przytułek. Poglądy, jakie rozwija przy wieczery o wyższości rasy niemieckiej nad słowiańską, o wadach Polaków i nieuniknionej ich zagładzie, a co wszystko podstuchuje przebudzona Helena, byłyby odpowiednie w ustach innej osoby, choćby nawet samego p. Radlicza, rozumieć się ze zmianą punktu zapatrywania się na tę kwestyą drażliwą. Przepisywanie jednak prostemu człowiekowi tak szerokiej gamy poglądów na stosunki między narodowe i ekonomiczne, obejmujące już nie tylko Europę, ale Amerykę i Australię, jest naciąganiem rażącym. Słuchając tego szypra możnaby mniemać, że się ma do czynienia z jakim skrybą, zbiegłym z kancelaryi Bismarcka, lub reporterem, wyszłym z pod kierunku Pindtera. Co ważniejsza, iż autorka, nie znając obowiązujących u nas przepisów prawnych, na nich jednak opiera najważniejsze czynności Heleny. Powiada np. iż Helena dowiedziawszy się, że Tecki odziedziczył spadek po zmarłym krewnym, jedzie do miasta gubernialnego, by przypilnować działów majątkowych. Tymczasem, gdzie pełnoletność, gdzie plenipotencya, bez których nie można rozpocząć sądowego działania? Autorka powiada, że Helena wyjechała zaopatrzoną listem ojca, który ją jakimś znajomemu polecał. Czyżby list ten miał plenipotencyą zastąpić? Ale nie dość na tém. Dział majątkowy był dopełniony. Tecki odebrał pieniądze. Szło o to, by mieć dowód prawny, że jest w możności zapłacić dług, gdyby się tłumaczył brakiem funduszu, jak to już raz się było zdarzyło. Potrzeba więc było u regenta wyjąć urzędowy akt działu. I oto na proste zażądanie Heleny kancelaryja regenta, wydaje jej urzędowy odpis całego aktu. Tymczasem każdemu wiado-

mo, iż bez upoważnienia sądu żaden regent takiego aktu wydać nie może. Sam Tecki mógłby mu o to sądową sprawę wytoczyć. By zaś takie upoważnienie uzyskać, należy koniecznie tytuł prawny do akcyi sądowej wykazać. Całe więc działanie Heleny oparto na fałszywej podstawie.

Powięć kto może, iż „Księżniczka,“ to nie traktat naukowo-prawny, lecz powieść, w której, jako w utworze fantazyi o ścisłość drobiazgową nie idzie. Dobrze! jeżeli chcemy powieść za bawidełko uważać. Ale właśnie „Księżniczka,“ według wymagań programu miała uczyć owe czytelniczki „jak obowiązki swoje względem kraju pojmować.” Sama zresztą autorka przez usta Andrzeja potępia za to Helenę, że ją nie obchodzą sprawy krajowe; należało więc oprzeć się w tym względzie na rzeczywistej, a nie fikcyjnej podstawie, jeżeli nie chciała powiększać tego zamętu, jaki u nas w głowach co do stosunków prawnych panuje. Czego zaś nie spodziewaliśmy się znaleźć w książce poświęconej pamięci Pauliny Krakowowej, to tak hazardownego twierdzenia, że dzieci łatwo przywykają do obcego języka. Gdyby autorka, która taki nacisk kładzie na potrzebę interesowania się krajowymi stosunkami, lepiej statystykę szkolną poznała, możeby się była cofnęła przed tak niedorzecznym wyrzeczeniem, które i zdrowo pojmowana pedagogika i inne względy bezwarunkowo nakazują potępić.

Rozpisałiśmy się o „Księżniczkę“ obszernie, ale występując z jej oceną po innych krytykach, które z nader małym wyjątkiem, odezwały się o tym utworze pochlebnie, czuliśmy się w obowiązku umotywować własne, nieco odmiennie zdanie. Zkądże jednak ta różnica w sądach pochodzi? Bezwątpienia z odmiennego punktu zapatrywania się na dzieło. Ponieważ cel utworu był pedagogiczny; przeto według przyjętego zwyczaju szukano w nim tylko dydaktycznego żywiołu. Żywioł zaś ten daje się odszukać na każdej niemal stronnicy i to powiedzmy, podniesiony jeszcze tak szerokim na społeczeństwo poglądem, jakiego dotąd w żadnym, przeznaczonym dla młodzieży, nie napotykałyśmy utworze. Ta więc strona, istotnie nader bogata, zainponowała do tego stopnia, że jeden z krytyków nie zawahał się nazwać „Księżniczki“ Panem Podstolim niewieścim. Ale właśnie tym epitetem mimowoli scharakteryzował znaczenie i wartość tego utworu. Cóż to jest bowiem Pan Podstoli? Juźciż chyba nikt dzisiaj nie zechce go za arcydzieło powieściowe poczytać. Niema w nim ani oryginalnego pomysłu, ani intrygi. Jest to tylko szereg luźnie powiązanych z sobą rozdziałów, w których główna postać występuje dla tego, by wyowiadać poglądy samego autora na potrzeby tamtoczesnego społeczeństwa i życie. Ten P. Podstoli nie jest nawet typem obywatela-szlachcica, jakim go chciał mieć Krasicki w duchu konserwatywno-postępowym XVIII stulecia, bo i cóż to za typ, którego sobie nie można w wyobraźni odtworzyć w rysach pełnych, skończonych, pomimo, iż go mamy ciągle na oczach. Jeżeli jednak P. Podstoli, jako utwór powieściowy niema dziś dla nas pod względem artystycznym wartości, to za to ni-

gdy nie przestanie być monumentalnym pomnikiem tych prądów reformatorskich, jakie pod koniec XVIII wieku naszym społeczeństwem wstrząsały. Otóż dopatrzenie pod tym względem pewnego podobieństwa pomiędzy dziełem Krasieckiego, a dydaktyzmem, płynącym dość szerokim korytem w utworze p. Urbanowskićj, nasunęło to porównanie krytykowi z *Gazety Warszawskićj*. Ale pomijając już, że to porównanie ze względu na znaczenie P. Podstolego w naszej literaturze jest przesadne, to z drugićj strony bynajmnićj ono nie przemawia na korzyść „Księżniczki.“ Dla uwydatnienia bowiem ulubionych sobie poglądów i sympatyj, autorka poświęciła w nićj prawdę i to w części drugićj, zasadniczćj, gdzie właśnie szło o przeprowadzenie myśli głównej: „pozbycia się nałogów, zaszczipionych wychowaniem, przez pracę samodzielną, wewnętrzną.“ Ztąd ani pod względem pedagogicznym, ani estetycznym nie odpowiedziała swemu zadaniu, z tém większą dla całego dzieła szkodą, iż to, ze względu na opracowanie pozostałych części, mogło być w beletrystyce pedagogicznćj zająć miejsce bardzo wydatne.

W każdćj książce polskićj, a tém bardzićj jeszcze w książce mającćj cel pedagogiczny, uważać trzeba za najpierwszy warunek jćj uznania czystość języka i poprawność stylu polskiego, nie mordowanego zwrotami obcemi, nie szpeconego cudzoziemską budową okresów, słowem zachowanie natury oraz istoty logiki języka równie pod względem odmiany części mowy, jak i pod względem składni zgody, rządu, nie mnićj i składni szyku.

Książka p. Urbanowskićj nie nastęrcza powodu do większych pod tym względem zarzutów, jakkolwiek przezierają z nićj pewne naleciałości stylu publicystyki nowszćj, która pod wpływem piór maczanych ciągle w obcćj atmosferze, zacierając niepostrzeżenie piękny majestat stylu polskiego. Zamiast dłuższego traktatu z pola stylistyki polskićj ośmielamy się przedstawić czytelnikowi początek książki w redakcyi autorki z poprawionym, jak mniemamy tekstem recenzenta.

Czytamy tedy:

„Gdy w miasteczku M. rozeszła się wieść o założeniu domu handlowo-komisowego rolników nadw...skich, w celu oswobodzenia właścicieli ziemskich z rąk lichwiarzy, przez dawanie im (czy lichwiarzom?) taniego kredytu na zboże — między kupcami tamecznymi, w rękach których dotąd koncentrował się handel zbożem całej okolicy, objawił się nie mały popłoch, a obrady giełdowe odbywające się regularnie codziennie w rana na środku rynku zwanego żydowskim, bywały głośniejsze niż kiedykolwiek.“...

Mybyśmy okres powyższy szykowali w sposób następujący:

„Gdy w miasteczku M. rozeszła się wieść o założeniu domu handlowo-komisowego rolników nadw...skich, w celu oswobodzenia właścicieli ziemskich z rąk lichwiarzy przez ułatwienie rolnikom kredytu na zboże, objawił się nie mały popłoch między kupcami tamecznymi,

w których rękach koncentrował się dotychczas handel zbożem całej okolicy. Obrady giełdowe, odbywające się codziennie z rana na środku rynku, zwanego żydowskim, stały się głośniejsze niż kiedykolwiek," i t. d. Autorka popełniła tu 1) błąd przez mylne użycie zaimka wskazującego, z czego zrodziła się konstrukcja nie jasna, 2) kredytu nie można dawać z ręki do ręki, ale chodzi tylko o jego ułatwienie, 3) przy domyślnym tylko subiekcie w zdaniu pobocznym należało postawić na początku zdania słowo, które końcówką swoją zaimkową wyraża dokładnie myśl okresu; 4) przez użycie zaimka względnego po rzeczowniku, należącego już do zdania względnego psuje się logika składni zgody, bo „których“ nie odnosi się do „w rękach;“ ale do „kupców.“— W zdaniu: obrady giełdowe rozpoczyna się myśl nowa — należy ją tedy wypowiedzieć w nowym okresie.

„Solution de la question d'Orient“ par Mathias Ban.—Belgrade, imprimerie d'état, 1885.

Autor pisemka, którego tytuł przytaczamy powyżej, Maciej Ban jest jednym z najznakomitszych pisarzy serbskich. Urodzony 18 grudnia r. 1818 w Dubrowniku, za młodu przebywał w Grecyi i Carogrodzie. W tych czasach pisywał w włoskim języku wiersze tudzież tragedye: „Radimira,“ „Fingal,“ „Il Moscovita.“ Od r. 1844 jako profesor mieszka w Białogrodzie, gdzie wydał cały szereg dramatów w serbskim języku. Jako najlepsze uważane są „Mejrima“ (1851), „Dobroslaw, czyli zemsta dalmacka“ tudzież „Marojica Kaboga“ (1880). Prócz tego ogłosił mnóstwo broszur politycznych w języku włoskim i francuzkim.

W pierwszej części niniejszego pisemka autor przypomina „najważniejsze punkta z starożytnej i nowszej historii narodu serbskiego.“ Nie będziemy powtarzać tych dostatecznie znanych rzeczy i zaznamy tylko, że autor wystawia Serbów jako najgroźniejszego i najniebezpieczniejszego, dla tego też najbardziej znienawidzonego wroga Turków. „Zacięta walka — powiada na str. 9 — którą wydano imieniu i językowi serbskiemu od chwili upadku jego aż do dnia dzisiejszego, jest zjawiskiem może jedynem w dziejach (?). Turcy nazwisko Serbów ukryli w całej Macedonii pod nazwą Bułgarów, w Starój Serbii pod nazwą Albańczyków. W ostatnich czasach tak dalece sprzyjali Bułgarom, że pozwolili im wprowadzić swój język do szkół w wymienionych serbskich prowincjach, które poddali równocześnie egzarchatowi bułgarskiemu. Nazwa Serb w mniemaniu Turków było równoznacznikiem rewolucjonisty, gdy nazwa Bułgar oznaczała człowieka postępnego i potulnego. Całe gminy serbskie, widząc, że nazwa bułgarska broni od prześladowania, przyjmowały imiona bułgarskie, zachowując jednak swój język i zwyczaje. W innych stronach

narodowość serbską ukryto pod nazwą terytoryalną Bośniaków i Hercegowińców. W Carogrodzie Serbów przewali Chorwatami. Łatwo zrozumieć przyczyny tego wstępu do imienia serbskiego. Szczepy sąsieduie usiłują z bogacić się puścizną naszą; rządy boją się dzielnego ducha naszego narodu i niszcząc nazwę, pragną zarazem zniszczyć płynące z niej prawa polityczne. Daremne usiłowania! Serbowie wszędzie opierają się im mężnie i skutecznie; ich język, najpiękniejszy pomiędzy słowiańskimi ¹⁾, został przyjęty przez Chorwatów w piśmiennictwie i administracji i jest teraz używany przez 8 milionów ludzi. Jest to najśliczniejszy żywioł narodowy na półwyspie bałkańskim.“

W drugim rozdziale autor rozbiera traktat san-stefanowski i twierdzi, że traktat ten na wszystkie ludy półwyspu wywarł wrażenie gromu (str. 16), ponieważ najpośledniejszy z tych ludów, bułgarski, otrzymał o wiele więcej „niż waleczne narody serbski i grecki, które uzyskały były niepodległość kosztem własnej krwi, niż Rumunowie, Czarnogórcy i znów Serbowie, którzy wzięli tak wybitny udział w wojnie przeciwko Turcyi.“ Wszystkie te narody na to śnać tylko położyły tak wielkie ofiary, aby się przyczynić do powstania wielkiej Bułgaryi. „Cały Wschód rozdrażniony, niezadowolniony, w traktacie tym widział jabłko niezgody, rzucone pomiędzy narody półwyspu.“

Z traktatu berlińskiego (rozdział III), zdaniem autora, narody półwyspu bałkańskiego, wyjąwszy Bułgarów, były więcej zadowolnione, chociaż i przez niego nie zostały usunięte źródła zatargów. „Sprawiedliwie uczyniono, odbierając Bułgarom Macedonią, zamieszkałą przez Serbów i Greków, ale chybiono, pozostawiając im powiaty, nienależące do ich szczepu, a mianowicie ustanawiając sztuczny rozdział pomiędzy księstwem bułgarskiem a Rumelią wschodnią, które z natury rzeczy dążyć muszą do zjednoczenia swego.“

„Z ludu najpotulniejszego i najspokojniejszego na półwyspie, Bułgarzy, za ledwo uwolnieni z pod jarzma tureckiego, przemienili się w naród najniespokojniejszy i najdumniejszy w obec sąsiadów. Serbowie, przybywający do Bułgaryi w interesach handlowych, byli narażeni na najrozmaitsze prześladowania; co chwila wydarzały się krwawe zatargi na granicy.“ Dalej autor wylicza różne nieporozumienia, które się wywiązały pomiędzy Bułgaryą a Serbią, a które według innych źródeł dokładniej streściliśmy w rozprawie: „Sprawa bułgarska“ w zeszycie lutowym „Biblioteki.“ Następnie zdradzając pewną chęć prawienia morałów braciom bułgarskim, karci ich za ich niewdzięcz-

1) W ustach poety i patrioty serbskiego oświadczenie to nie obraża nikogo. Każdy z narodów słowiańskich powinien tak samo sądzić i twierdzić o swym własnym języku. Ale zdanie Bana znalazło zwolenników także u obcych, jakoż przed kilku laty znany poseł i romansopisarz Maurycy Jokay, który naturalnie innych języków pochodzenia słowiańskiego nie zna, oświadczył się z tém, że się uczy serbskiego, ponieważ go uważa za najdzwięczniejszy.

ność względem Rosyi. Nie posiadając żadnej wprawy w kwestyach politycznych, ale uważając się za zdolnych do wszystkiego, Bułgarzy, chcąc stanąć na równi z najoświecześniejszymi państwami Europy — statut organiczny, opracowany już w duchu zbyt liberalnym, jeszcze rozszerzyli w kierunku liberalnym, nie zgodnym z niskim stanem oświaty narodu, z kąd powstał chaos, i doszło do tego, że jeden z najwybitniejszych mężów Bułgaryi nie wahał się oświadczyć raz pewnemu znakomitemu turyście: „on n'est bon bulgare qu'a la condition d'être ennemi de la Russie.“ Podróżując przed trzema laty po Bułgaryi słyszałem z ust wysokiego urzędnika rossyanina, pozostającego w służbie bułgarskiej, takie słowa: „Bułgarzy nas nienawidzą, my nimi pogardzamy, a jeżeli pozostajemy na naszych urzędach, to jedynie z posłuszeństwa dla rozkazów rządu petersburskiego.“

Opisawszy w ten sposób tendencyjne braci bułgarskich, Mathias Ban zastanawia się nad sposobami ostatecznego rozwiązania kwestyi wschodniej, i jako jeden taki środek zaleca zreorganizowanie stosunków narodowych na półwyspie na podstawie dawnego podziału kościelnego.

Atoli najstosowniejszego rozwiązania kwestyi wschodniej autor spodziewa się od Turcyi samj. „Przed 30 laty — powiada na str. 49 — byłem z innymi gorliwym obrońcą niepodległości i nietykalności cesarstwa ottomańskiego, żywiąc nadzieję, że pojmując nowoczesny prąd narodowościowy W. Porta uczyni zadość umiarkowanym życzeniom dwóch najwaleczniejszych narodów, serbskiego i greckiego, bardzo skłonnych do zgody. Niestety nadzieje te zawiodły. W. Porta zawsze poparacie zagranicy przekładała nad poparcie swych narodów, więcej dowierzała sile zapożyczonj, niż naturalnej. Ta fałszywa polityka pozbawiła ją sympatyi swj ludności chrześcijańskich, która poczęła także szukać protekeyi zagraniczej“.

Według tēj opinii przypuszcza autor możliwość utworzenia ligi narodów półwyspu, nie wyłączając Turcyi. „Powiadam ligi, nie federacyi, ponieważ pierwsza oznacza tylko ścisły związek sił wojskowych celem wspólnej obrony od napaści zagraniczej, gdy wyraz federacya za-powowiada także pewne zespolenie spraw politycznych. Otóż, zważywszy wielką różnicę narodowych i religijnych czynników, federacya jest niemożliwą. Natomiast liga jedynie w celach obronnych ze wszęch miar odpowiada potrzebom narodów półwyspu. Aby dojść do takiej ligi, trzebaby rozkład sił narodowych półwyspu oprzć na podstawie granic dawnych patryarchatów greckiego, bułgarskiego i serbskiego. Albowiem ten rozkład kościelny powstał naturalnym sposobem w czasie niepodległości tych narodów i ściśle odpowiadał ich etnograficznym granicom. Stosunki etnograficzne od owych czasów wcale się nie zmieniły, upadły tylko polityczne granice. Uzupelnienie państw bułgarskiego i serbskiego w granicach ich dawnych patryarchatów nie podlega żadnym trudnościom. Natomiast dawny patryarchat grecki nie mógłby być przywrócony politycznie, chyba żeby się Turcyja zrzekła

wszystkich swych posiadłości europejskich. O tém zaś nie można myśleć, skoro ma powstać liga w zakreślonym powyżej pojęciu. Należałoby więc Grecyą wynagrodzić południową częśćią Albanii, która dawniej pośrednio należała do patriarchyatu serbskiego“ (w rzeczywistości zaś, jako prowincya katolicka nie należała do żadnego z trzech wymienionych patriarchyatów greckiego obrządku).

Autor wprawdzie uznaje, że odstąpienie Serbii i Grecyi pewnych prowincyi tureckich wyda się W. Porcie rzeczą „twardą.“ Ale jakże innym sposobem dojść do ligi? Główną rzeczą jest, aby sułtan nie stracił swego wpływu wśród ludności otomańskiej. Otóż tego nie potrzebaby się obawiać, skoroby W. Porta z własnej woli uczyniła owe ustępstwa. „Turcyja się odmładza i wzmacnia, dzięki lidze staje się zdolną odegrać wielką rolę w Europie (?) i w Azji. Czyż to upokorzenie a nie raczej mądrość? Wielcy czasem małych przypuszczają do używania swego zbytku. Anglia odstąpiła Grecyi wysp jońskich. Tak świetny przykład uwalnia Turcyą od wszelkiego skrupułu co do godności i powagi.“ Odstępując Serbii i Grecyi to, czego się domagają, Turcyja, zdaniem autora, zamiast się osłabiać, wzmacnia się, otacza się silnym wałem narodów, sprzymierzonych z nią, aby dzielić wspólne losy. Na domiar wspaniałomyślności królowie grecki i serbski pozwoliliby sułtanowi używać tytułu władcy Macedonii i Albanii (jak w teorii jest dotąd panem Bośni i Hercegowiny) a nawet — to już hojność poety-dyplomaty zakrawająca na rozrzutność, tytułem wynagrodzenia oddawaliby pewną sumkę rocznie do skarbu sułtańskiego!

Extra ligam nulla salus! Jeżeli, powiada autor na str. 57, intrygi obce zniweczą plan ligi, natenczas wszystko stracone, bo Turcy, serbowie, bułgarowie, grecy i rumuńczycy skarżą się na dalszy ciąg wiekowych walk i sami na siebie wydadzą wyrok śmierci. Liczy jednak na rozum stron interesowanych i odzywa się nie bez pewnego połotu poetycznego do Europy:

„Bądź równie sprawiedliwą i wspaniałomyślną, jak jesteś potężną. Wstrzymaj się od wszelkiego niewczesnego mieszania się do spraw, które przedewszystkiém do nas należą. Nauczyłaś nas, że prawo jest jednakowe dla słabych i silnych (?), daj nam przykład, że to prawo szanujesz: pozwól W. Porcie nazwać swą własnością, co do niej należy, pozwól narodom chrześcijańskim porozumieć się z nią w wspólnym interesie, a dzieje XIX stulecia zapiszą czyn wielki ludzkości i sprawiedliwości. Kwestya najtrudniejsza naszych czasów, którą uważano jako niemożliwą do rozwiązania, z powodu której ciekły strumienie krwi i ginęły miliardy, a która pomimo tego ciągle zagraża pokojowi powszechnemu, kwestya ta będzie nagle załatwiona w sposób najprostszy, najtrwalszy a równocześnie zabezpieczający wszystkie interesa.“

Projekt ten nestora pisarzy serbskich, ogłoszony w drukarni królewskiej, z wielu względów jest ciekawym. Nietylko dla tego, że zdradza gorącą żądę Serbów zwiększenia swych dzierżaw i równie gorącą nienawiść do braci bułgarskich, ale przedewszystkiém dla tego,

że zaznacza pewien stanowczy zwrot w stosunkach narodów słowiańskich półwyspu bałkańskiego do Turcyi. Aż pod koniec wieku zeszęłego stosunek ten równał się antagonizmowi religijnemu, emancypacyjne dążności tych narodów były niejako dalszym ciągiem lub epilogiem krucyat. W bieżącym wieku antagonizm religijny przybierał pozory walki narodowościowej, ale w miarę, jak w skutek emancypacyi coraz dobitniej wytwarzał się samodzielny charakter narodów greckiego, serbskiego, rumuńskiego i bułgarskiego, a tém samém uwydatniały się przechodzące często w otwartą nienawiść różnice pomiędzy niemi, antagonizm ów tracił powoli cechę spólnego interesu narodowościowego. Bułgarzy nienawidzili Turków, ale dziś pono więcej nienawidzą Greków. U serbów dawna nienawiść przeciwko turkom widocznie przenosi się na braci bułgarskich i t. d. Interes słowiański przestał być hasłem użytecznym, skoro już na swęj drodze nie napotyka samych turków lecz greków, rumuńczyków i albańczyków, stanowiących razem większość ludności półwyspu. Zwrot ten bardzo dobitnie wyjaśnia pisemko Bana.

Powtóre zaś projekt poety serbskiego zasługuje na uwagę z tego względu, że właśnie na tych samych zasadach powstał układ księcia bułgarskiego z W. Portą. Książę Aleksander śmiałym zwrotem za odstąpienie sobie władzy nad Rumelią uznał sułtana jako zwierzchnika w sprawach wojskowych i tym sposobem uczynił pierwszy krok na drodze do owęj ligi a w każdym razie uroczyście zerwał z wiekową tradycją, według której narody półwyspu bałkańskiego w sułtanie nie tylko nienawidzili pana swego, lecz przedewszystkiem kalifa, czyli naczelnika obcęj wiary, z którym już z tego względu należało walczyć na zabój. Poeta serbski w słowach tylko, ks. Aleksander Battenberg w czynie okazał się rewolucjonistą, zainaugurował nową erę na półwyspie bałkańskim. Jednakże apostrofa poety do Europy okazała się nieskuteczną. Europa wystraszyła się, usłyszawszy o śmiałym i sprzeciwiającym się wiekowym tradycjom kroku młodego księcia. Europa nie pozwala, aby wojsko bułgarskie ewentualnie miało stanąć pod naczelną komendą sułtana! To też liga, o jakiejż marzy Maciej Ban, pozostanie snem tylko a na półwyspie bałkańskim, choćby już nie stało sułtana i turków, nie przestanie płynąć, jak od wieków, szerokiem korytem krew narodów.

E. Lipnicki.

Estudios literarios par Martin Garcia Merou. Madrid 1884.

Ensayos literarios par Emilio Castelar. Madrid 1885.

Za naszych czasów — mówi p. Merou — krytyka jest niewątpliwie placówką wysuniętą, gotową w każdej chwili do żądania hasła

i zrobienia alarmu w porze właściwej. Nigdy nie nadawano takiej pełni studjom analitycznym, owemu rozbirowi umysłowemu rzeczy oraz idei, owój walce ducha z samym sobą, która tylu ciekawemi odkryciami wzbogaciła w wieku naszym olbrzymi zasób wiedzy ludzkiej. Ale obok krytyki prawdziwej tych badaczy zadziwiających, którzy wszystko przenikną, którzy, wzięwszy dzieło rozłożą je, rozbiórą cząstka po cząstce, kółko po kółku, wykazując z bystrością nieubłaganą mechanizm życia umysłowego, jego czynniki wielkie, jego siły, jego dążności, roi się jeszcze tłum krytyków innego rodzaju, wytwór oryginalny naszej epoki. W czasach obecnych walki, rozpraw, sporów, analizy, w czasach, gdy usiłujemy poddawać studjom rozbiorczym i zimnym zarówno to co ludzkie jak i boskie a przyszedłszy do granic tego drugiego w poczuciu bezsilności zaprzeczamy jego istnieniu, — krytyka była przedewszystkiem bronią w walce, czasem za taran, niekiedy za sztandar służyła. Niczego nie wyłączano z pod jej władzy, ponieważ nie się nie uchyla z pod sądu naszego i z pod owej dążności powszechnej zdawania sobie sprawy z tego wszystkiego co nas otacza. Przeniknęła więc ona wiedzę, przekształciła dzieje, wstrząsnęła instytucjami społecznymi i wierzeniami religijnymi. Pokolenia przeszłe zgromadziły jeden po drugim zbiory prawd i błędów, nasion złych i dobrych, zboże na chleb zmieszane z cykutą, która zabija — do tego składu umysłowego, w którym należało rozklasyfikować wszystko, uporządkować, strzedz jednego jako skarbu a inne poddać działaniu kamienia probierczego. To dzieło olbrzymie wymagało geniuszu i wytrwałości, nie tego geniuszu gwałtownego, który idzie za niepohamowanym prądem swego natchnienia lecz przenikliwego wzroku mędrca, który poszukuje ducha w głoskach, treści w formie źródeł i przyczyn, który się nie zraża sprzecznościami, który szuka swój Ameryki wymarzonej tak długo dopóki jej nakoniec nie wydobędzie z głębin błędów lub wątplenia. Krytyka jest nauką tyle wartą co inne, byleby tylko z tych innych brała natchnienie, znała je, badała i z nich zrobiła swoją podstawę, wówczas tylko bowiem przestają uważać zniestawianie za broń swoją a niezadowolenie za system. Nie pojmują celu i doniosłości krytyki, którzy sądzą, że stanowi ją owo krótkowidztwo literackie zaznaczające koniuszkiem pióra szczegóły zbyteczne, przecinki brakujące, duże litery niewłaściwe, wyrazy źle użyte, zwroty nie trafne, aby je poddać drwinom satyry niefortunnej. W obec takiego systemu nie ostoi się żaden geniusz. Wszelako życie nasze nowożytnie jest wielce skomplikowane i różnorodne. Nauka i sztuka ze wszystkich stron nas otaczają, ruch umysłowy potężnieje, po dziełach następują czyny, teorie upadają pod ciosami doświadczenia, a idąc za postępem ludzkim, chociaż z daleka tylko, musimy pracować, uczyć się i używać. Porwani wirem pozostawiamy specjalistom kopanie się w studiach jednorodnych, eksploataowanie jednej żyły, chcemy wiedzieć wszystko, a nie mamy czasu zgłębić niczego. Z tej potrzeby wyłonił się cud wielki dni naszych... d z i e n n i k a r s t w o, które rodzi się i umiera ażeby wró-

cić i zmartwychpowstać świeżem, niezmordowanem, niosącym do wszystkich zakątków swe słowo ostatnie, szybkie, jasne, skupione i ponętne. Prasa przekształciła zupełnie literaturę. Dała ona początek ocenie spiesznjej, która w jednym ustępie streszcza całe księgi, jednem pociągnięciem pióra zaznacza idee, nie bawi się w rozprawy szczegółowe, lecz szuka przedewszystkiem punktu widzenia, całokształtu, ogólnego rzutu oka, która pod tą samą chorągwią jednoczy różne legiony, której słownik malowniczy obejmuje wszelkiego rodzaju frazeologie i musi dostarczać wyrazów tak barwnych, żeby odrazu jak błyskawice oświetlały przestrzenie całe.

Otóż takim właśnie krytykiem-dziennikarzem usiłuje być p. Merou w każdym ze studyów swoich i, przyznać potrzeba, spełnia zadanie przedsięwzięte z wdziękiem niezaprzeczonem. Autor kształcił się widocznie na wzorach francuzkich, znać, że mu mistrzami byli Jules Janin i Paul de Saint Victor. Błyskotliwością raczej niż głębią poglądów graniczących dość często z paradoksem, w porę zastosowaną erudycją lżejszego kalibru, a wreszcie natchnioną prawie barwnością słowa autor przykuwa do siebie czytelnika, darząc go ucztą na poły naukową, na poły artystyczną, w każdym razie przyjemną i łatwo strawną. Dla przykładu przytoczmy charakterystykę Don Juana, tój postaci na wskróś hiszpańskiej, którą tylu poetów europejskich odtwarzało.

Dusze pospolite — mówi p. Merou — nie pojną D. Juana, uprzywilejowane podziwiają go i opiewają. W tój ruchliwości (oscillation) wiekuistej, w tój ciągłej zmianie idei, poglądów i wrażeń, jest rzeczywiście pewien sybarytyzm, nie pojęty dla człowieka nierozumnego w uraganach. Praca monotonna, ognisko spokojne, zajęcia systematyczne — oto ideał życia większej części synów tój ziemi, ideał nie mający w sobie cienia poczui. W duchu naszym, w sercu i ciele istnieją siły rwące się do używania i w zetknięciu ze światem zadowolnić je trzeba. D. Juan to człowiek par excellence, on bowiem wprowadził w grę najwięcej sprężyn, on przebiegł najwięcej aren życiowych, on żył najwięcej, robiąc się nieustannie ogniskiem wrażeń wszelakich. I rzeczywiście porównajmy jedną z tych istot pospolitych, przejętych jednem uczuciem spokojnem, które im towarzyszy aż do grobu bez żadnych wzruszeń, bez niepokojów prawdziwych, bez niebezpieczeństw i grozy sumienia własnego z ową walką ustawiczną człowieka, który zbiera pierwociny tysiąca uczuć miłosnych, obejmuje tysiące ramion dziewiczych, składa pocałunki na tysiącu ust, z których nie wyszło nigdy nic... krom słów modlitwy. A gdy mu miłość nie wystarcza ma jeszcze zbrodnię, posiada niebezpieczeństwo, które mu dostarczają nowych rozkoszy źródeł. Walczy i zabija, bo walczyć honorowo z narażeniem życia własnego — to nowy rodzaj rozkoszy dla tych dusz nadzwyczajnych. Nie drży przed nikim, bo patrzy na wszystkich z wyżyn wielkości swojej. Pogarda jego jest powszechna, bo wszystkie zmysły jego tryumfują. Jest bezbożny, gdyż nigdy nie odczuwał potęgi wyższej, która przeznaczeniem naszym kieruje, owę dłoń, która w cieniu ukry-

ta, rozdziela kary i nagrody. Jak on może zrozumieć wszechmoc niebieską, on, który do pewnego stopnia jest wszechmocnym w życiu. Przed nim wszystkie się bramy roztwierają, wszystkie przeszkody nikną, wszystkie zasłony opadają, wszystkie serca słabną, wszystkie szpady pryskają, wszystkie niewiasty korzą się!... Niewinność, cnota, religia nie mają dość siły do zwalczania jego pożądliwości, jest w tryumfach jego coś z fascynacji węża... D. Juan to typ hiszpański do szpiku kości, mężny i awanturniczy syn Sewilli, która w klasztorze pogrzebała wspomnienie o jego życiu walk i wybryków. Piękne to miasto strzeże imienia jego jak relikwii, bo jego duch namiętny, odważa gotowa zawsze do walki, postawa piękna, hojność szalona, wszystko to uosabia dziecię Południa, syna ziemi słonecznej i miłości, w którego żyłach kipi krew gorąca i którego młodość jest poematem o strofach olśniewających.

Z przeglądu celniejszych poematów europejskich o tym uwodzi-cielu Sewilskim autor wynosi przekonanie, że „nikt charakteru D. Juana nie zrozumiał tak gruntownie i nikt go nie odtworzył z taką energią, prawdą i miłością, jak Alfred Musset. On go nosił w duszy był jego bożyszczem, jego muzą“ (str. 38).

W dalszym ciągu swęj książki p. Merou mówi o powieściach fantastycznych, o balladach, dając nadzwyczaj trafne ich określenie, potępia surowo naturalizm Zoli, poddaje trafnemu rozbirowi „Pawła i Wirginią“ oraz „Gil Blasa,“ zaznacza rysy znamienne twórczości Wiktora Hugo i składa gorący hołd miłości w artykule „Mujeres y autores.“ „Kolana mężczyzny, woła autor — są na to, aby się gięły przed Bogiem i... przed kobietą¹⁾. Ona to w istocie jest bożyszczem nowożytnem, władczynią, której nieśmiertelne świątynie się wznoszą. Kobieta jest owym aniołem, do którego wyrwa się serce, którego widzimy nieustannie w marzeniach naszych, który szrydłami świetlnemi pieści nam czoło; jest ona Antygoną ową, która nam w niedoli towarzyszy, osładza troski i przechodzi jak sen, jak wizya, zostawiając na niebie gwiazdę promienną a w sercu bruzdę wiekuiście otwartą i wiecznie płodną.”

Zaprawdę szczęśliwe te hiszpanki, że w dzisiejszej epoce skrajnego pesymizmu tak gorących mają czciocielów! A może kto sądzi, że p. Merou należy do entuzyastów wyjątkowych? Niech tę wątpliwość rozstrzygną słowa znakomitego pisarza i męża stanu, którego „szkice literackie“ mamy przed sobą. W artykule p. t.: Doña Carolina Coronado²⁾ Castelar mówi: „Kobieta, to kapłanka uczuć, anioł skrapiający łzami wszystkie cierpienia, skarbnica miłosierdzia nieszczęśliwych, najwierniejsza w niedoli towarzysza, gotowa zawsze do abnegacyi, przyjaciółka wszelkiej ofiary i poświęcenia! Odczuwa ona ze szczytną

¹⁾ Las rodillas del hombre están hechas para doblarse delante de Dios y delante de la mujer (pag. 85).

przenikliwością zgrzyoty, które nas trapią, dostrzega chmury zasępiające nam czoło, odgaduje myśli będące męczarnią ducha, zna wszystkie nurtujące nam pierś tajemnice i wszystkie hydry zwątpienia, gdy się zaś pogrążamy duchem w noc czarną, niby tęcza w barwach ponętnych rozłącza przed nami płynące z niebios światło, oddając nas cnotcie i nadziei (str. 47). Od tej płomienną apostrofy przechodzi autor do twórczyni poematu „El amor de los amores,” w którym podług niego „zjednoczyła się cała wspaniałość (gala) poezji południowej ze smutkiem głębokim — północną.” P. Castelar nie ma dostatecznych słów zachwyty dla utworów p. Coronado, współczesnej poetki hiszpańskiej. „Jaśnieje w niej idea, prawda przyrodziana we wszystkie blaski pięknej formy. Nie znam w naszym parnacie nowożytnym śpiewaka natury wymowniejszego: w jej wierszach rozbrzmiewają echa gór i lasów i płynie woń balsamiczna kwiatów polnych. Gwiazdą przewodnią, która ogniskuje wszystkie jej myśli — cnota. Upiększyć ją, zrobić ponętną, wskazać drogę ku niej wiodącą — oto zadanie Karoliny, która zna daleko lepiej głębie serca ludzkiego niż filozofowie oddani studjom nad niemi. Geniusz wielu potów marnieje na usługach rozpaczy i zwątpienia, Coronado jest jedną z tych śpiewaczek, które są zwiastunkami nadziei a dobrej wieści, bo w ten sposób jedynie można pojąć poetę i wytłumaczyć. Bóg nie dla tego dał mu natchnienie, nie dla tego złożył w jego dłoni złotą lirę, żeby nią dręczył współbraci; więc cel jego wyższy, bo sztuka jedyną ludzi nauczycielką. Ja szukam zawsze w sercu poety przybytku, któryby mi w ucieczce przed światem i społeczeństwem za schronienie spokojne mógł posłużyć, ja pragnę w słowach jego odszukać Boga i zwracam ku niemu prośbę, aby mnie na skrzydłach swęj fantazyi wznosił po nad nędze żywota i dał oglądać twarz w twarz upragnione duchowi... słońce prawdy. Ja go tu na tym padole mizernym nie potrzebuję, lecz wymagam, żeby ugasił żądzę nieskończoności, która mnie trawi. Wy, poeci zwątpienia, jesteście dla mnie ptakami nocy, bo w pieczarach ukrywacie światło, które w piersiach waszych Bóg zapalił. Nie znam potęgi większej nad geniusz poety i dla tego cierpię gdy głos jego marnieje w próżni lub poświęca się złemu. Tu właśnie leży przyczyna główna mego uwielbienia największego, którym duszę moję przejęły pieśni Karoliny“ (str. 60).

W dalszym ciągu swęj książki autor poświęca duży rozdział „Helena uważanej za symbol sztuki klasycznej,” rozprawia o „powszechności demokracji” i rozbiera dzieło p. t. „Iturbide” Karola Navarro y Rodrigo. Po wypowiedzeniu wielu bardzo ciekawych uwag o stanie dzisiejszym Ameryki, p. Castelar woła: „Tajemnica cudowna... niepojęta... Hiszpania, która miała być ziemią instytucyj umarłych, krainą oporu, stawianego duchowi nowemu, ziemią, na której inkwizycja myśl zabijała, której wojska walczyły z Holandją, schroniskiem wolności naukowej i z Anglią, przybytkiem wolności politycznej; ta Hiszpania przeznaczona była przez Opatrzność do odkrycia Ameryki, krain

wolności i tolerancyi, wielkiej pracowni hasła rewolucyjnych, ziemi, która obudzić miała świat stary elektrycznością, krain demokracji i przyszłości. „Piszmy — konkluduje szanowny autor — mówmy, podnośmy wielkie idee, a z tej wymiany pojęć wypłyną iskry elektryczne, które zgalwanizują Hiszpanią, kraj absolutyzmu i nietolerancyi”... (str. 103).

Następne rozdziały poświęca autor opisowi podróży swoich po kraju, pełnemu szczegółów bardzo ciekawych, a wreszcie kończy książkę rozdziałem p. t. „Bulgaros y nihilistas,” którego bohaterem wuj dzisiejszego księcia bułgarskiego. Szlachetny autor postawił tu najpiękniejszy pomnik synowi obcej ziemi, druhowi swemu, którego czcił za życia i otoczył nimbem świetlanym po śmierci!...

J. A. Święcicki.

„Geschichte Oesterreichs“ vom Ausgange des Wiener Octoberaufstandes 1848“ von Jos. Alexander Freiherr von Helfert, Praga i Lipsk, I—IV tomy, 1869—1885.

Pierwszy tom tego dzieła wyszedł bezimiennie w roku 1869. Wkrótce dowiedziano się, że autorem jest bardzo znany w Wiedniu były podsekretarz stanu w ministryum oświaty (1819—1860), późniejszy dyrektor różnych niefortunnych banków, baron Aleksander Helfert. Le style c'est l'homme! Sam ultra-reakcyjny kierunek dzieła, oraz to oryginalne mieszanie biurokratyzmu niemieckiego z aspiracyami słowiańskimi w najgorszym znaczeniu tego wyrazu, zdradzały dostatecznie autora, który też na następnych tomach nie omieszczał wymieniać nazwiska swego. Wszakże z czasem i p. Helfert, który zwłaszcza po „krachu“ w r. 1873 zdawał się być na zawsze usunięty z widowni, wypłynął znowu szczęśliwie na wierzch, został przez hr. Taaffego mianowany członkiem Izby panów, w której często teraz figuruje jako sprawozdawca większości „autonomistycznej,” bywa wymieniany jako kandydat do teki oświaty, inspiruje nie tylko dzienniki, lecz nawet wpływowych postów. Po cóż więc miał się dłużej ukrywać jako autor swego dzieła o dziejach Austrii.

Pierwszy tom zawiera na 34 arkuszach szczegółowy, ale nie bezstronny, opis oblężenia i zdobycia Wiednia przez księcia Windischgraetza i Jellaczycę. Naturalnie baron Helfert w rewolucyi wiedeńskiej (w paźdz. r. 1848) nie widzi nic innego, jak tylko intrygę węgrov i innych. Ludziom tego kierunku, co baron Helfert, zawsze zdaje się, że rewolucya musi być dziełem sztuki, bo nigdy nie chcą się przyznać do winy i nie chcą uznać, że są pewne rzeczy i stosunki, które całkiem logicznie sprowadzają powszechny przewrót. Drugi

tom, noszący specjalny tytuł: „rewolucya i reakcya w jesieni roku 1848,“ wyszedł w r. 1870. Tu autor dawniejsze opowiadanie uzupełnia obrazem stosunków w innych prowincjach monarchii habsburskiej. Trzeci tom: „Wstąpienie na tron cesarza Franciszka Józefa I-go,“ wydany w r. 1872 zawiera bardzo dokładny i szczegółowy opis zakulisowych prac i walk, które się skończyły ustąpieniem cesarza Ferdynanda i wyniesieniem na tron 18-to letniego synowca jego arcyksięcia Franciszka Józefa, w którego imieniu niejako z władzą dyktatora miał ocalać monarchią i przywracać porządek dumny i szorstki, ale przytém bardzo niezdolny książe Windischgraetz. Czwarty tom niewiadomo dla czego, ma się składać z trzech części czyli tomów, pod ogólnym tytułem: „Kampania zimowa w Węgrzech i oktrojowana konstytucya.“ Pierwsza część ukazała się r. 1876 i opowiada wkroczenie księcia Windischgraetza do Węgier, oraz równoczesne rokowania dyplomatyczne, wywołane zwłaszcza sprawą włoską. Druga część czwartego tomu, stanowiąca znowu nowy tom o 568 stronicach ukazała się teraz, trzecia i ostatnia ma się pojawić później.

Tom IV-ty opowiada wypadki od 1 stycznia do marca r. 1849, opisując bardzo dokładnie obrady sejmu kromierzyskiego nad konstytucją, tudzież zajścia na polu wojny w Węgrzech. P. Helfert wówczas zasiadał w gabinecie księcia Szwarzenberga, który już w styczniu był zdecydowany rozpedzić pierwszy sejm austriacki. To też teraz jako historyk obrady sejmu przedstawia tendencyjnie, aby wykazać konieczność zamachu stanu. Składający się przeważnie z ludzi młodych, doktrynerów, nie obeznanych dokładnie z realnymi potrzebami społeczeństwa, pierwszy sejm austriacki popełniał istotnie błędy, jakim niezawodnie było np. zniesienie szlachectwa, gdy zupełnie wystarczyło uchwalić, aby nadal tytuł szlachecki nie nadawał żadnych przywilejów w dostępowaniu urzędów. Ale rząd świątły, któryby był szczerze pragnął porozumieć się z sejmem, a nie szukał pretekstu do rozpedzenia go, byłby łatwo skierował prace sejmu na właściwe drogi. Poza parawanem sejmu, obradującego w Kromierzyżu, pomiędzy Ofomuńcem, gdzie przebywali z dworem ministrowie, a Budą, gdzie rezydował „dyktator“ książe Windischgraetz, toczyły się ciągle układy co do ustroju, jaki po rozpedzeniu sejmu miał być nadany Austrii. Książe Windischgraetz bronił zasad historycznych, a zatém przemawiał za poszanowaniem dawnych organizmów prowincjonalnych i za oparciem rządu na szlachcie, gdy przeciwnie książe Szwarzenberg i hr. Stadion dążyli do systemu czysto biurokratycznego, który też później usiłował przeprowadzić baron Bach.

Przechodząc do spraw węgierskich, które zajmują główną część niniejszego tomu, musimy przedewszystkiemi przypomnieć, że baron Helfert do madziarów pała nienawiścią niemieckiego a zarazem słowiańskiego biurokraty. Jest to niejako Bach w podwójnym wydaniu, Oczywiście więc w dziele jego nie napotkasz ani jednej z tych uwag, które można przytoczyć na uwiecznienie madziarów, jakoż nagła

zmiana tronu i wyniesienie młodego arcyksięcia Franciszka Józefa, nie korowanego na króla węgierskiego, jak przepisywało dawne prawo, mogło nawet bardzo lojalnych madziarów skłonić do przereczenia się na stronę obrony krajowej. Pod względem czysto militarnym węgry wówczas dokazali rzeczy nadzwyczajnych, choć najświetniejszy epizod rozpoczyna się dopiero w kwietniu r. 1849, a zatem nie wchodzi jeszcze w ramy niniejszego tomu. Ale baron Helfert z swego jednostronnego i skoszlawionego nienawiścią punktu widzenia, nie uznaje po stronie madziarskiej żadnych zalet, ni zasług. Świetny marsz czy odwrót Görgeja przez kraj słowacki do Tokaju, w „dziejach“ Helferta przedstawia się jako pospolita ucieczka. Natomiast odwrót generała austriackiego Schlika, któremu się udało ująć przed oddziałami Dembińskiego i Klapki, wystawia jakby jaką drugą anabasis Ksenofonta. Z szczególném zamiłowaniem opisuje bana Jelczyca, tego faufarona militarnego i intryganta politycznego, który później umarł w obłąkaniu; oraz serbskiego patriarchy Rajczyca, który dowodził bandami ochotników serbskich, popełniających najbrutalniejsze gwałty w południowych Węgrzech. Jako tako nieuprzedzony dziejopisarz dziś musi uznać, że chorwaci i serbowie wówczas popełnili bardzo grubo błąd, gdy się dali użyć jako narzędzie kamaryli niemieckiej. Dalej prawdziwie austriacki dziejopisarz, nie zaślepiony nienawiścią szczerą, łatwo przyjdzie do wniosku, że zamiast walczyć na ostro z madziarami, należało raczej pojednać ich, jakoż w r. 1867 osiągnęli wszystko a nawet więcej, aniżeli się domagali w r. 1848. Ale p. Helfert nie należy do dziejopisarzy zdolnych to zrozumieć i przyznać.

Ciekawym jest ten ustęp dzieła, który się odnosi do wezwania pomocy rosyjskiej. Książę Schwarzenberg jako dyplomata, oglądający się na zagranicę, był stanowczo temu przeciwny. Tak samo były minister baron Wessenberg ostrzegał, że lepiej uczynić jak największe ustępstwo, aniżeli wzywać obcej pomocy. Natomiast generałowie, począwszy od księcia Windischgraetza, tego najnieodolniejszego z wszystkich dyktatorów, nie myśleli o niczem, jak tylko o spiesznem przywołaniu pomocy. Wreszcie jeden z generałów austriackich Puchner, przparty w Siedmiogrodzie do ściany przez Bema, na własną odpowiedzialność wezwał pomocy stojącego w Bukareszcie generała Lüdersa. Na tém kończy się tom niniejszy.

E. L.

KRONIKA MIESIĘCZNA.



Sytuacja ogólna państw europejskich.—Narodowość w stosunku do państwa. —Uгода kościelno-polityczna w król. Pruskiem. —Rzut oka na ruch umysłowy wśród społeczeństwa polskiego: Prelekcye w Warszawie Brandesa („O poezyi polskiej XIX-go wieku) i Janikowskiego („O wyprawie afrykańskiej“). — Posiedzenia Akademii umiejętności w Krakowie: wydziału matematyczno-przyrodniczego i filologicznego. — Odezwa zjednoczonego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie do artystów w sprawie konkursu do projektowanego Albumu z reprodukcji prac artystów polskich zamiast dotychczasowych premii.—Stary obraz Władysława Jagiełły w katedrze sandomirskiej.—Zjazd nauczycieli szkół średnich w Krakowie d. 20, 21 i 22 kwietnia.—Sprawozdanie z odczytu prof. Ćwiklińskiego (Wykopaliska Schlimana) w Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu. — Posiedzenie wydziału historycznego Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu. — Sprawozdanie Tow. pomocy naukowej imienia Karola Marcinkowskiego w Poznaniu za rok 1885-ty (45-ty swego istnienia). —Teatr w Warszawie („Dzisiejsi“ Gawalewicz; „Antea“ Wł. Okońskiego (Al. Świętochowskiego); „Wigilia 8-go Andrzeja;“ „Romans paryzki“ Feuilleta).—Z ruchu muzycznego (Wieczory Tow. muzycznego: benefis dyr. Noskowskiego, Fr. Zawadzki; p. Magde Wickham, Korostaszewski. Opera w Teatrze wielkim: Jenny Broch, Sembrich-Kochańska, „Lohengrin,“ Wagnera, zdyskredytowany przez p. Moskowicza. Echo muzyczne i muzyka klasyczna). — Z ekonomiki: Nasz rynek pieniężny; z Tow. popierania przemysłu i handlu; sprawa handlu ze wschodem; spółki zarobkowe; szkoły fachowe.

Rzuciwszy okiem na stosunki polityczne państw europejskich i spojrzawszy na ich położenie wzajemne, możnaby przyjść do przekonania, że żyjemy w chwili tak serdecznego zaufania mocarstw do siebie, iż nie ma sposobu objawić go dotykałniej, jak, uzbroiwszy się od stóp do głów, czuwać nad tém, żeby jaka przypadkowa katastrofa nie zamąciła tego najserdeczniejszego spokoju. Rosnące budżety wojenne, przy zaniedbaniu innych gałęzi obowiązków publicznych, udoskonalanie środków i narzędzi morderczych, organizowanie jak najszer-

szęj gotowości obrony w „pospolitém ruszeniu,” wszystko to ma służyć do urzeczywistnienia idei: „si vis pacem, para bellum.” Wzburzone na półwyspie bałkańskim interesa, kryjące się w nierozwiązanej kwestyi wschodniej, nie mniej i gwałtowne poruszenia socjalistyczne wśród mordu i pożogi na zachodzie, nakazują czujność tym, którzy, przekształcając państwo na opiekuna i gospodarza wszechwładnego w najdrobniejszych interesach prywatnych, wzięli na siebie z pobudek filantropijnych i oportunistycznych obowiązki urzeczywistnienia doktryn, które wprawiają w niezwykły ruch wszelkie elementarne siły społeczeństw europejskich.

Ogólna nieufność ubiera się przy tém wszystkiém w maskę ufności jak najserdeczniejszej. Cóż więc dziwnego, że w obec biedy i trwogi ekonomicznej, przy naprężonych stosunkach politycznych, zatruwanych co dzień przez poządliwość namiętności narodowych, że, mówię, w obec takich konstelacyi narody żyją pod strachem nieprzewidzianej jakiegóś katastrofy.

W chwili, gdy Napoleon III-ci wprowadzał do prawa międzynarodowego ideę narodowości, jako pierwiastek orzeźwiający i krzepiący aspiracye narodowe, nie przewidywał nikt, że państwa najpotężniejsze pod względem militarnym ukreą z tego materiału bicz do smagania swobody ruchów indywidualności drobniejszych, że znajdą w tym arsenałach środki jak najskuteczniejsze tępienia narodowości, fizycznie słabszych przez militarnie mocniejsze. Zepchnąwszy bowiem idee narodowości do znaczenia rasy, jedności plemienia, obudzono w masach, zorganizowanych w danę chwilę najlepiej pod względem państwowym i militarnym, instynkta dzikie, które szukają dobra i powodzenia swego w wytępieniu innych indywidualności słabszych, z któremi je powiązał łańcuch wypadków dziejowych.

Nie możemy na tém miejscu rozprawić w sposób wyczerpujący o stosunku indywidualności narodowych do idei państwa nowożytnego, nie zamierzamy też rozbiierać momentów, które składają się na wytworzenie tej wielkiej potęgi politycznej, jaką w ręku państwa zaborczego stanowi idea narodowości, ponieważ pojęcie to nie jest jeszcze dokładnie sformułowane. Momenta, które się kryją, w pojęciu *narodowości* nie są dokładnie skryształizowane, ale znajdują się dopiero w chwili rozwoju,—rosną jeszcze—i nie można wiedzieć, co majstrowie gwałtownej dzisiejszej etnografii z nich raczą zrobić, jakie pęta z nich ukują.

Koniec wieku XVIII-go obruszył się przeciwko nadużyciom przywilejów stanu i podeptał je, nie oszczędzając nawet korony, jako stanu uprzywilejowanego. W miejsce wywróconych dawniejszych potęg uprzywilejowanych, postawiono nową abstrakcyą uprzywilejowaną w idei państwa wszechwładnego, które wciskając się wszędzie ze swoją opieką i gospodarką, obraża często prawa oraz interesa prywatne i narodowe, przygotowując reakcyą gwałtowniejszą może jeszcze od powyższej

wzmiankowanej, — reakcją, która nie waha się już obnosić po całym świecie teorii, podkopujących kościół, państwo, rodzinę, bezpieczeństwo własności, zwyczaje i obyczaje.

W obec namiętnych, żadną potrzebą nie wywołanych pokuszeń księcia Bismarcka, w celu wytepienia narodu polskiego dla samolubstwa państwa niemieckiego nie będzie bez korzyści dla społeczeństwa polskiego, gdy sobie przypomni warunki, wśród których nakazuje mu nauka stać wytrwale w obronie tych skarbów rodzinnych, których żaden naród wyrzec się nie może.

Narodowości nie można uważać za pojęcie jednoznaczne z państwem. Ani państwo nie jest w stanie uwięzić narodowości w uwidzianych przez siebie granicach, ani też narodowość nie jest często w stanie wypełnić obszernych granic władania państwowego. Istota narodowości a istota państwa nie są pojęciami, któreby się dokładnie pokrywały, któreby do siebie dokładnie przystawały na sposób np. dwóch kątów równoramiennych: *non congruunt*. Jedno państwo może okrywać berłem swoim kilka narodowości, czego dowodzi wiele państw europejskich; narodowość zaś nie w każdym stopniu swego rozwoju zdolną jest spełniać godnie i z pożytkiem dla ludzkości władzę państwa. Narodowość nie zawiera się w granicach jednego plemienia, ani w warunkach jednej krwi, ani w sferze jednego języka i jednego wyznania kościelnego; bo narodowość mająca znaczenie polityczne, jest dziełem wytworzonym przez koleje, które pewne gromady populacji w pewnych granicach terytoryalnych zamieszkałe, przechodziły; narodowość jest wynikiem i rezultatem organicznego rozwoju historycznego ludów; narodowość jest wyrazem zewnętrznym tej społeczności, której siły żywotne i potęgę polityczną składają, obok wskazanych powyżej momentów antropologicznych i etnograficznych, wspólne losy dziejowe, pamięć wspólnego szczęścia i nieszczęścia, nadziei i trwogi, wspólnego wesela i cierpień wspólnych. „Twórcą narodowości jest zatem czas; pierwiastkami zaś składowemi i pomocniczymi, z których wyrabia się pod wpływem dziejów potężny organizm narodowości, są: jedność języka, religii, pochodzenia, przyrodzonych własności kraju pod względem topograficznym, klimatycznym i geograficznym. Rozwój organiczny tych elementarnych potęg narodowości wpływa też stanowczo na organizację zewnętrzną tego ustroju politycznego, który państwem nazywamy.

„Politycy dzisiejsi, pod wpływem bałwochwalstwa dla wszechwładzy państwa, jakie rewolucya francuzka z nienawiści do przywilejów stanu ulegalizowała, widzą tylko ten ustrój zewnętrzny, a mało zwracają uwagi na owe znamiona i siły wewnętrzne, duchowe, głęboko w duszy ludności wyciśnięte jak: język macierzyński przy zwyczajach i obyczajach swojskich, — religia i ziemia ojczysta, tradycje przodków i pamięć ich wielkich czynów — nie mniej pomniki przeszłej i terażniejszej wielkości, właściwy kierunek oświaty, literatury i sztuki — a nadewszystko znajomość, cześć i miłość tych wszystkich rzeczy

jako swoich, ze sobą od wieków zrosniętych. To duchowe znamię nadaje narodowi jego indywidualność psychologiczną, wyróżniającą go od innych narodów. Byt polityczny narodu, jako ciało zależne od warunków zewnętrznych, może się zachwiać, a nawet chwilowo uleść, wskutek zmiany tych warunków; ale narodowość jako potęga duchowa nie ginie z upadkiem państwa; ona pozostaje i spełnia dalej swe zadanie w ogólnym rozwoju ludzkości. Zadanie to spełniać powinna nawet w obcym państwie, do którego przyłączoną została, żyjąc jako zdrowy i pożyteczny dla całości członek—byle znalazła warunki życia narodowego, których potrzebuje w tym stopniu jak roślina potrzebuje do swojego rozwoju ciepła, światła i powietrza. Gdzie zaś jej tego żywiołu odmówią, tam wegetować będzie wiekami, zarażając w nieuleczonym bólu nawet organizm, z którym ją gwałtem spojono (Irlandya). Uważając narodowość jako utwór i rezultat rozwoju dziejowego ludności nawet różnoplemiennę, ale zamieszkałą w pewnych naturalnych lub w trakcie dziejów ustalonych granicach, musimy temu utworowi przyznać opiekę praw wrodzonych i nabytych, musimy w stosunku do ludzkości uważać nie tylko za najświętszy obowiązek, ale i za prawo moralne każdej takiej jednostki dziejowej, gdy ona stara się wszelkimi godziwymi sposobami zachować te charakterystyczne znamiona, stanowiące jej przyrodzoną rację bytu. Każdy człowiek ma przyrodzone prawo do życia w kraju, w którym się urodził, do mówienia własną mową, do pielęgnowania zwyczajów i obyczajów rodzinnych, do sprawowania w kraju tych stanowisk publicznych, do których posiada uzdolnienie, słowem: ma prawo czynienia wszystkiego co się nie sprzeciwia równym prawom bliźnich. Gdy obok tego przychodzi jeszcze uznane przez cywilizacją dzisiejszą prawo własności, zadokumentowane przez wielowiekowe posiadanie puścizny po ojcach, zrosnięcie się duchowe z kawałkiem ziemi rodzinnej, wtenczas prawa wyżej wskazane muszą być dla każdego człowieka nieskończenie droższe; ale też i świętsze i nietykalniejsze w obec zakonu przyrodzonego. Jakkolwiek bowiem prawa pisane zdolne są zawarować tylko dzieciństwo materialne, to prawo natury, wypisane na sercach ludzkich, w równiej a nawet w trwalszej mierze uswieca i legalizuje posiadanie oraz wszelkie dziedzictwo duchowe. Zadanie państwa ograniczone jest w tej sprawie tylko do tego, aby prawo wszystkich obywateli ramieniem swoim osłaniało i równowagi ich podług sprawiedliwości strzegło, nie krępując w niczem rozwoju organicznego tych potęg dziejowych. Państwo zatem, które, zapominając o swoim zadaniu, chce samo sobie być celem, które według przemagających w daniej chwili doktryn, nie waha się wkraczać w sferę praw prywatnych, które, przekraczając swoje atrybucje moralne i polityczne, chce gwałtem przetworzyć wszystkich obywateli na jedną modłę, dopasowując ich duszą i ciałem do swoich zamiarów zaborczych, które druzgocąc w tej robocie mechanicznęj uczucia i prawa jednostek, nawet tak drogie jak narodowe i tak święte jak religijne—takie państwo wywraca

przyrodzony porządek rzeczy, popełnia bezprawie olbrzymie i nieustające, w którym się tyle krzywd i bólów mieści, że je Bóg jeden policzy." (Zob. X. M. Morawski: „Chryścjanizm i narodowość.“ w Przegł. powsz. 1886 r. zes. marzec, str. I--VIII. Porównaj Rob. Mohl: Encyklop. d. Staatswissenschaften, Tübing. 1859, str. 576—582 i. dr. Bluntschli: Allgemeines Staatsrecht. München 1857, t. I, str. 73—77).

Dzisiejsi politycy pruscy nie uznają tych zasad, dla tego nie wahają się pomiatać prawami natury. Czy rozwój dziejowy pozostawi bezkarnie taki gwałt, wyrządzony ludzkości przez siłę brutalną — o tem nie może być wątpliwości.

Tymczasem prusaczyna kroczy na drodze obranej. Wnioski rządowe, skierowane przeciwko narodowości polskiej, przeszły już wszystkie formalności potrzebne do nadania formy postanowienia sejmowego temu aktowi przemocy!

Sprawa ugody kościelno-politycznej została wreszcie ostatecznie załatwioną przy pomocy pośrednictwa biskupa Fuldy, ks. Koppa, będącego jak się zdaje, tłómaczem zapatrywania się kuryi rzymskiej na tę kwestyą. Przy tem wszystkiém dobrodziejstwo tej zgody nie dosięgnie prowincyi polskich, bo dla W. ks. Poznańskiego i Prus zastrzegają się przepisy wyjątkowe!

Rząd pruski, ścigając narodowość polską w każdym kierunku pracy publicznej i prywatnej wyjątkowemi, upośledzającemi ją przepisami, zrzeka się tej najcelniejszej podpory, jaką znajduje każde państwo w sile indywidualności różnych narodów, wchodzących w skład jego! Pozornie rzeczy sądząc, mogłoby się zdawać, że prusaczyna znajduje się w tej kwestyi dzisiaj na stanowisku tych naszych politykujących poetów z 3, 4, i 5-go dziesiątka wieku 19-go, którzy, uważając narodowość za rzecz, której nie jesteśmy w stanie objąć ani się jój dotknąć, ale tylko czuć ją możemy — nie wahali się poświęcać jój najżywniejszych interesów materyalnych i duchowych — dla mamideł jak najbardziej zwodniczych, dla doktryn urojonych lub dla fantazyi niedouczonych dyplomatów.

I w Izbie panów pruskiej pokutują jeszcze podobne halucynacje politycznego kuglarstwa.

Odwróciwszy oko nasze od tego smutnego wizerunku położenia naszego, potrącić przedewszystkiém musimy o zjawisko nieco weselsze i pod wieloma względami pożyteczne, za jakie uważamy odczyty duńczyka Brandesa „O poezyi polskiej XIX-go wieku,“ i ziomka naszego Leopolda Janikowskiego: „Z podróży po Afryce.“ Kronika „Bibl. Warsz.“ rozporządza atoli zanadto ciasnemi ramami, abyśmy mogli kusić się o rozbiór choćby najtreściwszy przedmiotów tak wielkiej doniosłości społecznej i naukowej: zadaniu temu sprostaćby tylko mogło studyum specjalne, a sprawozdanie z samej treści prelekyi

po t \acute{e} m, co ju \acute{z} opowiedziały pisma codzienne w chwili najodpowiedniejszej nie przyuosiłoby po \acute{z} ądanej korzyści.

Wystąpienie gło \acute{s} nego krytyka duńskiego, nieznanego naszego języka, z odczytem o arcydziełach poezji naszej nasuwało pewne wątpliwości, czy uczone prelegent, reprezentujący kierunek realistyczno-pozytywny w dziełach swoich, potrafi dokładnie ocenić przedmioty artystyczne i duchowe poezji naszej w wieku bieżącym. Metoda porównawcza uczonego krytyka zawiodła atoli wielu krótkowidzów literackich; bo p. Brandes potrafił dosyć szczęśliwie wniknąć w ducha epoki i tych kierunków myśli i uczuć, któremi społeczeństwo polskie żyło przez kilka dziesiątków lat naszego wieku; jakkolwiek niektóre szczegóły sprostowaćby należało. Ponieważ odczyt ten mamy ju \acute{z} w całości wydrukowany w odcinku „Gazety Polskiej,” przeto szczegółowy rozbiór tego ciekawego studyum nie byłby bez korzyści dla badaczy nowszej literatury naszej.

Cztery odczyty Leopolda Janikowskiego „Z podróży po Afryce“ nie przedstawiały rezultatów naukowych t \acute{e} j wyprawy polskiej na wybrze \acute{z} Afryki zachodniej i do gór kameruńskich, któreby na ogół umiejętności geografii stanowczy wpływ wyrzeć mogły, ale były raczej powabną, bezpretensjonalną opowieścią przygód i kolei, jakie podróżnicy nasi w wyprawie do Afryki przechodzili. Obok tego opowiadał p. Janikowski o wielu faktach i spostrze \acute{z} eniach, które rzucają pewne światło na stosunki etnograficzne okolic kameruńskich, na zwyczaje i obyczaje ludów tamtejszych, a to wszystko z taką skromnością, że go \acute{z} aden słuchacz o przesadę nie posądzi, a relacja jego, której zapewne pisma drukować nie omieszkają, nie spotka się z tak poważnymi zarzutami, jakie przywaliły gło $\acute{s$ ne dzieło Stanleya pod tyt. „The Congo and the Founding of its Free State,” 1885, t. 2. (cf. S. Ruge w „Deutsche Litteratur Zeitung.“ Berlin 1835, nr. 5).

W Akademii umiejętności w Krakowie odbyło się dnia 20 marca posiedzenie Wydz. matem. przyrodn. pod przewodnictwem dyrektora d-ra Teichmana. Sekretarz dr. Kuczyński przedstawił rozprawę prof. Frankego pod tytułem: „O kręceniu się ciała stałego około punktu,” i odczytał nadesłaną przez autora treść t \acute{e} j rozprawy. Sekretarz przedstawił pracę pod tytułem: „Rosae a C. D. Dre Wołoszczak in agro Leopolitano anno 1885, lectae auctore H. Braun,” i rozprawę p. S. Dicksteina: „O twierdzeniu Crocchi'ego.“ P. Gotfryd Ossowski przedłożył i odczytał rozprawę: „O Wołynicie,” objaśniając rzecz okazami. Prof. dr. Szajnocha przedstawił fotografie ryb kopalnych z Monte Bolca. Rozprawy pp. Brauna, Dicksteina i Osowskiego oddano cztonkom Wydziału do sprawozdania na najbliższ \acute{e} m posiedzeniu, rozprawę zaś prof. Frankego odesłano do komitetu wydawniczego tudzież postanowiono ogłosić po raz trzeci konkurs do nagrody

z funduszu d-ra Kretkowskiego, za rozwiązanie zadania z Algebry, gdyż dwa pierwsze terminy upłynęły bez skutku.

Dnia 31 marca, odbyło się pod przewodnictwem d-ra Estreichera zwyczajne posiedzenia Wydziału filologicznego, na którym prof. Morawski odczytał referat o rozprawie p. M. Kawczyńskiego, p. t.: „Studia Romańskie: I. Romański wokalizm,“ polecił ją wydziałowi. Następnie sekretarz złożył pracę p. J. Hanusza p. t.: „O języku ormian polskich: I. Wyrazy zebrane w Kutach nad Czeremoszem.“ Wydział uchwalił obie wymienione prace ogłosić w swych wydaniach.

Na posiedzeniu administracyjnym, Wydział wybrał dwóch delegatów prof. Tarnowskiego i Malinowskiego do komisji, która na żądanie Wydziału krajowego, ma wydać opinią w sprawie dwu języków wykładowych w szkołach Galicyi wschodniej. Odezwę c. k. komisji centralnej dla zachowania zabytków sztuki i pamiątek historycznych, proszącą Akademię o udzielenie klisz podobizn zabytków do zamierzonego przez c. k. komisję atlasu, wydział odstąpił do załatwienia komisji historii sztuki. Z prac nadesłanych na konkurs z fundacji ś. p. Kaspra Bieleckiego, wydział zgodnie z wnioskiem referenta, pierwszą nagrodę przyznał autorowi rozprawy na temat zadany, p. t.: „Stosunki Stefana Batorego z humanistami zagranicznymi; drugą nagrodę autorowi rozprawy na temat dowolny, p. t.: „Wzajemne stosunki i sądy o sobie Mickiewicza i Krasińskiego.“ Po otworzeniu kopert okazało się, że autorem 1-jej pracy jest Ignacy Meyer, 2-jej zaś Jan Michał Rozwadowski, obaj słuchacze 1-go kursu Wydz. filoz. Uniw. Jag.

Dyrekcya zjednoczonego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie postanowiła w miejsce dotychczasowych premii, wydawać album z reprodukcji prac artystów polskich. Album na rok bieżący w okładce artystycznej, złożone będzie z pięciu tablic, z których jedna kolorowa (chromolitografia). Dla uzyskania potrzebnych tablic, ogłasza się konkurs na następujących warunkach: 1) Przedmiot i rodzaj tablic dowolny. 2) Rysunek lub akwarella ma być zupełnie wykończona. 3) Wielkość rysunku nie mniejsza niż 25 × 31 centymetrów; akwarelli zaś należy ściśle przestrzegać 21 × 29 centymetrów. 4) Rysunek do karty tytułowej (okładka) ma być w jednym lub dwóch tonach bez napisów;—przedmiot ma jasno tłómaczyć cel i charakter albumu. 5) Termin do nadesłania prac konkursowych naznacza się na 15 maja r. b. do godziny 4-jej po południu. Prace nadesłane po tym terminie, bezwarunkowo nie będą przyjęte do konkursu. 6) Nagrody za najlepsze prace, uznane za kwalifikujące się do albumu i przyjęte przez sędziów konkursu są następujące: za akwarellę a. w. złr. 300 za rysunek I-szy a. w. złr. 250, za rysunek II gi a. w. złr. 150 za okładkę a. w. złr. 250. Prace nagrodzone stają się własnością Towarzystwa wraz z prawem reprodukcji. 7) Przesyłka na koszt i pod adresem Towarzystwa: Kraków, Sukiennice.

Ks. Apolinary Knothe z Sandomierza donosi „Przeglądowi Katolickiemu“ o odkrytym przez siebie wielkim, półczwarta łokcia wysokim portrecie jednego z królów w przedsionku katedry sandomierskiej. Portret malowany na drzewie, na jednolitej grubiej desce lipowej, na pokładzie gipsowym, według domysłów ks. Knothe jest portretem zwycięzcy z pod Grunwaldu, jednego z dobrodziejów tej wspaniałej świątyni. Portret wisiał w przedsionku katedry w kącie, od strony północnej, przy zbiegu dwóch ścian, zasłonięty nieco statua wysoką Matki Boskiej i dla tego niczyj jej nie zwracał dotychczas uwagi. Do wniosku, że to portret Jagiełły, doszedł ks. Knothe z wiadomości, iż Jagiełło był jednym z największych dobrodziejów tej świątyni i porównania portretu z opisem postaci króla i jego rysów, jaki znajdujemy u Długosza. O starożytności dzieła można wnosić tylko z jego cech zewnętrznych, żadnego bowiem napisu ani daty ks. Knothe nie znalazł.

W dniu 20, 21 i 22-im kwietnia odbył się w Krakowie zjazd członków Towarzystwa nauczycieli szkół średnich, na którym rozbie-rano kwestye nader ważne w obec wymagań dzisiejszej nauki pedagogii, mianowicie: dr. German przedstawił w obszernym wywodzie kwestyą co do nadmiernego obarczania pracą uczniów szkół średnich, i przyszedł do wniosków następujących: 1) Plan nauki, obowiązujący w szkołach średnich, należyte wykonany, nie może być źródłem istotnego obciążenia młodzieży; 2) objawy obciążenia dają się stwierdzić tylko sporadycznie i mają źródło: a) w niedostatecznym przygotowaniu znacznej części młodzieży na wszystkich stopniach nauki, b) w niezawsze harmonijnym traktowaniu wszystkich przedmiotów nauki przez nauczycieli jednej klasy.

Nad wnioskami temi rozwinęła się obszerna dyskusya, po której wyczerpaniu przyjęto tezy referenta z tym dodatkiem, iż objawy obciążenia mają także źródło w braku należytej harmonii między intelektualnym a fizycznym wychowaniem.

Prof. Leopold Świecz przemawiał w sprawie umundurowania młodzieży szkolnej, dowodząc, że środek ten przyczyni się do obudzenia większego zmysłu porządku i większej karności szkolnej, podtrzyma ducha wspólności, ściśni węzły koleżeństwa, zatrze różnicę stanów i ułatwi kontrolę nad uczniami zarówno władzy szkolnej, jak nadzorowi domowemu. Po ożywionej nader dyskusyi wniosek referenta przyjęto 75-iu głosami przeciw 43-ym. Prof. Harwot rozbi-
rał kwestyą uregulowania stosunków służbowych nauczycieli szkół średnich, które znajdują się w tak anormalnym położeniu w obec położenia materyalnego i urzędniczego stanu nauczycielskiego w reszcie Europy, że mają prawo domagać się reformy jak najgruntowniejszej. Dr. Bandrowski przedstawiał wnioski wydziału w sprawie szkół przemysłowych, które po dłuższej dyskusyi uchwalono w następującej redakcyi: 1) Pożądaną jest, aby kraj pokrył się rozległą siecią

niższych szkół przemysłowych wszelkiego rodzaju, a mianowicie: *a)* aby w kilku miejscowościach, najwybitniejszych pod względem przemysłu urządzono szkoły majstrów; *b)* aby w miastach, posiadających żywszy ruch rzemieślniczy powstawały ogólne szkoły rzemieślnicze; *c)* aby w każdej miejscowości przemysłowej zaprowadzono naukę uzupełniającą dla czeladzi przemysłowej; *d)* poleca się wydziałowi, aby się postarał o wygotowanie jednolitego planu naukowego, obowiązującego wszystkie w kraju istniejące szkoły przemysłowe najniższej kategorii. 2) Przed zupełnym zorganizowaniem i rozwinięciem wyższych szkół przemysłowych we Lwowie i Krakowie nie jest pożądanym zakładanie nowych szkół tego rodzaju. 3) Pożądanym jest: *a)* aby zarząd szkół przemysłowych w Galicyi był jeden; *b)* aby w skład krajowej komisji dla spraw i szkół przemysłowych wszedł pedagog, obeznany z potrzebami szkół przemysłowych i przemysłu krajowego; *c)* aby inspekcją krajowych szkół przemysłowych powierzono pedagogom, obeznanym z istotą tychże szkół. 4) Pożądanym jest, aby w obu wyższych szkołach przemysłowych urządzono kursa pedagogiczne dla kandydatów na nauczycieli szkół niższych przemysłowych, jak to się dzieje za granicą.

W dalszej dyskusji przyjęto wnioski d-ra Samolewicza, oświadczającego się przeciw pomnożeniu liczby godzin dla języka polskiego, odsyłając równocześnie wnioski referenta co do rozkładu przedmiotu nauki języka i literatury polskiej w klasach wyższych do wydziału z poleceniem ułożenia instrukcyi do nauki języka, którą po zasięgnięciu opinii kół nauczycielskich powinien przedstawić radzie szkolnej do rozbioru i decyzji.

Następnie przedstawił prof. Harwot wnioski swoje, odnoszące się do wewnętrznej organizacyi stanu nauczycielskiego, a zawierające następujące postulata: *a)* mają być zaprowadzone częściowe egzamina nauczycielskie z filozofii po 1-ym i 4-ym roku; *b)* kandydaci powinni odbierać w uniwersytecie gruntowne wykształcenie pedagogiczno-dydaktyczne przed objęciem obowiązków nauczycielskich. W rozprawach, jakie się w tej sprawie odezwały, przestrzegał prof. Straszewski przed zbytnią rutyną i przed narzucaniem wszystkim nauczycielom jednéj metody, bo nie należy zabijać indywidualizmu i samodzielności nauczyciela ¹⁾. Natomiast domagał się prof. Straszewski od nauczycieli szkół średnich gruntownego i wszechstronnego wykształcenia filozoficznego, aby nauczyciel, chociaż jest rzecznikiem

¹⁾ W relacyi tej zechodzi pewna niejasność pojęć, bo metoda wypróbowana doświadczeniem i na nauce pedagogii oparta nie stanowi bynajmniej więzów mechanicznych, któreby indywidualność nauczyciela w czémkolwiek krępować mogły: owszem na szerokiej podstawie naukowej jest dosyć swobody dla pedagoga obeznanego z metodologią szkoły; ale nie ma żadnego pola dla improwizacyi nieudolnych nauczycieli, którzy swoje widzimisię prawemby mieć chcieli.

Red.

tęj lub owęj szkoły filozoficznej, „potrafił ogarnąć rzeczy w pewnym widoku ogólnym.“ (Śniadecki), ponieważ w szkole potrzebném jest harmonijne współdziałanie sił nauczycielskich i jeden i ten sam pogląd filozoficzny na rzeczy.—Pogląd p. Str. mieści w sobie opinie, przekraczające zakres pedagogiki praktycznej.

Prof. Smolka zwrócił też uwagę zgromadzenia na niebezpieczeństwo, jakim podobne pojmowanie zadania filozofii groziłoby nauce filozofii w uniwersytecie, gdyż przy takim ideale nauki filozofii zepchnięto by wydział filozoficzny uniwersytetu na stanowisko szkoły fachowej, powołanej wyłącznie do kształcenia nauczycieli szkół średnich.

Ostatecznie przekazano pierwszy wniosek prof. Harwota wydziałowi do zbadania; co do drugiego zaś, to ten przyjęto z poprawką prof. Straszewskiego, iż koło nauczycieli uznaje konieczną potrzebę gruntowniejszego i ogólniejszego wykształcenia filozoficznego kandydatów nauczycielskich oraz łączącą się z tém potrzebę pomnożenia katedr filozofii w uniwersytecie.

Po załatwieniu zwykłych formalności porządkowych, zjazd nauczycieli szkół średnich zamknięty został po trzechdniowych ożywionych dyskusjach nad sprawami obchodzącymi w wysokim stopniu stan nauczycielski w Galicyi.

Na jedném z posiedzeń wydziału historycznego Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, miał odczyt prof. wszechnicy lwowskiej dr. Ćwikliński „o najnowszych wykopaliskach Schliemanna,“ którego treść zawiera się, według relacji naszego sprawozdawcy, w osnowie następującej:

Schliemann rozwinął działalność swoją w dwóch terytoryach: przede wszystkim w Trojadzie i Argolidzie. Do sławnej krainy trojańskiej przedsięwziął Schl. siedm wypraw, uwieńczonych pomyślnym skutkiem. W argolskiej zaś ziemi wykonał Schliemann, otoczony liczną drużyną robotników, pierwsze poszukiwania w zimie r. 1876/77.

Obszar argolski, położony w Peloponezie, rozpada się na trzy części, z których jedna jest właściwą Argeią, równiną 3—4 mil szeroką i równie długą, przerziętą niemal w środku przez rzekę Inachos. W tej płaszczyźnie, wznosząc się powoli ku północy, istniały w najdawniejszych wiekach starożytnéj ery miasta Nauplia, Tiryns, Argos, Mykenai, Mideia. Właściwe centrum tej równiny pod względem geograficznym i militarnym tworzy miasto Argos, czyli raczej akropolia jęj, stożkowata góra Larisa, pozycya rozległa i nadzwyczaj silna, dominująca nad całą równiną. Podanie sadowi téż na tę wyżynę pierwszą osadę Pelasgów, siedzibę mitycznych królów Phoroneusa i Danaosa. Jak w obec tej warowni powstać mogły inne silne warownie, mianowicie: Tiryns i Mykenai—było do niedawna zagadką; pozycye ich są bowiem niekorzystne i nie mogą uchodzić za pozycye sity obrounej obszaru Argei. Zagadkę tę rozwiązał przy pomocy archeologów kapitan generalnego sztabu pruskiego, Steffen, i wytkómaczył ją

w komentarzu, dodanym do znakomitych kart mykeńskich, które na podstawie dokładnych pomiarów sam wykonał i kosztem archeologicznego niemieckiego instytutu przed kilku laty ogłosił. Wojowniczy jakiś szczerp żeglarzy osiedlił się w porcie Nauplii; stąd posuwał się powoli naprzód. Najpierw zajął jeden z najbliższych pagórków i przemienił go na miejsce zbrojne; później nieco założono Mykenai i Mideia, epokę tę reprezentuje mityczna dynastia Perseidów. Pelopidzi, którzy z dzielną drużyną od północy, od Isthmosu koryneckiego posuwali się ku południowi, przeobrazili Mykenai w wielką warownią, zabezpieczyli ją przeciwko północy przez wysunięte w tym kierunku forty i przemienili ją zarazem na pozycją obronną przeciwko południowi. W tej epoce były Mikenai punktem środkowym potężnego państwa.

W roku 1876/77 zajął się Schliemann wyłącznie niemal odkopaniem dolnej akropolii mykeńskiej i oczyszczeniem jednego z wspaniałych sześciu kopulistych grobowców, znajdujących się poza obrębem warowni na terytorium dawnego miasta Mykenai. Rezultat tych kilkumiesięcznych prac, które następnie kontynuowało archeologiczne towarzystwo ateńskie, przewyższył wszelkie oczekiwania. Wydobyte z gruzów przedmioty ze złota, srebra i innych metalów, wyroby z gliny, mianowicie niepomierna ilość waz i naczyń z terracotty ujawniły odrębną kulturę, której okazy znaleziono następnie i w różnych innych miejscowościach Grecji i Azji. Kulturę tę ochrzczono mianem kultury mykeńskiej.

W następnych latach zajęty był Schliemann archeologicznemi badaniami w Orchomenos w Beocyi i w Troadzie, oraz publikacją dzieł swoich. Dopiero na wiosnę r. 1884 powrócił do Argolidy. Tą razą przeniósł swoją działalność na wyżynę Tiryntu. Prace rozpoczęte w r. 1884 kontynuował na wiosnę r. 1885, dzielnie poparty przez kilku archeologów, mianowicie przez dr. Dörpfelda, któremu powierzył techniczne kierownictwo robót. O rezultacie tych badań mówił Schliemann na zebraniach archeologów niemieckich w Wrocławiu w sierpniu r. 1884 i w Karlsruhe w r. 1885; w ostatnich zaś tygodniach roku 1885-go pojawiła się obszerna publikacja, która zdaje szczegółowo sprawę z przebiegu i wyniku poszukiwań dotychczasowych. Nader cennym dodatkiem do właściwego dzieła jest wstęp tajnego radcy Adlera, zawierający zarys historii najdawniejszego budownictwa na ziemiach Grecji.

Nie możemy w tej chwili powtórzyć szczegółowego opisu położenia murów warowni tiryneckiej, który podał dr. Ówikliński w swym wykładzie, ale wspominamy tylko w ogóle o osnowie tej ciekawej relacji. W obrębie górnej części fortecy odkrył Schliemann znaczne szczątki pałacu książęcego. Jest to pałac dosyć rozległy, w którym dwa przedewszystkiem oddziały wyraźnie się uwydatniają: wielka sala króla t. zw. „megaron“ wraz z przedpokojem, i mniejsza sala niewieścia; obie przytykają do dziedzińców, otoczonych kurytarzami i poko-

jami. Obok „megaronu“ króla odkryto łazienkę, której posadzka składała się z jednego odłamu kamienia breccia, ważącego 20,000 kilgr. W bliskości łazienki znajdowały się komnaty sypialne dla królewskiej rodziny, izby przeznaczone dla służby, spiżarnie i t. d. Budynek cały odznacza się dobrym rozkładem. Nie brak w nim było idealnego centrum, przy którym władzca, otoczony gerontami, czynił ofiary bogom i załatwiał sprawy swego królestwa. Centrum tem jest ołtarz Zeusa (Jowisza) „Herkeios“, zbudowany w kształcie dołu ofiarnego.

Architektom, którzy pałac budowali, wystawia to dzieło dobre świadectwo. Główne komnaty są łatwo przystępne i w odpowiedni sposób ugrupowane w około otwartych dziedzińców. Fundamenta pałacu stanowią wielkie bryły kamienne, połączone ze sobą bez cementu; mury wyższe aż do 1 metra wysokości składają mniejsze kamienie, zespojone gliną, następnie cegły suszone na słońcu.

Najwięcej bodaj rozgłosu przysporzą odkryciom w Tirynsie znalezione tamże liczne szczątki malatur, wykonanych al fresco na ścianach pałacu. W jednej komnacie znaleziono resztki malatury jeszcze na samej ścianie; w innych pokojach leżały kawałki bezładnie w gruzie, a ten gruz właśnie uchronił je od zupełnego zniszczenia, gdyż tym sposobem nie mogła się woda łatwo do nich przedostać. Malatury nie zakrywały całych ścian. Przyozdabiano raczej tylko cokół dolny, a może i fryz górny. W sali, w której się malatury przechowały in situ, oddzielony jest cokół dolny 60 centymetrów wysokości mający; ten jest przystrojony malaturami, a zakończają go w górze żółta wstążka z czerwonymi kreskami poprzecznymi i niebieska z czarnymi kreskami poprzecznymi.

W Tirynsie zatem napotykamy już ten sam rodzaj dekoracji ściennych, który w tak świetnych okazach ujawnia się w domostwach pompejańskich. Malatury tiryneckie przedstawiają różne ornamenta linijne, między niemi motywa, które do dzisiejszego dnia znajdują zastosowanie jako motywa tapet. Na dużych kawałkach ukazują się zwierzęta. Najciekawszy zaś fragment przedstawia buhaja w profilu, pędzącego w szalonym biegu; na jego grzbiecie klęczy jakiś mężczyzna, widocznie poskramiacz byka, który się produkuje ze swoją zręcznością w wskakiwaniu na grzbiet zwierzęcia.

Poszukiwania Schliemanna w Tirynsie wzbogaciły nadto archeologią obfitym zasobem naczyń i wyrobów z gliny. Należą one w przeważnej części do klasy naczyń, którą archeologowie nazywają mykejską lub naturalistyczną. W mniej znacznej liczbie reprezentowane są naczynia z dekoracją t. zw. geometryczną, opierającą się na kombinacji linii. Natomiast niemal zupełnie brak w Tirynsie naczyń późniejszego pochodzenia wyrobów prawdziwie greckiej ceramiki.

Nie możemy zapuszczać się tutaj w rozbiór kwestyi spornej co do tego, kiedy Tiryns został zburzonym. Prelegent dowodził, że miasto straciło samodzielność polityczną niezawodnie już na początku pierwszego tysiąclecia przed narodzeniem Chrystusa, wskutek zajęcia

Argolidy przez doryczyków w czasie gminoruchów greckich, że w wieku VII-ym zapewne, za czasów tyrana Pheidona ożywił się znowu nieco ruch na wyżynie tyryńskiej, że jednak argolijczycy, skoro wzrosli na siłach, stłumili to życie choć skromne i zmusili mieszkańców Tirynsu i Myken do upuszczenia swych siedzib.

W końcu zastanawiał się dr. Ówikliński nad pytaniem, kogo uważać możemy za twórcę warowni, grobowców i pałacu w Mykenach i w Tirynsie, i w jakim stosunku pozostaje kultura mykeńska do kultury, reprezentowanej przez pieśni Homera. Prelegent uważa za pewnik ten wniosek, że kultura mykeńska jest starszą od Homerowskiej i sięga II-go tysiąclecia przed erą chrześcijańską. Dowodu jednak pewnego na to nie ma. Że fenicyjanie wywarli wpływ na nią, nie ulega wątpliwości; sztuka mykeńska styka się również pod niejednym względem z sztuką egipską i górnoazjatycką. Z drugiej atoli strony mają wyroby i budowle mykeńskie i tyryńskie odrębny swój charakter. W pomnikach tych upatrywać musimy świadomy wyraz starogreckiego ducha, który zetknąwszy się z elementami przybyłymi z drugiej strony morza, już tak wcześniej stworzył pomniki zdolne podziw wzbudzić u nowożytnych narodów.

Na posiedzeniu wydziału historycznego Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, sekretarz zarządu, hr. Engeström, zawiadomił, że w tym roku wyjdzie VII-my tom „Roczników Towarzystwa,“ i że odpowiedni materiał już przygotowany. Następnie dr. Żebiański, nawiązując rzecz do wzmianki, uczynionej na jedném z poprzednich posiedzeń przez przewodniczącego wydziału, p. Wł. Bentkowskiego, jakoby w archiwum jednego z zamków w Chinach Mugdale, znajdowały się dokumenta urzędowe i akta polskie z czasu napadu mongolów, to jest z wieku XIII-go, oświadczą, że wedle informacji osób, które tą sprawą się zajęły, istotnie akta podobne mają się znajdować w rzezonym zamku, ale podjęte starania dotarcia do nich nie odniosły pożądanego skutku. Do zamku bowiem i do archiwum wzbroniony przystęp europejczykom pod karą śmierci. Być może, że dalsze starania, które się robią, odniosą pomyślniejszy skutek. Dalej dr. Erzepki referował w imieniu komisji o sprawie spisu nazw miejscowości niezamieszkałych. Na sprawę tę, będącą w należyтым rozwoju, zwracają uwagę uczeni, jako na fakt niepomiernej naukowców doniosłości. Profesor uniwersytetu berlińskiego, Brückner, pisze o niej w „Archiv für Slavische Philologie“ te słowa: „Zwykle uczeni ograniczają się na zbieraniu nazw miejscowości zamieszkałych i dodają dowody z dokumentów. Praca taka nie jest trudną, bo ją wszędzie, choćby i w Berlinie zrobić można; ale czego w Berlinie zrobić nie można, co wiele wymaga zachodów, a przez to do większej zasługi ma prawo, jest zbieranie starych, coraz bardziej się zacierających nazw miejscowości niezamieszkałych, ponieważ to można tylko na miejscu uskutecznić. Byłoby to piękném zadaniem dla towarzystw historycznych

w Meklemburgii, na Pomorzu, w Braundenburgii i t. d., gdyby one przez członków swych przedsięwzięły odnośne poszukiwania. Polskie Towarzystwo naukowe w Poznaniu rozpoczęło zbieranie nazw miejscowości niezamieszkałych, a widząc z gazet, że otrzymuje bogate zbiory nazw tego rodzaju. Przykład taki należałoby naśladować wszędzie, zwłaszcza zaś we wschodnich Niemczech, gdzie często właśnie już tylko w nazwach miejsc zamieszkałych i niezamieszkałych zachowały się ślady zaginionych plemion.“

Według ostatniego sprawozdania za 45-ty rok swego istnienia, Towarzystwo pomocy naukowej imienia d-ra Marcinkowskiego w Poznaniu wspomagało 163 stypendystów. Dochód Towarzystwa w ciągu ostatniego roku wynosił 72,088 marek 55 fen., rozchód zaś 62,321 m. 86 f. Pozostało remanentu 9,766 m. 69 f. Z pomiędzy stypendystów Towarzystwa złożyło egzamin na nauczycieli gimnazyalnych 11, na aptekarzy 4, na chemików 2, na lekarzy 4, zaś 10 wyświęconych zostało na księży. Z pomiędzy ofiar, jakie w r. sprawozdawczym wpłynęły na rzecz Towarzystwa zaznaczyć trzeba: zapisy ś. p. Mikołaja Wirskiego z Bydgoszczy 11,000 mar. i ś. p. ks. dziekana Pałzewicza 15,000 marek.

Sporo nowości, od czasu naszej ostatniej kroniki zamieściły afisze teatralne, i gdyby o tym objawie decydowała tylko ilość... Wprawdzie nowości te, nowościami były tylko na deskach teatru, nam nie przyniosły żadnej niespodzianki: znane były częścią z druku, częścią z przedstawień na innych deskach. W każdym razie, fakt to pocieszający że na afisz coraz częściej wjeżdża nazwisko pisarza krajowego: chodzi tylko o to, aby ono tam jak najdłużej pozostawało. Tego ostatniego przywileju spodziewać się może jednoaktówka „Dzisiejsi,” dyalogowana przez p. Gawalewicza. Jest to jedna tylko, ale stanowcza scena, przeprowadzona między ponętą wdówką a młodym lekarzem, który ujęty wdziękami, a rażony kapryсами osoby światowej, radby dowiedzieć się nareszcie, czy znajdzie tam tyle przynajmniej dla siebie serca, ażeby mógł mu powierzyć szczęście całego życia. Przychodzi mu to niełatwo wobec snadź nawykłej do strategicznych manewrów pani, która raz demaskuje, to znów osłania swoje baterie, i tą grą wykwintnej zalotności bardziej jeszcze drażni przeciwnika. Odstręcza go ironią, niewiarą w jego uczucie, a już usuwającego się przyciąga spojrzeniem, wyrazem pełnym obietnic: chciałyby tylko uwierzyć w jego miłość, a natychmiast gotowa jest serce mu na rozścież otworzyć. On nie cofa się przed żadną próbą, a ona wybiera taką, która mogła tylko wykryć dzieciństwo jej charakteru i egoizm. Dowcipny lekarz zrećcznie zwraca tę próbę przeciwko niej samej, i skonfundowaną zalotnicę raz na zawsze, wytrzęziony, opuszcza. Szybki, stopniowo podnoszący zajęcie dyalog, zmierzający do niepewnego rozwiązania, ma nadto tę zaletę, że uwydatnia w miarę psychiczne wnętrze osoby zim-

nój, zalotnej a powierzchownemi przymiotami powabnej: wszystko to w grze pani Lüde, artystki w sam raz nadającej się do tego rodzaju postaci, złożyło się na całość żywotną; kiedy jednocześnie p. Prazmowski wyzyskał co się dało, zwłaszcza przy końcu sztuki, ażeby figurze lekarza nadać cechę męzkiej stanowczości. Duet przemknął harmonijnie, i przyjemne po sobie zostawił wrażenie.

Komu niekoniecznie chodzi na scenie o dramat, kto gotów przestać tylko na jego dalekiem zaznaczeniu, na domyśle, a lubi posłuchać rozprawy ujętej w akcyę nie wyłączającą nawet podskoków, ten także z przyjemnością wysłucha „Antei,” jednoaktówki Władysława Okońskiego (Aleks. Świętochowskiego), nazwanéj dramatem. I istotnie, jest to dramat, dramat wielki ze względu na godność ludzką i na interes duszy ludzkiej, bo ostrze jego zwraca się w stronę jęj najdotkliwszą — w swobodę i fizjologicznie najdrażliwszą, — w uczucie miłości: ale na scenie, do prawdziwego, według wymagań teatru uświęconych wiekami estetyki scenniczéj, dramatu, ma się on jak nasienie do rośliny. Czyli, w zarodzie posiada on wszystko, z czego, przy stosownym gruncie i uprawie, ma powstać dramat, brakuje mu tylko jego form, rozgałęzień i barw: jaśniej mówiąc, jest to rzucona myśl dramatyczna, nad której kilkuminutowym przebiegiem ciąży długa dyskusya dwóch niewolników ateńskich z wieku poperyklesowego. Obaj są to urwisy, na podobieństwo wszystkich niewolników, którzy na cności nie mają nic do zyskania, a będąc sami uważani za rzecz, obojętnie znajdują się względem czło wieka. Różnica między niemi ta, że jeden bierze poniżenie z pewną cyniczną rezygnacyą, drugi oburza się nad swym stosunkiem do ludzi wolnych, a zwłaszcza do własnego paaa, którego tyranją przeklina. Na domiar, ten pan zabiera mu jedyńą istotę, którą serce jego ukochało, towarzyszkę lat dziecinnych, z którą przebył najmiłsze chwile, ozłacane pieścizotami równéj jemu niewolnicy, póki losy ich nie rozłączyły. Teraz widzi ją znowu, wygraną w kości przez nowego pana, ale poto tylko ażeby się przekonać, że jego Antea raduje się nie z połączenia z nim, ale na widok piękności i bogactwa, którego u nóg pana ma stać się uczestniczką. Pocałunek złożony na ustach jęj przez nędznego niewolnika, kosztuje go życie, u którego kresu innego objawu uczucia ze strony ukochanej doczekać się nie może nad prośbę wyrażoną do pana, aby mu pozwolił przed śmiercią pożegnać się z matką. To uznanie się w swych prawach człowieczych, a przy rozpaczliwéj niemożności ich windykowania, jakie przedstawia Dulos, ta jego, mocą ocknionéj godności ludzkiej, pięść wzniesiona ku panu, a wyrażająca całą bezwładność przeciw uciskowi; poniewierka na jaką narażone jest uczucie najmocniéj wzruszające sercem; zawód jakiego uczucie to doznaje w samym przedmiocie; narreszcie ta krzycząca samowola, z jaką ktoś rozporządza życiem równego sobie, w porządku praw przyrodzonych człowieka; toż to istotnie wielki dramat, i nietylko starożytny, — tylko trzeba go zrobić. Tymczasem ukształcony widz z zadowoleniem spogląda na te zaznaczenia,

z przyjemnością słyszy zbudzone przez myślącego autora odgłosy społeczności starożytnej, w poprawnej dyceji pp. Kotarbińskiego i Prazmowskiego; tylko idąc na „Anteg“ niech sobie nie nabija głowy tém, że będzie uczestnikiem widowiska dramatycznego, bo dozna zawodu, na czém ucierpi wrażenie, jakie istotnie dać może obrazek zdjęty z atyckiego fresku.

O „Wigilii Ś. Andrzeja, jednoaktówce nieznanego autora pod kryptonimem Dominik, niewiele mamy do powiedzenia. Jest to obrazek ludowy, urozmaicony, jak zwykle, śpiewem, napisany bez pretensyi, ale nie bez pewnej zdolności scenicznej. Treść jego, podciągnięta pod znany obyczaj odlewania wosku i wróżb z tworzących się przezeń figur, nie odznacza się żadną pomysłowością; pojednanie starszych przez miłość młodszych nie jest ani nowe, ani głębokie. Charakterystyka ludu dosyć powierzchowną. Ale ponieważ autor, jak na pierwszy raz, nieźle obraca swemi figurami na scenie, warto mu poradzić, ażeby swe pomysły dramatyczne, jeżeli w nich trwać będzie, opierał na głębszej obserwacji, nie powtarzając szczegółów mocno przed nim wyzyskanych. Lud, lubo wielki konserwatysta, rusza się przecież, i trzeba śledzić te jego ruchy. Obrazek ten, jakkolwiek wątyły, wzmocniła dzielna gra artystów teatru Małego; panie Czosnowska, Micińska, p. Sikorski zwłaszcza, sprawili się z wybornym humorem; nie brakło go i innym. Dla takiego kompletu, wielce przydałby się repertuar ludowy, ale będący owocem prawdziwego i dojrzałego w tym kierunku talentu. Oto rzeczywiste zadanie tej trzeciej sceny, jej tryumf niezawodny przy artystach tak ku temu uzdolnionych, jakich tam jest kilku. Gdybym był Dyrektorem teatru, ogłaszałbym konkursy na utwory ludowe, albo płaciłbym za nie dobrze, bo przekonany jestem, że ten posiew wydałby obfite żniwo, na którym zyskałaby nietylko kasa teatru, ale i sztuka w ogóle. Niech świadczą utwory Anczyca, albo i dzisiejsza „Chata za wsią.“ Tylko broń Boże fuszerki, bo jeden tego rodzaju fabrykat zdyskredytuje i zniechęci tak, że później ciężko i dziesięcioma dobrami naprawić. Jakkolwiek „Wigilia Ś. Andrzeja“ nie należy do świetnych, nie odstrasza jednak; i wolimy ją przecie, niż to głupstewko francuzkie p. t. „Jegomość z pod białego królika,“ z którym jednocześnie wystąpił teatr Mały, jakby dla ostatecznego zaświadczenia, że bulwarowa Muza paryzka, nawet na naszej ulicy Danielewiczowskiej już przytułku znaleźć nie może. Czy długo jeszcze Teatr Mały będzie tak uporczywie gościnnym dla cudzych nonsensów?

Nie dziwimy się bynajmniej teatrowi Rozmaitości, który gościnności udzielił „Romansowi Paryzkiemu“ Feuilleta. Jest to sztuka, która może znieść reżysera, bo w niej przynajmniej znajduje on materiał do gry, barwność sytuacji, i nieco wzruszeń, wydobywających łyż zaskórne z pod powiek czułych słuchaczek. Jest tam, słowem kobieta, *comme de raison* upadająca. Cóż innego moglibyśmy dziś zaczerpnąć z dramaturgii francuzkiej, godnego przedstawienia publiczności polskiej; a rozbajającego krytykę, która ma siebie za urzędową?

Probowano raz, nie tak dawno, zaprodukować francuzki dramat Augiera, Dyanaę, z innéj sfery: kobietę wzniosłą, która dla idei ojczyzny czyni najwyższe poświęcenie, na jakie zdobyć się może niewiasta-obywatelka. Dramat ten, artystycznie wcale nie niższy od takiego na przykład „Romansu paryzkiego,“ przez krytykę krzyczącą najgłośnieję ogłoszony został za jakiś rodzaj skandalu. „Źle się dzieje!“ wołano. Nie pomogła szlachetna idea sztuki, polot poetyczny, aluzye do faktów społecznych i sztuka musiała zejść z pola pod ciosami krytyki, odstraszającej publiczność. Dla „Romansu paryzkiego“ musimy być względniejsi; bo jest tam, jak powiadamy, nasamprzód kobieta upadająca, przez nienawiść do ubóstwa a przez miłość dla sztuki, powracająca po upadku, ażeby się otruć u nóg męża i matki. Jest tam nadto rozpustny baron, finansista bez sumienia, który umiera śród orgii, w otoczeniu półnagich baletniczek. Są to efekta, któremi nie godzi się pogardzać, gdy kto chce swą publiczność zajmować i kształcić. Krytyka też okazała się nierównie względniejszą.

Niepoważymy się mówić z lekceważeniem o utworach téj miary pisarza jak Feuillet. Ale, bez względu na rzeczy poboczne, jego „Romans paryzki,“ rzecz niepoślednia jako powieść, dużo traci w przeróbce na scenę. Motywa, w powieści wybornie tłómaczące upadek bohaterki, na scenie tak błędną, że wobec nich wydaje się ona więcej waryatką niż ofiarą fatalnych pociągów. Wreszcie, ten stokroć już obrabiany temat upadku, te namiętności mieszczańskie francuzkiego kraju, tyle się już wytarły na scenach naszych, tak znudziły, że uznając nawet pewne niewątpliwe zalety utworu, nie możemy w nim dopatrzyć żadnego przybytku do skarbcza naszej sztuki. A język przekładu, Boże zmiłuj się! jakżeby się wytworny Feuillet zbudował tą polską reprodukcją swojego dzieła!

Wprawdzie przyznać trzeba, że sztuka ta graną jest wybornie. Panna Marczello w roli Heleny de Targy tryumfuje, gra rzeczywiście prześlicznie, zwłaszcza w akcie piątym, jako skruszona grzesznica. P. Rakiewiczowa wspaniale sprawia się jako mère-noble, czegoś tak pięknie odegranego dawno nie pamiętamy. P. Ładnowska przejmuje sympatya; pani Lüde czaruje humorem; p. Prażmowski z całą szlachetnością i młodzieńczą energią artystycznie miarkowaną przedstawia sztywną nieco postać zdradzonego męża; nareszcie p. Rapacki, lubo w tonie fałszywym, ale z życiem wciela się w cynicznego barona. Wszystko to tworzy grupę składną, harmonijną, kipiącą życiem, a przeto dla oka i ucha ponętną, tylko pod innemi względami zgoła bezpożyteczną. Szkoda czasu, wobec zadań wyższych. Spodziewać się należy, że przy niestychanéj dotąd obfitości produkcji krajowej w zakresie tak dramatu poważnego, jako i komedyi, zarząd teatru będzie miał coraz mniejszą potrzebę uciekania się do tłómaczeń. Jakoż, niebawem ma on zaprodukować kontuszową komedyą ulubionego pisarza Edwarda Lubowskiego, p. t. „Osaczony;“ podobno nawet w końcu tego miesiąca. Jeżeli to się sprawdzi, żatujemy, że warunki tech-

niczno-drukarskie zmuszają nas do odłożenia sprawozdania aż do kroniki następnéj.

Ostatnie wieczory Towarzystwa muzycznego zgromadziły pomimo nieznośnego gorąca w Salach reductowych, bardzo liczną publiczność; jeden z tych koncertów przeznaczony na beneficjusz dyrektora Noskowskiego, składał się przeważnie z dzieł beneficjanta, z których „Wędrowny grajek,” suita mazurków na mieszane głosy z akompaniamentem fortepianu na cztery ręce, były pociągającą nowością. Kompozytor powziął myśl zilustrowania muzyką ładnego wiersza Czesława Jankowskiego, i trzeba przyznać, że dokonał zadania swego w myśl poety, tworząc przy tém nową formę muzyczną, suitę mazurków, mieniących się różnym nastrojem w miarę rozwijającego się serdecznego uczucia, sarkazmu, lub grozy. Faktura muzyczna zaleca się piękném opracowaniem, a temata świeże, szczególnie w numerach drugim i szóstym, odznaczają się szczególnym wdziękiem.—W tymże koncercie, oprócz chórów Towarzystwa, i orkiestry amatorskiej, która coraz lepiej się organizuje, występowałi także: panna Pilzówna, bardzo sympatyczna artystka, a pomimo swéj młodości, już wielce wyrobiona śpiewaczka, oraz pan Franciszek Zawadzki, który piękny swój głos basowy, coraz to więcej kształci i ujmuje w karby poprawnej szkoły; wykonanie „Pieśni lirnika“ z opery Noskowskiego „Wiara, Miłość i Nadzieja,” dowiodło sumiennéj pracy i znacznego postępu we władaniu głosem, od czasu ostatnich jego występów na estradzie.—Na drugim znów koncercie, wystąpiła pierwszy raz w Warszawie, panna Madge Wickham amerykanka, wiolinistka. Młodziutka ta wirtuozka z naiwnością właściwą młodzieży, traktuje sztukę trochę powierzchownie; gra jéj jest śmiałą o pełnym tonie, prawie męzkim, lecz pozbawioną uczucia i głębszego pojęcia, nie odnajdzie się w niéj subtelnych wykończeń, delikatności i jasności we frazowaniu, natomiast jest dużo werwy, dowcipu i zamaszystości. Technika choć znaczna, pod względem wyrównania i czystości, wiele jeszcze pozostawia do życzenia. Z tém wszystkiém, pannie Wickham łatwiej niż komukolwiek droga sławy uściela się kwiatami, albowiem jest bardzo wdzięcznej, ujmującej powierzchowności, a wiadomo, że to nigdy nie było przeszkodą do kariery, a tém bardziej artystce.—Pan Korostaszewski baryton, były uczeń Konserwatorium warszawskiego, a później w petersburskiém u Ewerardiégo, przedstawił się jako śpiewak z niezwykle giętkim i pięknie brzmiącym głosem, widać jednak, że pomimo szukania nauki, nie dość systematycznie ją prowadził, gdyż skala jego głosu, nie jest jeszcze należyte wyrównaną, a niektóre brzmienia zupełnie wadliwie postawione. Szkodaby była więc, gdyby pan Korostaszewski poprzestał na dotychczasowych zdobycach i sądząc z dobrego przyjęcia przez publiczność, uważał się za skończonego artystę śpiewaka.

W Teatrze wielkim w operach: Cyruliku Sewilskim, Lunatyceze i Łucyi występowała gościnnie panna Jenny Broch, śpiewaczka kolo-

raturowa Opery wiedeńskiej. Dziwny to głos, składa się bowiem jakby z dwóch registrów zupełnie odrębnego brzmienia, z których niższy nie jest bardzo dźwięczny i czysty, a wyższy uformowany z falsetowych tonów, jest znuwu za słaby, by pomimo ładności brzmienia, mógł być wystarczającym. Piękną jest zaiste ta pajęcza tkanka, złożona z delikatnych pasażów, tryli i gam, czy to legato czy staccato branych, lecz niepodobna nią zastąpić wszelkich efektów ekspresyjnych; to też śpiew panny Broch do pewnego stopnia może być zajmującym, lecz wzruszyć ani zachwycić nie może.

Cóż za wielka różnica w porównaniu ze śpiewem Kochańskię; tutaj, pomimo wyższej jeszcze brawurowej koloratury, samo brzmienie głosu jest tak miłe, dźwięczne, a silne, że wszelkie stopniowanie cieniowania otrzymać można. Tłómaczy to, dla czego artystka nie potrzebuje wciąż uciekać się do tych popisowych łamigłówek, by zniewolić swych słuchaczy i dowolnie ich uczuciami zawładnąć. Ież to razy jedna piosenka wystarczyła do wywołania szalonego entuzjazmu, a jeśli w roli operowej, jak to miało miejsce w Łucyi z Lamermoru, Kochańska potrzebuje rozwinąć cały zasób techniki głosu, czyni to zawsze bez najmniejszej przesady. Naturalne pojęcie piękna, inteligencya oparta na doświadczeniu, i głos ślicznie wyrobiony, jednoczą się w niej nierozdzielnie, i na tém właśnie polega siła jęj talentu.

Jakże smutnem było wystawienie opery Wagnera „Lohengrin.” Główną rolę sposobem próby, śpiewał pan Moskowicz, sprowadzony przez dyrektora Rebiczkę w celu stałego zaanagażowania do opery naszej, jeśli by debiut się powiodł. Niestety nie powiodło się panu Moskowicz, nie powiodło się i panu Rebiczek, gdyż cała opera słabo była wystawioną, bez zrozumienia intencji autora, i dokładności w wykonaniu. Najsmutniejsza w tém, że takie eksperymenta szkoda naszej operze, budząc brak ufności w kompetencyi dyrekcji, zniechęcając artystów miejscowych, i odstrasżając publiczność od uczęszczania do teatru.

Echo muzyczne, na podstawie powodzenia, jakie doznawał repertuar koncertowy pani Barbi, powzięło szczęśliwą myśl wydawnictwa muzyki klasycznej, wokalnej ubiegłych wieków. Są tam śliczne arie i Canzony, Pergolęgo, Salvator Rosy, Scarlattiego, Porpory, i wielu innych najcelniejszych kompozytorów, których dzieła bardzo mało dotąd były u nas znane a tém mniej wykonywane. Dobrze więc że rozpowszechnią się te świetne wzory stylu, na których gust artystyczny śmiało kształcić się może.

Rynek pieniężny u nas może służyć poniekąd za bussole ogólne położenia ekonomicznego kraju, na nim bowiem, jak w zwierciadle odbijają się wszelkie objawy życia gospodarczego, jego pochylenia i zwroty to na gorsze, to na lepsze. Pochodzi to niewątpliwie ztąd, że w naszym organizmie ekonomicznym, ów nerw, rozprowadzający soki żywotne i uruchamiający pojedyncze organy, jakim jest

kredyt, nie funkcjonuje prawidłowo, nie pozyskał należytego rozgąłżenia, do wielu członków zgoła nie dochodzi, Skutkiem tego, podczas, gdy w jednych miejscach gromadzi się stosunkowo za wiele kapitału, w innych daje się uczuwać jego brak dotkliwy. Tak np., dzieląc ustrój gospodarczy na trzy główne organy: rolnictwo, przemysł i handel, dostrzegamy, że pierwsze dwa mają do rozporządzenia bez porównania mniej środków kredytowych, niż trzeci; co zaś do pojedynczych członków tych trzech pni zasadniczych, w rolnictwie lepiej jest obsługiwany kapitał nakładowy niż obrotowy, lepiej jest rozwinięty kredyt hipoteczny niż wekslowy i t. d. Nadwyżka kapitału ponad potrzeby, panująca w handlu, szuła ująć na zewnątrz, rozlewa się na inne pola pracy, lecz, nie znajdując tu właściwych sobie zbiorników, któreby regulowały jęj prawidłowém funkcyonowaniem, działa pokątnie i wytwarza drogi kredyt prywatny. Gdyby był choćby jeden więć w kraju bank kredytu przemysłowo-rolnego, kapitały znalazłyby w nim lokacyą, jakiej dziś nie mają i w której braku nie mogą téż otrzymać racjonalnego, z korzyścią dla interesów gospodarstwa narodowego, zastosowania.

Uwagi powyższe nastęrcza nam stan obecny rynku pieniężnego, a szerzój biorąc — rynku ekonomicznego. Przesilenie od lat 3 trwa nieprzerwanie, przedsiębiorczość wygasta, nowe zakłady przemysłowe powstają ospale, wiele fabryk upada, cukrownictwo zachwiane, gospodarstwo rolne uciśnięte zniżką cen za ziemiopłody i za ziemię, wiele majątków, wystawionych na sprzedaż, idzie w cenie niżej rzetelnego szacunku. Pod wpływem niepowodzenia nastąpiło zniechęcenie do interesów,—a przecież mimo to wszystko rynek pieniężny obfituje w masę gotowizny. Co więć, cyfra rozporządzalnych kapitałów zwiększyła się nawet, gdyż w obawie bankructwa wielu kapitalistów wycofywa swe fundusze z interesów przemysłowo-rolnych i umieszcza je w papierach procentowych. Na giełdzie spotykamy nomenklatury najrozmaitszych biletów, rumuńskich, włoskich, serbskich, ba nawet tureckich, nie mówiąc już o papierach krajowych. Na chwilę nie waha my się twierdzić, że cała ta masa papierów, nabywanych w części skutkiem zamknięcia kas bankowych przed lokacyami, w części skutkiem wyrabiającej się w społeczeństwie „żyłki“ spekulacyjnej,—dałaby bogate uposażenie nowemu bankowi, na który od lat tylu napróżno czekamy, a który miałby za zadanie uruchomić tę masę funduszów, dziś dla gospodarstwa krajowego straconą.

Owóż, w jaki sposób odbija się na rynku pieniężnym stan ekonomiczny. Przesilenie terażniejsze ma swoje odrębne cechy. Przedewszystkiém, nie jest to burza, doraźnie niszcząca ten lub inny dział gospodarczy, zostawiająca po sobie spustoszenie i pustkę. Przesilenie, jakie od lat trzech przechodzimy jest może pod tym względem niebezpieczniejsze, gdyż nie dotykając bezpośrednio pojedynczych gałęzi, wytwarza duszną atmosferę, w której powoli schnie całe drzewo

pracy społecznej. Taki krach, jak giełdowy w Wiedniu lub kolejowy w Ameryce łątko zostały w kilka lat zniszczone, u nas nie ma wprawdzie „krachu,“ lecz są poderwane, zachwiane ogólne zasady gospodarstwa, a tych naprawa daleko trwalszych i większych wymagać będzie ofiar. W pierwszym zaś rządzie téj reformy postawilibyśmy właśnie wzmocnienie systemu kredytowego, od którego rozwinięcia zależy prawidłowy podział kapitałów między poszczególne grupy wytwórców.

Korzystamy z przytoczonych uwag, ażeby przejść od nich do przeglądu ostatnich bilansów tutejszych instytucji kredytowych. Mamy właśnie przed sobą dwa sprawozdania roczne:— „Kasy pożyczkowej przemysłowców warszawskich“ i „Warszawskiego Towarzystwa wzajemnego kredytu.“ Jeżeli gdzie możemy szukać dowodu na poparcie naszych desideratów co do systemu kredytowego, to najpierw w historii kasy. Założona przed 16-tu laty, jako pierwsza w kraju spółka kredytowa, według wzoru Schultze'a z Delitsch, kasa w krótkim bardzo przeciągu czasu wynaturzyła się, zatraciła swój charakter drobnego stowarzyszenia i, ulegając parciu kapitałów, stała się... bankiem. Dziś, na 337,398 rs. kapitału udziałowego, 136,892 zapasowego i 16,665 zarezerwowanego, czyli na 190,905 rs. funduszu własnego, kasa posiada 1,028,942 rs. na lokacjach, czyli kapitału obcego; portfel zaś wekslowy z końcem ubiegłego roku wynosił 1,232,026 rs., przyczém weksle indosowane reprezentowały sumę 535,733 rs., a solidarnie poręczone 434,218 rs. Dla lepszej charakterystyki dodajmy, że w ciągu roku kasa zdyskontowała weksli indosowanych na 2,214,655 rs., z weksli solidarnie poręczonych rs. 663,911. Słowem, jakkolwiek do kasy należą drobni przemysłowcy, z natury jednak operacji zbliża się ona ściślej do banków, niż do towarzystw zarobkowych. Jako wreszcie szczegół na dobre, przytaczamy, iż w r. z. kasa udzieliła o 141 pożyczek mniej i na sumę o 552,843 rs. mniejszą, niż w 1884 r.

Co się tyczy Warszawskiego Towarzystwa wzajemnego kredytu, to nadmieniamy, że na zgromadzeniu jego uczestników w d. 7 kwietnia dowiedzieliśmy się, iż liczba stowarzyszonych dosięgła obecnie 2,756 osób z kredytem na 12,414,620 rs. Między innemi spotykamy tu 795 ziemian z kredytem 2,648,750 rs., 229 przemysłowców z kredytem 1,492,500 rs., 274 rzemieślników z kredytem 361,440 rs. i aż 867 kupców z kred. 3,226,380 rs. Zestawienie to, zdaje się, dostatecznie przekonywa, w jakim kierunku operacje kredytowe Towarzystwa przeważają—przemysłoworolnym, czy handlowym. Towarzystwo rozwija się pomyślnie i pod tym względem korzystnie się wyróżnia pośród niefortunnych towarzystw w Cesarstwie. Kapitał obro-

towy t. j. wnioski 10% uczestników wynosi 1,241,462 rs., lokacye 1,902,383 rs., skup solawekski i z podpisami około 3½ mil. rs.

Tegoroczne zgromadzenia ogólne, zarówno kasy jak i Towarzystwa, nie nastrożają materiału do dyskusji poważniejszej. Wyboru odbyły się spokojnie, dając mandaty dawnym członkom władz zarządzających, wnioski dyrekcji uzyskały zatwierdzenie, opozycja zaś — w kasie protestująca przeciw operacyom bankowym, a w Towarzystwie domagająca się troskliwszego traktowania interesów rolnych — tym razem milczała. Wszystko więc odbyło się „w porządku.“

Na zakończenie kroniki słów kilka o tutejszym oddziale Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Ożywiony ruch w téj instytucyi nie przestaje zasilać prasy codziennéj świeżemi nowinami. Pomijając sprawy drugorzędnej wartości, zanotujemy tylko trzy prace, niedawno podjęte przez Towarzystwo i dotyczące: pierwsza handlu ze wschodem, druga spółek zarobkowych, trzecia szkół fachowych. Wszystko to są kwestye pomyślane na szerszą skalę i mające być stałym przedmiotem zabiegów instytucyi.

Handel wschodni nieraz już był dyskutowany; gruntowne atoli zajęcie się nim w Towarzystwie zawdzięczamy rodakom, rozproszonym po odległych krańcach Rosyi. Polacy w Syberyi, nad Amurem, za Kaukazem i t. d., na wiadomość o powstaniu w Warszawie Towarzystwa przemysłowego, zaczęli zbierać dane ekonomiczne i zachęcać nas do zbadania dróg handlowych na wschodzie. Oddział tutejszy znalazł się niebawem w posiadaniu cennych materiałów o jarmarkach w Niżnym-Nowgorodzie i Irbicie, o rynkach zbytu nad Amurem, o komunikacyach i handlu w Syberyi. To zachęciło zarząd instytucyi do wybrania specjalnej delegacyi pod przewodnictwem p. St. Kronenberga, któraby zajęła się kwestyą handlu wschodniego. Do komisyi weszli pp. Ernest Gay, Józef Szlenker, Władysław Rudnicki, Bronisław Werner, Stanisław Ostrowski, Fr. Eutsche i jako sprawozdawca Fr. Olszewski. Dotąd odbyły się dwa posiedzenia delegacyi, na których ostatecznie powzięto następujące wnioski. Z uwagi, iż handel wschodni może przynieść istotny pożytek krajowemu przemysłowi jedynie pod warunkiem odnalezienia solidnych firm na wschodzie, komisya zaproponowała utworzenie w Warszawie biura wywiadowczego, z filiami w Syberyi i Rosyi, a to celem dostarczenia informacyi o kupcach wschodnich. Dalej, uwzględniając warunek, że przemysł nasz może mieć stały zbył na wschód, jeżeli znać będzie tamtejsze potrzeby, komisya uchwaliła opracować geografią przemysłową wschodu, do której to pracy powołani zostaną polacy w Rosyi zamieszkali. Wreszcie, pragnąc ściśle mieć baczenie nad stosunkami handlowemi, komisya zażądała utworzenia biura statystycznego, kontrolującego wywóz i dowóz między Królestwem a Cesar-

stwem. Nakoniec, dla prowadzenia samego handlu, komisya rzuciła myśl zorganizowania wspólnemi siłami agentów handlowych w głównych centrach zbytu: — w Moskwie, Niżnym-Nowgorodzie, Cnarkowie i Carycynie. Prace komisji mają wkrótce wyjść w druku, a wykonaniem jęj wniosków zajmie się zarząd Towarzystwa.

Inna komisya obraduje nad szkołą przemysłową, choźi zaś jęj głównie o wytworzenie takich zakładów wychowawczych, w którychby nietylko młodzieź nasza znalazła łatwą naukę, jakiej dla braku miejsc nie dają jęj dziś szkoły średnie, ale i w których kształciłiby się przyszli pionierzy polskiego przemysłu, t. j. majstrowie, dozorca, kierownicy i t. d., dziś po wszystkich niemal fabrykach z cudzoziemców się rekrutujący. Komisya, złożona z pp. Przysiańskiego, Paszkowskiego, Dynowskiego, Diehla, Kühna, Lepperta, Hocha, Olszewskiego, Dąbrowskiego, Zatorskiego, Kuczyńskiego i Bormana, również odbyła dwa posiedzenia, na których uchwalono zająć się przede wszystkim urządzeniem szkół fachowych średnich, z podziałem na trzy główne działy — budowlany, mechaniczny i chemiczny. Komisya przychylnie też przyjęła myśl instytutu politechnicznego w Warszawie, na teraz jednak uznała ją z wielu względów za niewykonalną. Dzięki tęj pracy pozyskamy niezmiernie ciekawą historię szkół przemysłowych w Królestwie, pióra szan. dziekana Przysiańskiego, obejmującą dzieje mało znanych zabiegów około organizacji politechniki w Puławach, Łodzi i w Warszawie, podejmowanych od 1827 r. Nadto, komisya zamierza czynić starania o wprowadzenie nauki rzemioł do szkół wiejskich, o rozszerzenie programu szkół niedzielnych, o rozpowszechnienie nauki rysunków przez tworzenie po miastach sal rysunkowych i t. p.

Losy spółek zarobkowych teraz dopiero zwróciły uwagę Towarzystwa. I nie dziwnego: któż bowiem u nas ma dokładne pojęcie o tęp, jakie spółki i gdzie istnieją! A przecież mozolna praca nad ich rozwojem znaczne już wydała owoce. Zaczęły one powstawać bez rozgłosu, sposobem gospodarczym, przez pomoc wzajemną i dziś już liczymy 11 spółek spożywczych, 9 kredytowych, 6 rzemieślniczych i 31 rolnych. Zapewne, są to cyfry tak małe, że niejednen mógłby zapytać, dla kogo właściwie ma być zakładane projektowane przez Towarzystwo biuro centralne spółek? Ani słowa, rozporządzamy materiałem jeszcze bardzo ubogim, na pociechę jednak dodać należy, że sprawa spółek zarobkowych, którą za granicą szczerze interesują się rozmaite pierwszorzędne instytucje i dla której powstały nawet specjalne banki, u nas oddaną jest samęj sobie. Może więc pod dobroczynnym wpływem proponowanej centralizacji, otrzymamy choćby tylko rozpowszechnienie wiadomości o spółkach, spopularyzowanie

ich ustaw i sprawozdań a zarazem kierownictwo ich interesami, dotąd po większej części „po domowemu“ prowadzonymi. Rzecz ta była dyskutowana w Towarzystwie na posiedzeniu sekcji V-ój, handlowej w d. 20 kwietnia.

Jak widzimy, Towarzystwo popierania przemysłu i handlu podjęło sprawy pierwszorzędnej doniosłości, życzyć też tylko należy, ażeby pomyślnie ukończone zostały.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Oczekiwana od dawna z niecierpliwością druga część tomu drugiego dzieła ks. Waleryana Kalinki pod tyt. „Sejm czteroletni,“ wyszła nareszcie z druku we Lwowie, nakładem księgarni Seyfartha i Czajkowskiego, jak donoszą pisma lwowskie; i wkrótkim czasie ukaże się zapewne i w księgarniach warszawskich.

Ks. Bukowski Julian wydał w Krakowie 2-gi tom znanego czytelnikom Bibl. Warsz. dzieła (1885 r. styczeń, str. 130) pod tyt. „Dzieje reformacyi w Polsce od wejścia jój do Polski aż do jój upadku.“ Kraków, 1886. Tytuł niejasny. Wyrazy: „Dzieje reformacyi w Polsce“ czynią zupełnie zbytecznym dodatek: „od wejścia jój do Polski,“ bo nie wskazana brama, którą reformacya wchodziła do Polski; a przy wyrazach: „aż do jój upadku“ mógłby czytelnik być w wątpliwości co do tego, czy autor mówi tu o upadku reformacyi, czy téż o upadku Polski. Dodatkowe te objaśnienia były zupełnie nie potrzebne przy wyraźnej wskazówce, zawartój w tych słowach: „Polityczny wzrost i wzmaganie się reformacyi aż do sejmu 1558/9 r.,“ które na karcie tytułowój czytamy.

Otwarta przed kilku laty w Poznaniu nowa księgarnia C. F. Piotrowskiego i Sp., wydała w roku bieżącym 2-gi tom Opowiadań i studyów historycznych Kazimierza Jarochońskiego, seryi nowój — pod tyt. „Z czasów saskich spraw wewnętrznych polityki i wojny.“ Poznań, 1886, str. 544. Studya zebrane w tomie niniejszym nie są nowością dla czytelników polskich, ponieważ były drukowane po czasopismach lwowskich, krakowskich i warszawskich. Bibliograf byłby wdzięczny wydawcy, gdyby był przy każdym studyum wskazał pismo, w którém pierwotnie było drukowaném, bo zdarza się w prasie naszej, że jedne i te same artykuły przedrukowują się w różnych czasopismach, co za ujemny objaw literatury peryodycznej uważać należy. Zjawisko takie dowodzi bowiem albo szczupłej liczby autorów, umiejących pisać rzeczy poważniejsze, albo nadmiaru czasopism w stosunku do producentów równie jak i do konsumentów. W każdym razie

jest to objaw niepożądany w literaturze, gdzie tyle kwestyi naukowych leży odłogiem, zapełniać pisma peryodyczne rzeczami już raz gdzieindziej drukowanymi. Do dziejów wewnętrznych odnosi się artykuł 1-szy pod tyt. „Lauda połączonych województw Kaliskiego i Poznańskiego za panowania Augusta II-go. Do dziejów polityki zaliczyć trzeba artykuł 2-gi: „Dwie misye Franciszka Ponińskiego, starosty kopanickiego, do Cara Piotra w latach 1717 i 1718“ i 3-ci „Epizod Rakoczozy w dziejach panowania Augusta II-go od r. 1703 — 1717;“ wreszcie do dziejów wojennych odnoszą się 3 pozostałe studia, mianowicie: 4) Bitwa pod Poniecem d. 9 listopada 1704 r.; 5) Bitwa kaliska 19 paźdz. 1706 r. i 6) Oblężenie Gdańska w r. 1734 r. Zalety studyów historycznych Jarochońskiego są znane, a nie odłączne od dzieła ludzkiego strony słabsze, mogłaby tylko krytyka szczegółowa ujawnić i w interesie nauki udokładczyć.

W podobny, co Opowiadania Jarochońskiego, sposób powstało także dzieło p. Adama Bełcikowskiego, wydane przez zabiegliwą firmę warszawską Teodora Paprockiego i S-kę, pod tyt. „Ze studyów nad literaturą polską. Wydanie pamiątkowe ku uczczeniu 25-cio letniej działalności literackiej autora z życiorysem, skreślonym przez d-ra Piotra Chmielowskiego,“ str. XXXII i 604. Dzieło, całe poprzedzone biografią pisarza dosyć szczegółową, składa się z 2-ch części, z których pierwsza zawiera następujące artykuły: 1) O znaczeniu historii literatury i rzut oka na całość naszego piśmiennictwa. Potem idą 2 rozprawy o literaturze z wieku XVI: a) Mikołaj Rěj z Nagłowic i b) Jan Kochanowski; 7 rozpraw o literaturze z wieku XVII, mianowicie: 1) Notaty o literaturze i oświacie XVII-go wieku; 2) Słów kilka o najdawniejszym romansopisarstwie polskiem; 3) Samuel ze Skrzypny Twardowski; 4) O satyrykach polskich XVII-go wieku: a) Andrzej Rysiński, b) Krzysztof Opaliński. 5) Andrzej Morsztyn, poeta romantyczny wieku XVII. 6) Wacław z Potoka Potocki w VII-u ustępach rozbierających szczegółowo dzieła Potockiego. 7) Okruchy literackie; Stanisław Serafin Jagodyński, Dominik Morolski i Józef Bielawski. W części II-ój czytamy: wiek XVIII-ty: 1) Elżbieta z Kowalskich Drużbacka; 2) Dwie epoki naszego pseudo-klasycyzmu; 3) O narodowym charakterze i zasługach literatury z czasów Stanisława Augusta; 4) Pierwszy sceniczny pisarz polski (Ks. Fr. Bochomolec S. J.); 5) Adam Naruszewicz jako poeta; 6) Jeden rozdział z monografii o Ignacym Krasickim; 7) Franciszek Zabłocki; 8) Franciszek Karpiński. Wiek XIX-ty: 1) Główne prądy poezyi polskiej w XIX-ym wieku; 2) Romantyczność przed Mickiewiczem; 3) Kazimierz Brodziński; 4) Gustaw i Werter; 5) Konrad Wallenrod; 6) Kilka myśli o „Panu Tadeuszu;“ 7) Idealy kobiece dwóch poetów: 8) Balladyna Stowackiego; 9) Irydion Zygmunta Krasńskiego; 10) Dramaty historyczne Józefa Korzeniowskiego; 11) Charaktery kobiece w poezyi polskiej; 12) Kilka słów o poezyi. Studya p. Bełcikowskiego nie odznaczają się głęboką i bystrą analizą przedmiotu; ale dostarczają wiele informacyi w tonie spokojnym, wszech-

stronnie rzecz przedstawiającym, przy sądzie oględnym nigdy naprzód nie powziętym; ale z istoty rzeczy rozbieranej płynącym. Badacz dziejów literatury polskiej znajdzie p. B., bardzo sympatycznego przewodnika w wielu szczegółach sumiennie zgromadzonych.

Biblioteki Matematyczno-fizycznej, wydawaną pod kierunkiem M. A. Baranieckiego i A. Czajewicza, z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia Józefa Mianowskiego, wyszedł seryi III-jej tom IX-ty, przedstawiający: „Kosmografią,“ napisaną przez Jana Jędrzejewicza. Warsz., 1886, str. XLVI i 400 z wielu tablicami, objaśniającymi szczegóły w tekście wykładane. W przedmowie objaśnia prof. Baraniecki znaczenie dzieła astronomicznego w literaturze polskiej dzisiejszej, a p. Merczyng przedstawia w obszernym wstępie „krótki rys rozwoju astronomii od najdawniejszych aż do naszych czasów. Dzieło p. Jędrzejewicza zawiera treść nadzwyczaj zajmującą, przedstawioną w sposób, o ile podobna przy kwestjach kosmografii, przystępny i zrozumiały językiem naturalnym. Dzieło p. Jędrzejewicza uważać trzeba za prawdziwe z bogactwem naszej literatury naukowej.

We Lwowie wyszła, jako odbitka z „Kosmosu,“ broszura p. H. Merczynga p. n. „Elektromagnetyczna teoria światła James'a Clerk'a Maxwella.“ Jest to wykład popularny wniosków, do których drogą wyższej analizy matematycznej doszedł przedwcześnie zgasły uczonej angielski, a które zdają się niezbitcie dowodzić, że światło i elektryczność, dwa napozór tak różne objawy energii, są jednym rodzajem ruchu.

Ten sam autor wydał drugą pracę swoją pod tyt. „Motory gazowe.“ Zarys ustroju kilku ważniejszych typów (w szczególności maszyny systemu Otto), oraz teorii ich działania. Szkic z zakresu fizyki przemysłowej. Warsz., 1886.

„Historia medycyny.“ Przekład trzeciego wydania dzieła: H. Haeser, „Lehrbuch der Geschichte der Medicin. Zweiter Band, 1876—1881,“ dokonany przez prof. d-ra H. Łuczkiwicza. Tom drugi. Dzieje medycyny nowożytnej. Warsz., 1886.

Fritsche dr. Gustaw. „Sprawozdanie z kolonii letnich dla biednych słabowitych dzieci, urządzonych w r. 1885.“ Warsz., 1886.

„Wędrowki i przygody,“ powieść pouczająca, napisał Leopold Szyller-Racki b. n. Warszawa, 1885. (20 kop.). „O Wiśle,“ jej dopływach i miastach, nad nią leżących, opowiedział Konstanty Krynicki. (Książeczka dziesięciogroszowa). Warsz., 1885. Obiedwie książeczki różne co do formy, do jednego zmiierzają celu: do zainteresowania ludu geografją, etnografją i wspomnieniami kraju. Jeżeli idzie o zainteresowanie tylko, autorowie dopięli pięknego swego celu; jeżeli zaś poszukamy korzyści pod względem rzeczowym, to opinia nasza niezupełnie pomyślnie wypadnie.

W obydwóch książeczkach spostrzegamy pewną trudność w obej-

nowaniu materiału różnolitego i bogatego w szcceptych rozmiarach tanięj książeczki ludowęj, powiękšzoną zapewne względami niezaleźnemi od autorów i wydawcy.

P. Leopold Szyller, b. nauczyciel, autor kilku książek dla młodzięży i wydawnictw z zakresu początkowego nauczania, opowiada losy podlasiaka Mateusza Cholewy. Powieści tęj nie brak fabuły zaciekawiającej, figur došć charakterystycznych i akcesoryów došć barwnych: jest tam i śliczna Marysia Gizianka, pani serca naszego bohatera i despotyczny, a pretensjonalny jęj ojciec, jest takżę i lekko-myślny panicz, Władysław, i nieuczciwy wyzyskiwacz ludu, rywal Mateusza ex-dygnitarz Bąbelko, obok praktycznego górala Holika i starego ojca Michała, wzoru rozsądku i doświadczenia; jest tam i dramatyczna, omal nie krwawa scena w lesie, rozegrana pomiędzy paniczem, Marysią i Mateuszem i walka Mateusza z Bąbelką w karczmie, i pożar zagrody Mateusza i samobójcze zamiary w głowie tego ostatniego. Tymczasem zajmują uwagę naszą przedewszystkięm losy bohatera, który ma być przykładem wytrwałości i samopocy.

Mateusz, niewłaściwie przez autora Maćkiem zamiast Matysem nazywany, pojednany z paniczem Władysławem, co mu chciał być zabrać—Marysię, największe szczęście, opuszcza w jego towarzystwie rodzinne strony, (było to w r. 1862). Panicz zginał, a Mateusz znalazł się w Kałudze razem z towarzyszami różnego stanowiska społecznego, różnego wykształcenia. Od nich nauczył się czytać i pisać, a powróciwszy do domu, zaczyna rozpowszechniać w wiosce naukę zdobytą. Niezadługo Bąbelko pozbawia go Maryi, a pożar niszczy zagrodę ojcowską. Cóż pozostaje zrospaconemu? Utopić się. Góral Holik powstrzymuje go od straszliwego kroku i daje dobre rady. Mateusz wypuszcza grunt w dzierżawę, a sam zaciąga się do flisaków. W podróży Bugiem, Narwią, Wisłą do Gdańska dowiaduje się wiele rzeczy od starego Michała, który umierając objawia mu wolę i zapis panicza Władysława, rannego i zmarłego pod Sokolowem. Wypełniając tę wolę, Mateusz uczy się gospodarki postępowęj w Poznańskięm. Podczas powrotu z tęj szkoły został napadnięty i obrabowany przez niemców, na jednym z traktów szlązkich, wskutek czego popada w nędzę. Gdy się dowłókł do Krakowa spotkał tam towarzysza wygnania, który mu pomógł znaleźć skromny zarobek w Wieliczce. Ztamąd udaje się w głąb Galicyi, pomiędzy górali i razem z Holikiem i jego towarami przybywa do ojczystęj wioski. Tu odebrał od proboszcza 2,000 rs. i tytuł własności folwarku z zapisu Władysława, odszukał następnie Marysię w Warszawie i wyrobił się na wzorowego gospodarza.

Powieść mieszcząca się na 95 stronicach czyta się z zajęciem; a gdyby autor nie był jęj w tytule nakazał być „pouczającą“ nie czynilibyśmy jęj dla tego braku zarzutu, poprzestając na zaznaczeniu, że książeczka jest zaciekawiająca. Wszystko, co się przed oczyma Mateusza i czytelnika przesuwa, przesuwa się bez pozostawienia głębszego

śladu w umyśle; czytelnik, dla którego książeczkę pisano, nie wyniesie z niej nauki, którąby w praktyce życia wiejskiego zastosować należało. Bylibyśmy np. ciekawi zwyczajów, obyczajów, zajęć, zabaw mieszkańców różnych stron, w których Mateusz przebywał. Pragnęlibyśmy się dowiedzieć, na czém właściwie polegała owa dwuletnia praktyka postępowego gospodarstwa Mateusza, w jaki sposób urządził on swoje gospodarstwo i o ile przez to wpłynął na mieszkańców swojej wioski. Można by zarzucić autorowi brak inwencji w układzie osnowy, brak oryginalności w scenach i sytuacjach, szarżowanych i nienaturalnych niekiedy; oryginalność przecież w tych rzeczach (nie zawsze podobno szczęśliwa) nie jest nieodzownym warunkiem powieści ludowej. To, co dla ludzi czytanych wydaje się powszechnie znaniem, dla ludu będzie nowem. Zaletą powieści ludowej jest umiejętna faktura, której odmówić p. Szyllerowi nie można, bo książeczka jego odznacza się umiejętnością przemawiania do ludu z domieszką pewnego humoru, rysunkiem swobodnym i dość wyrazistym. Sądźmy że autor za dużo nawet czasem robi ustępstwa, celem zjednoczenia sobie czytelnika, popadając w trywialność lub dowiecip niesmaczny (opis sali więziennój str. 26 i 27, opis żydów str. 38 i in.). Zakradło się też nieco błędów językowych, np. „poczuwszy namiętne uściski, ogarnął ją strach (str. 15), podobny błąd niewłaściwego użycia zwrotu imięstwowego powtarza się parę razy (str. 12 i inne) „uczyć dzieciaków“ (str. 36) „nie ma gdzie głowę położyć (str. 50) „co się nauczył“ (str. 85).

Zbytecznie sądźmy nadmieniać, że takie wyrazy jak prażnik, kuraż, że zwroty cudzoziemskie i to jeszcze w obcej pisowni (str. 30) także się niepotrzebnie tutaj zabiłakały.

Książeczka „O Wiśle“ następcza uwagi następujące. Książeczki dziesięciogroszowe wszystkie są tanie, a książeczka o „Wiśle“ zawierająca 5 arkuszy druku, 20 drzeworytów i 2 mapki, (to wszystko za 10 groszy) jest z nich wszystkich najtańsza. Pomysł prowadzenia czytelnika z biegiem Wisły do Gdańska i rozpatrzenia po drodze tego wszystkiego, co godne uwagi nie jest nowością od czasów „Flisa“ Klonowicza. Temat to bardzo wdzięczny nie tylko dla poety. Jeden z pedagogów galicyjskich stworzył z niego bardzo dobrą książkę ożywioną duchem narodowym p. t.: „Z Krakowa do Gdańska Wisłą“ przez Aleksandra Kisielewskiego (Lwów, cz. I, 1869, cz. II, 1870). Podobną napisał i p. Krynicki. Oceniamy skrzętność i pracowitość autora, który zebrał obfitość materiału jakby do wyczerpującego studium o Wiśle; oceniamy ofiarność nakładcy czy nakładców, którzy za bezcen dają w ręce ludu książkę pełną treści i niepośledniego interesu: wyznać jednak musimy szczerze, że praca o której mówimy, nie może się bez zastrzeżeń uważać za koronę zasłużoną.

Autor nie potrafił stworzyć książki jednolitej, tryskającej życiem i pociągającej tém właśnie, co lud najłatwiej zrozumie, co go najwięcej zainteresować może. Spotykamy tu np. obrazki przedstawiające go-

rali, krakowiaków, mazurów, kujawiaków, typy warszawskie; tymczasem w opowiadaniu o nich głucho: ich zajęcie, ubiór, przysłowie, śpiewka wreszcie—możeby ożywiły nieco książkę, która na 77 stronicach dwieście kilkadziesiąt imion własnych mieści, że już nie mówimy o wielu wyrazach (zwłaszcza przy opisie miast, instytucyj, zabytków historycznych), niezrozumiałych dla ludu bez osobnych wyjaśnień. Autor nie panuje nad materiałem, nie ugrupował szczegółów, ztąd stał się suchym, a nawet chaotycznym.

Nie wymagamy w książce dla ludu rzeczy metodycznie i artystycznie doskonałej, ale poprzestajemy na zbiorze wiadomości, ugrupowanych podług tego, jak się nasuwają jadącemu w dół Wisły.

Mimo tak skromnych wymagań praca p. Kr. zadowolnić czytelnika nie może. Znajdujemy tu nieco błędów, a więcej jeszcze niedokładności tak pod względem rzeczowym jak i językowym. Zarzut ten stosuje się i do pierwszych rozdziałów, chociaż one odznaczają się pewną metodą wykładu i większą przejrzystością niż następne. Zaraz na samym początku autor nie dość trafnie rozpoznaje strony świata: najpraktyczniej oznaczać najprzód północ, którą wskazuje busola, a jak dla ludu—omszała strona drzewa w lesie lub kamienia na polu. Ten sposób oznaczania stron świata łatwo przenieść na plan lub mapę, gdy im damy położenie poziome. Na karb niedokładności stylowej policzyć musimy twierdzenie autora, że „każda rzeka ma swój początek czyli źródło w górach albo też w miejscu nieco wyższem, niż otaczająca ją okolica (str. 6); miało to znaczyć, że woda bieżąca potrzebuje spadku, że źródło rzeki musi być wyżej niż bieg jej środkowy i ujście. Głębokość mórz, mająca dochodzić „do kilku wiorst” (str. 6) jest w sposób przesadny podana. Szczyty Tatr nigdy nie pokrywają się „wiecznym śniegiem“ (str. 7); śnieg znaleźć tu można tylko w cienistych szczelinach, w kotlinach. Poprzestajemy na tych zarzutach, dodając jeszcze, że wątpliwości, jakie sobie sam autor stawia (str. 19 i 32) nie powinny być znaleźć miejsca w książce ludowej; że zdanie: „kępy tém gęściej się zdarzają, *czem* (zam. im) bliżej ujścia“ jest rusycyzmem; że niektóre drzeworyty nie dość starannie odbito.

Władysław Nowicki.

Nowe pismo polskie. Z dniem 16-m b. m. rozpoczęło wychodzić nowe pismo dla ludu raz na tydzień w Olsztynie (po niemiecku Allenstein) w Prusiech, w obwodzie królewieckim w dawniej Warmii. Miasteczko Olsztyn albo Olsztynek leży nad rzeką Allą, po większej części zamieszkałe przez ludność katolicką. Pisemko polskie w tej okolicy jest ze wszech miar pożądanem, témbardziiej, że pierwszy numer, jaki mamy przed sobą, pisany jest wcale czystą polszczyzną.

Gloger Zygmunt. „Skarbczyk.“ Zabawy, gry, zagadki, żarty i przypowieści. Z ust ludu i ze starych ksiąg. Warsz., 1886.

„Jak prowadzić gospodarstwa?“ Rozprawy odznaczone na konkursie „Gazety Rolniczej.“ Warsz., 1886.

Profesor gimnazjum św. Anny w Krakowie, Czesław Pieniążek, wydał broszurę p. n. „Syrokomla w obec rozwoju poezji ostatniego okresu.“

Pan Kałużniacki wydał ważne studjum p. t. „Die polnische Recension der magdeburger Urtheile und die einschlägigen deutschen, lateinischen und tschechischen Sammlungen,“ które budzi niepospolity interes dla historyka dawnego prawa polskiego.

Pan Diguères wydał w Paryżu książkę p. t. „Lettres inédites de la reine Marie Leszczyńska.“

N e k r o l o g i a.

— † Dnia 9-go kwietnia 1886 r. umarł we Lwowie ś. p. **Kazimierz hr. Stadnicki**, ces. kr. szambelan i em. radzca Namiestnictwa, b. członek i deputat Stanów galicyjskich, kawaler orderu żelaznej korony, znany zaszczytnie autor i badacz historyczny, członek krakowskiej Akademii umiejętności. Kazimierz Piotr Hieronim ze Stadnik hr. Stadnicki urodził się dnia 29-go czerwca 1796 r., z ojca Antoniego, właściciela Żmigrodu. Schodzi z nim do grobu mąż, który poważną a cichą pracą uczciwie przez całe swe życie służył krajowi i społeczeństwu. Z dzieł historycznych zmarłego wymieniamy: „Bracia Władysława Jagiełły,“ jako dalszy ciąg „Synów Gedymina;“ „Komentarz do ustępu o rodzie Stadnickich w herbarzu Niesieckiego;“ „Piasty, rys historyczny;“ „Rodowody domu Stadnickich“ i t. d. Sprawy współczesne kraju zajmowały ś. p. Stadnickiego równie żywo, jak przeszłość nasza, a z publikacyi zmarłego w tym kierunku wymieniamy: „Projekt do tymczasowego prawa wyborczego dla zwołać się mającego zgromadzenia narodowego w Galicyi,“ ogłoszony w r. 1848. Cześć pamięci zacnego obywatela!

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**